



COLLEEN MCCULLOUGH



TIM

Z angielskiego przełożył Krzysztof Obłucki

Doktorowi Gilbertowi H. Glaserowi, kierownikowi Katedry Neurologii Wydziału Medycznego Uniwersytetu w Yale, z podziękowaniami i wyrazami sympatii

Rozdział pierwszy

Harry Markham i zatrudnieni przez niego robotnicy przyjechali dokładnie o siódmej. Był piątek. Harry siedział w szoferce pic-upa razem z brygadzystą, Jimem Irvinem. Robotnicy znajdujący się na platformie rozglądali się szukając najlepszego miejsca do zaparkowania. Dom, który remontowali, znajdował się na przedmieściu Artarmon — miasteczka leżącego na Północnym Wybrzeżu Sydney — tuż za cegielnią. Nie było tam wiele do zrobienia, nawet dla tak nielicznej grupy jak brygada Harry'ego. Chodziło tylko o otynkowanie zbudowanego z czerwonej cegły bungalowu i wymurowanie werandy. Od czasu do czasu Harry przyjmował takie zlecenia, uradowany, że pozwalają mu wypełnić luki pomiędzy większymi zamówieniami.

Piątkowy ranek zapowiadał gorący i słoneczny weekend. Mężczyźni, przepychając się, wysiedli z samochodu. W chwilę potem zniknęli za żywopłotem rosnącym przy ścieżce. Tam, nie krępując się zupełnie i bez ociągania, zmienili własne ubrania na robocze kombinezony. Przebrani, pojawili się na tyłach domu. Stara akurat przechodziła przez podwórko. Ubrana była w mocno wyblakły różowy szlafrok kąpielowy, niosła ostrożnie porcelanowy nocnik pomalowany w kiczowate kwiatki. Włosy miała śmiesznie pospinane w małe loczki. Zarówno jej ubranie, jak i uczesanie świadczyły o tym, że styl wczesnych lat pięćdziesiątych wyjątkowo przypadł jej do gustu. Ostatni krzyk mody, lokówki, to nie był wynalazek dla Emily Parker, „o nie, dziękuję bardzo”.

Podwórko przechodziło w ponury gliniany wykop — pozostałość po dawnej cegielni produkującej cegłę dla rozbudowującego się Sydney. Stara każdego ranka wykorzystywała to wygodne miejsce do opróżniania nocnika, trzymała się bowiem sztywno wyniesionych z domu przyzwyczajień i nawoziła teren z uporem godnym lepszej sprawy. Zresztą tylko dlatego używała nocnika.

Po wylaniu zawartości do dołu, przypominającego kolorem blady bursztyn, odwróciła się i zauważyła prawie nagich mężczyzn. Nie była tym zachwycona.

— Doberek, pani Parker! — krzyknął Harry. — Skończym dzisiaj robotę jak nic!

— Najwyższy czas, do diabła! Paskudne leniuchy! — mamrotała, zupełnie nieskrępowana. Wracała przez podwórko do domu. — Mam przez was same kłopoty! — podniosła głos. — Panna Horton skarżyła się wczoraj, że pył z cementu zapaskudził jej wspaniałe różowe geranium, a poza tym jakiś głupek rzucił cegłę przez płot i zniszczył włoską paprotkę!

— Założę się, że ta cholerna paproć zdechła, bo od lat nie była niczym nawożona, a ta stara panna o gębusi jak suszona śliwka czepia się cegły, bo nie ma innego wytłumaczenia — powiedział po cichu Mick Devine do Bilia Naismitha.

Głośno narzekając, Stara zniknęła wewnątrz domu, a po chwili do uszu mężczyzny dobiegł szum wody i odgłosy energicznego zmywania. To pani Parker myła nocnik w łazience na tylnej werandzie. Potem usłyszeli spuszczenie wody do miski klozetowej i brzęk nocnika wieszanego na haku umieszczonym nad nowocześniejszym urządzeniem do załatwiania naturalnych potrzeb.

— Jak rany, ta trawa w dole po glinie nawet korzenie będzie miała zielone! — powiedział Harry do śmiejących się robotników.

— To cud, że do tej pory ta cholerna baba nie wypełniła całego dołu — dodał rozbawiony Bill.

— Gdyby mnie kto pytał, to ona ma nierówno pod sufitem — wtrącił Mick. — W naszych czasach, mając dwa normalne kible w domu, sika do michy!

— Do michy? — zapytał Tim Melville.

— Aha! Do michy. To taka zabawka. Trzymasz ją pod łóżkiem i zawsze, kiedy zrywasz się ze snu, pakujesz w nią nogi — wyjaśnił Harry. Spojrzał na zegarek. — Lada chwila powinna przyjechać gruszka z cementem. Tim, leć na ulicę i zaczekaj na nią. Jak tylko zobaczysz, że jedzie, weź z samochodu taczkę i zacznij przywozić bloczki, dobra? — Tim Melville kiwnął głową, uśmiechnął się i pobiegł w kierunku ulicy.

Mick Devine patrzył roztargniony za biegnącym Timem, zastanawiając się nad szalonymi pomysłami Starej. Zaczął się śmiać.

— A niech to! Pomyślałem sobie o tej ślicznotce! Wiecie co, chłopaki, dzisiaj w czasie przerwy spróbujemy nauczyć Tima o nocnikach, a może i czegoś więcej...

Rozdział drugi

Mary Horton upięła długie, grube włosy w kok z tyłu głowy. Czesła się tak każdego dnia. Wpięła dodatkowo dwie szpilki i spojrzała w lustro. Widok własnej twarzy ani jej nie zmartwił, ani nie ucieszył. Szczerze mówiąc, nie przyglądała się sobie zbyt uważnie. Lustro było bardzo dobre — odbijało twarz bez żadnych zniekształceń, ale też nie upiększało oryginału. Gdyby Mary przyjrzała się uważniej swemu odbiciu, zobaczyłaby niewysoką, kręłą kobietę w średnim wieku, z płowymi, pozbawionymi koloru włosami, o równie bezbarwnej, kwadratowej twarzy, ale regularnych rysach. Mary nie stosowała żadnego makijażu, uważając, że to strata czasu i niepotrzebne wydawanie pieniędzy na zaspokajanie próżności. W jej ciemnobrązowych oczach, harmonizujących z wyrazistymi rysami twarzy, była widoczna chęć działania i rozsądek. Już dawno temu jej współpracownicy orzekli, że jej ubranie przypomina mundur lub habit — wykrochmalona biała bluzka zapięta pod szyją i szara, prosta, lniana garsonka. Spódnica była na tyle długa, że nawet przy siadaniu nie odsłaniała kolan. Na nogach nosiła grube pończochy i czarne, sznurowane buty na solidnym, niewysokim obcasie.

Buty były wyglansowane aż do przesady, błyszcząły niczym lakierki. Na śnieżnej bieli bluzki nikt nigdy nie zauważył najmniejszej plamki, a garsonka nie miała nawet jednego zagniecenia. Sterylny wygląd był obsesją Mary Horton. Jej młodzianka asystentka przysięgała, że Mary rozbiera się i wiesza ostrożnie ubranie na wieszaku przed załatwianiem naturalnej potrzeby — a wszystko po to, żeby uniknąć zburzenia doskonałości stroju.

Zadowolona, że i tym razem wszystko wygląda dokładnie tak, jak powinno, Mary Horton włożyła czarny, słomkowy kapelusz i zdecydowanym ruchem przypięła go szpilką do włosów. Ręce wsunęła w czarne rękawiczki i dopiero wtedy sięgnęła po leżącą na toaletce ogromną torbę. Otworzyła ją i metodycznie sprawdziła, czy jest w niej wszystko: klucze, pieniądze, chustka do nosa, zapasowa podpaska, długopis i notatnik, kalendarzyk spotkań, identyfikator, karta kredytowa, prawo jazdy, karta parkingowa, agrafki, szpilki, pudełeczko z igłą i nićmi, nożyczki, pilniczek do paznokci, dwa zapasowe guziki do bluzki, śrubokręt, klucz do śrub, obciążki, latarka, stalowa miarka w centymetrach i calach oraz policyjny rewolwer i pudełko naboji kaliber 38.

Mary była świetnym strzelcem. Do jej obowiązków w spółce Constable Steel and Mining należały rozliczenia bankowe. Od czasu jednak, gdy o mały

włos nie zabiła rabusia, który wyrwał jej torbę z wypłatą dla pracowników i próbował uciec, nie było w Sydney przestępcy, który odważyłby się zaatakować ją w drodze z banku. Torbę z pieniędzmi nosiła zwykle bez przesadnych środków ostrożności. Tak naturalne zachowanie sugerowało, że złodziej może liczyć na łatwy łup. W chwili jednak, gdy bandyta wyrwał jej torbę i rzucił się do ucieczki, Mary błyskawicznie wyjęła pistolet, wycelowała i strzeliła. Sierżant Hopkins z Wydziału Broni Policji Nowej Południowej Walii utrzymywał potem, że była szybsza od Sammy'ego Daviesa juniora.

Od czternastego roku życia Mary była zdana wyłącznie na siebie. Zamieszkała w schronisku YMCA, dzieląc pokój z pięcioma dziewczynkami. Pracowała jako sprzedawczyni u Davida Jonesa, uczęszczając jednocześnie na wieczorowe kursy dla sekretarek. Mając piętnaście lat rozpoczęła pracę maszynistki w Constable Steel and Mining. Była biedna. Zawsze ubierała się w tę samą, codziennie praną bluzkę i spódnicę — nie miała niczego na zmianę. Jej bawełniane pończochy składały się prawie wyłącznie z misternych cer.

Dzięki jednak swej pracowitości, skromności i dużej inteligencji w ciągu pięciu lat awansowała na osobistą sekretarkę dyrektora Archibalda Johnsona. Mimo to nadal mieszkała w YMCA, cerowała pończochy i oszczędzała znacznie więcej, niż wydawała.

Miała dwadzieścia pięć lat, kiedy poprosiła Archiego Johnsona o radę dotyczącą korzystnego ulokowania oszczędności. A kiedy miała trzydzieści, posiadała już kapitał wielokrotnie przekraczający zainwestowaną sumę. Mogła wtedy pozwolić sobie na kupienie domu w Artarmon — na cichym przedmieściu zamieszkanym głównie przez ludzi należących do klasy średniej. Zaczęła jeździć staromodnym, ale solidnym i droгим bentleyem, w którym deska rozdzielcza wykonana była z naturalnego drewna orzechowego, a tapicerka z prawdziwej skóry. Na północ od Sydney posiadała dwudziestoakrową działkę z domkiem letniskowym. Kostiumy szył dla niej ten sam krawiec, który ubierał żonę generalnego gubernatora Australii.

Mary mogła być zadowolona z siebie i z życia. Tak też było. Korzystała z luksusów, na które mogła sobie pozwolić. Nie dzieliła ich z nikim ani w pracy, ani w domu. Nie miała przyjaciół, a ich miejsce zajmowało pięć tysięcy książek zgromadzonych na półkach w jej ulubionym pokoju i setki płyt, przeważnie z nagraniami utworów Bacha, Brahmsa i Haendla. Bardzo lubiła zajmować się ogrodem i sprzątać w domu. Nie oglądała telewizji, nie chodziła do kina. Nigdy też nie miała mężczyzny i nigdy tego nie pragnęła.

Kiedy Mary wyszła przed dom frontowymi drzwiami, zatrzymała się na chwilę oślepiona blaskiem słońca. Uważnie obejrzała ogródek. Trawa domagała się przycięcia. Gdzie, do licha, podziewa się facet, któremu płaciła za tę robotę? Zgodnie z umową miał strzyc trawniki co dwa tygodnie, a nie pojawił się od miesiąca. Zwykle wypielegnowany, trawnik teraz wyglądał okropnie. To bardzo smutne — pomyślała — bardzo smutne.

W powietrzu wyczuwała coś szczególnego — niby dźwięk, niby ledwo słyszalne „bum, bum, bum”, które przenikało całe ciało, zapowiadając bardzo gorący dzień. Niebieskie kwiaty rosnących po obu stronach bramy zimoziołów drżały w upale, a ich sierpowate liście wisiały opuszczone w niemym proteście przeciwko skwarowi. Owady, głośno brzęcząc, uwijały się wśród więdnących już kiści żółtych kwiatów kasji. Po obu stronach wyłożonej kamieniami alejki, prowadzącej od drzwi frontowych do garażu, rosły wspaniałe, czerwone oleandry. Właśnie tą alejką ruszyła Mary Horton w głąb ogrodu.

Jak każdego letniego ranka i wieczoru, cykady rozpoczęły koncert. Kiedy Mary zbliżyła się do pierwszego pięknie kwitnącego krzewu, do jej uszu wdarły się głośne, przenikliwe dźwięki. Musiała potrząsnąć głową, żeby choć trochę złagodzić skutki tego hałasu.

Odstawiła torbę, zdjęła rękawiczki i pewnym krokiem podeszła do leżącego na trawie zielonego gumowego węża zwiniętego w staranną spiralę. Odkręciła kran i zaczęła podlewać oleandry. W miarę podlewania nieznośne brzęczenie powoli cichło, by w końcu zamienić się w pojedyncze dźwięki, dochodzące z krzaków rosnących obok domu. Mary uniosła do góry zaciśniętą pięść i pomachała nią groźnie.

— Dorwę cię w końcu, stary draniu! — krzyknęła przez zaciśnięte zęby.

— Briiiiiiiiik! — odpowiedział szyderczo dyrygent cykadowego chóru.

Mary włożyła rękawiczki. Podniosła z ziemi torbę i już spokojna ruszyła w stronę garażu.

Z dezaprobatą spojrzała na sąsiadujące z jej posesją pobojuwisko pani Emily Parker, które niegdyś było całkiem eleganckim bungalowem. Otworzyła garaż i patrzyła na ulicę.

Walton Street to bardzo sympatyczna uliczka, o czystych chodnikach, otoczonych z obu stron szerokimi, świetnie utrzymanymi trawnikami, sięgającymi aż do krawężnika. Co trzydzieści metrów rosły olbrzymie oleandry posadzone w tym samym porządku: jeden biały, jeden różowy, jeden czerwony i znowu biały, różowy, czerwony. Oleandry były dumą

mieszkańców Walton Street i jednym z ważniejszych powodów, dla których ta właśnie ulica zdobyła główną nagrodę na corocznym Konkursie Ogrodniczym Heralda.

Potężna betoniarka, obracająca się równym, monotonnym ruchem, stała zaparkowana przy oleandrze rosnącym w pobliżu podwórka Emily Parker. Grucha z betonu uderzała o drzewko przy każdym obrocie, a kleista, szara maź wylewała się na trawnik, spływała po smutnych, zniszczonych gałązkach, przykrywała rozkopane podwórko wdzierając się nawet na wyłożony płytami chodnik. Zobaczywszy to Mary zacisnęła usta w wąską białą kreskę. Była zła. Co, do licha, opętało Emily Parker, że wpadła na pomysł pokrycia ceglanych ścian domu czymś tak ohydny? Nie ma w tym odrobiny dobrego smaku, tylko zupełny brak gustu — pomyślała poirytowana. Młody człowiek z odkrytą głową stał w słońcu i z obojętnością przyglądał się profanacji Walton Street. Mary podeszła do niego i nagle zatrzymała się, porażona jego pięknem.

Gdyby żył dwa i pół tysiąca lat temu, mógłby pozować Fidiaszowi albo Praksytelesowi do najwspanialszego posągu Apolla. Zakłęty w gładkim, białym marmurze patrzyłby obojętnie kamiennymi oczami na przemijające pokolenia i żyłby wiecznie, bez żadnej możliwości ucieczki.

Ale ten stał tutaj, na Walton Street, pomiędzy paskudnymi plamami betonu i z pewnością należał do ekipy Harry'ego Markhama. Ubrany był w typowy dla budowlańców kombinezon koloru khaki. Nogawki podwinął do wysokości pośladków. Pasek włożył przed samą linią bioder. Grube skarpety zsunął na brzegi ciężkich, solidnych roboczych butów. Nie miał na sobie nic więcej — ani koszulki, ani bluzy, ani czapki.

Przez chwilę widziała go z boku, oblanego promieniami słońca. Wyglądał niczym żywy posąg ze złota. Wspaniale ukształtowane nogi nasunęły jej myśl, że mógłby być długodystansowcem. Jego całe ciało, poczynając od smukłego kształtu głowy, poprzez szeroką pierś proporcjonalnie zwężającą się ku dołowi aż do wąskich bioder, sprawiało niepowtarzalne wrażenie.

I twarz! Ta twarz! Była bez skazy. Prosty, krótki nos, doskonale zaznaczone kości policzkowe, delikatna linia ust. W miejscu, gdzie policzek stykał się z krawędzią warg, widać było niewielką zmarszczkę, która dodawała mu trochę smutku, przez co sprawiał wrażenie zagubionego, niewinnego dziecka. Jego włosy, brwi i rzęsy koloru dojrzałej pszenicy błyszczały w słońcu. I te oczy! Intensywnie niebieskie, jak chabry.

Kiedy chłopak zauważył, że jest obserwowany, uśmiechnął się. Było to tak naturalne i tak niespodziewane, że zaskoczona Mary, nie panując nad sobą, westchnęła. Jeszcze nigdy nie zdarzyło się jej takie westchnienie. Przestraszyła się własnej reakcji i w panice ją ukryła się we wnętrzu samochodu.

Przez całą drogę do centrum handlowego w Północnym Sydney, gdzie spółka Constable Steel and Mining miała swój czterdziesto-piętrowy biurowiec, Mary nie mogła zapomnieć o tym, co zobaczyła. Bardzo się starała skoncentrować na prowadzeniu samochodu i na czekającej ją tego dnia pracy, ale nie była w stanie przestać o nim myśleć. Gdyby był choćby trochę zniewieściał, gdyby jego twarz była tylko ładna, albo gdyby wyczuła jego wewnętrzną pustkę, mogłaby o nim bardzo łatwo zapomnieć — Mary bowiem, dzięki wieloletniej dyscyplinie, potrafiła bez najmniejszego wysiłku zapominać o wszystkim, co było nieprzyjemne albo nie chciane.

O Boże, jakież on jest piękny, jak absolutnie wspaniały! W tej samej chwili Mary przypomniała sobie, że Emily Parker powiedziała, iż robotnicy mają tego dnia zakończyć remont. Cały świat, drżący i duszący się w nieznośnym upale, tracił znaczenie. Tylko dzięki silnej woli nie zatrzymała samochodu i jechała dalej.

Rozdział trzeci

Kiedy Mary odjechała i gumowy wąż przestał być groźny, dyrygent cykadowego chóru wrócił do ulubionego krzaka oleandrowego i wydał z siebie głębokie, rezonujące „briiiiik!” Natychmiast odpowiedział mu sopran samiczki ukrytej w sąsiednim krzaku. Stopniowo do duetu przyłączały się inne głosy: tenory, alty, kontralty, barytony i soprany. Zdawało się, że ich błyszczące, zielonooliwkowe ciała pobierają energię z samych promieni słonecznych, a obdarzone tak dużą siłą głosu, nie pozwalały na prowadzenie rozmowy w ich pobliżu. Do ogłuszającego chóru dołączyły głosy mieszkańców kasji i kwietnych grządek, rozśpiewały się również cykady ukryte w oleandrach rosnących wzdłuż ulicy, a nawet pośród drzewek kamforowych na tylnym podwórku, między domami Mary i Emily Parker.

Robotnicy nie zwracali najmniejszej uwagi na potęgający się hałas aż do chwili, kiedy musieli zacząć głośno krzyczeć do siebie. Tim Melville nabierał kielnią cementową zaprawę i z głośnym „pflaf!” rzucał ją na wyszczerbione cegły bungalowu. Tylna weranda była skończona, w zasadzie zostało jeszcze do zrobienia tylko kilka drobiazgów. Nagie plecy robotników pochylały się i prostowały w rytmie ciężkiej pracy. Mężczyźni kręcili się dokoła domu, wchodzili na dach i schodzili z niego. Ich ruchy były spokojne, harmonijne. Ciała lśniły w słońcu. O poceniu się nie było mowy — zanim kropelka potu miała szansę się uformować, upał sprawiał, że błyskawicznie parowała z gładkiej, opalonej skóry. Bill Naismith nakładał mokry cement na cegły, Mick Devine wyrównywał grubą, nierówną warstwę, a balansujący za nim na chwiejnym rusztowaniu Jim Irvine kolistymi ruchami rozprowadzał zaprawę po ścianie. Harry Markham, który miał oko na wszystko, spojrział na zegarek i zawołał Tima.

— Leć no, chłopie, do Starej i poproś, żeby nastawiła wodę, raz-dwa, na jednej nodze! — krzyknął, gdy tylko zauważył, że chłopak biegnie w jego stronę.

Tim odstawił taczkę na skraj chodnika, złapał kilkuiltrowy baniak i puszkę z herbatą, po czym pobiegł w kierunku kuchennych drzwi. Ponieważ obie ręce miał zajęte, kopnął lekko drzwi dając znać, że czeka. Pani Parker nadeszła po chwili. Widział ją jako niewyraźny cień poruszający się za rozpiętą na ramie siatką przeciw komarom.

— To ty, kochasiu? — spytała otwierając drzwi. — Wchodź, wchodź! Chcesz pewnie, żebym zagotowała wodę dla tych nierobów, co? — Weszli do

środku. Emily Parker zapaliła papierosa i spojrzała na Tima z sympatią. Chłopak stał mrugając oczami — przyzwyczajając się do panującego w domu półmroku.

— Tak, bardzo proszę, pani Parker — uśmiechając się odpowiedział grzecznie.

— No dobrze, i tak nie mam innego wyjścia, skoro chcę, żeby skończyli robotę przed weekendem. Usiądź sobie i zaczekaj, zanim woda się zagotuje.

Kobieta niemrawo poruszała się po kuchni. Jej mocno przetykane siwizną włosy tworzyły rodzaj korony zrobionej z nieprawdopodobnej liczby zmierzwionych kosmyków. Bezkształtne, pozbawione zbawiennego wpływu gorsetu ciało było okutane w kretonową podomkę z nadrukowanymi purpurowymi i żółtymi bratkami.

— Wrąbiesz ciacho, maleńki? — spytała wyciągając pudło z ciastkami. — Mam tu prawdziwe czekoladowe pyszności.

— Bardzo chętnie, pani Parker — Tim uśmiechnął się, wkładając rękę do pudełka i wyciągając apetyczne czekoladowe ciastko.

Siedział w milczeniu na fotelu, podczas gdy pani Parker wzięła od niego puszkę, zaczerpnęła sporo suchych herbacianych listków i wrzuciła je do bańki. Kiedy woda w czajniku zagotowała się, napełniła ją do połowy. Pojemność czajnika była dużo mniejsza — musiała więc nastawić go drugi raz. Tim w tym czasie rozstawił na kuchennym stole emaliowane kubki, butelkę mleka i słoik z cukrem.

— Oj, misiu, wytrzymaj ładnie łapki w papierowy ręcznik, bądź grzecznym chłopcem — powiedziała do niego, zauważywszy czekoladowe smugi na brzegu stołu.

Podeszła do drzwi, otworzyła je i wychyliwszy głowę, krzyknęła wysokim głosem:

— Przerwaaaaa!

- Tim nalał sobie pełny kubek smoliście czarnej herbaty. Nie ruszył mleka, ale nie żałował cukru. Dookoła kubka leżało sporo rozsypanych kryształków. Stara znowu miała powód do narzekania.

— O Jezu, ale z ciebie flejtuch — powiedziała z dużą dozą wyrozumiałości w głosie. — Nie wytrzymałabym z tobą, tak samo jak z tamtymi, ale ty przynajmniej nic nie możesz poradzić, prawda, malutki?

Tim uśmiechnął się do niej ciepło, wziął kubek i wyszedł na zewnątrz, gdy pozostali mężczyźni zaczęli wchodzić do kuchni. Rozsiedli się do jedzenia za tylną częścią domu, niedaleko nowo zbudowanej werandy, w miejscu

zacienionym i wystarczająco odległym od pojemników na śmieci, żeby muchy nie dokuczały swą natarczywością. Każdy z robotników przygotował sobie z cegieł wygodne siedzisko. Kamforowy żywopłot, dzielący podwórka Starej i Mary, pochylał się nad nimi, tworząc zielony dach skutecznie chroniący przed prażącymi promieniami słońca, dający dość cienia, żeby przyjemnie było w nim odpocząć. Opędzając się od much, z szeroko rozstawionymi nogami, wzdychając od czasu do czasu, mężczyźni jedli trzymając w jednej ręce kubek z herbatą, w drugiej kanapki, wyjęte z brązowych papierowych toreb.

Ponieważ zaczynali pracę o siódmej, a kończyli o trzeciej po południu, śniadanie jedli o dziewiątej, a lunch o wpół do dwunastej. Posiłek o dziewiątej, nazywany „przerwą!”, trwał około pół godziny. Bardzo ciężko pracujący mężczyźni mieli wilcze apetyty, pochłaniali olbrzymie porcje, ale po ich muskularnych ciałach nie było tego widać. Przed wyjściem do pracy, około wpół do szóstej rano, jedli najczęściej gorącą owsiankę, smażoną kielbasę albo kotlet, dwa, trzy sadzone jajka i kilka tostów, wypijając przy tym kilka filiżanek herbaty. W czasie przerwy zadawalali się przygotowanymi w domu kanapkami i paroma kawałkami ciasta. Na lunch jedli to samo, tylko w podwójnej ilości. Po południu nie mieli już żadnej przerwy. O trzeciej zdejmowali kombinezony robocze, niedbale zawijali w brązowe torby, podobne do lekarskich, wkładali cienkie spodnie i koszule z odpiętymi kołnierzykami i wędrowali do pubu. Każdy dzień pracy tak właśnie się kończył. Była to kulminacja i najważniejsze wydarzenie. W cichym szumie surowego wnętrza pubu mogli wreszcie odpocząć — z nogami założonymi na krawędzi stołu, popijając piwo z półlitrowych kufli, dowcipkując z kumplami i stałymi bywalcami pubu, flirtując niewinnie z usiłującymi zachować powagę barmankami. Powrót do domu był powrotem do monotonii i nudy powszedniego dnia, gdzie trzeba się było podporządkować paraliżującej małostkowości kobiet i dzieci.

Tego ranka w czasie przerwy wyczuwało się atmosferę napięcia i oczekiwania. Mick Devine usadowił się obok wesołego Bilia Naismitha. Opierali się o płot. Kubki z herbatą postawili na ziemi, na kolanach rozłożyli jedzenie. Naprzeciw nich siedzieli Harry Markham i Jim Irvine. Tim Melville ulokował się niedaleko tylnych drzwi — dzięki temu mógł z łatwością coś przynieść czy odnieść, gdy tylko któryś z robotników go o to poprosił. Jako najmłodszy członek ekipy, był chłopcem na posyłki, chociaż w książce zatrudnienia Harry'ego figurował jako pracownik budowlany i przez całe

dziesięć lat, które przepracował w swoim dwudziestopięcioletnim życiu, nie awansował.

— Hej, Tim, z czym masz dzisiaj kanapki? — spytał Mick mrugając znacząco do pozostałych.

— Eh! Mick, też pytanie, z tym co zawsze, z dżemem — odpowiedział Tim, trzymając w rękach grube pajdy białego chleba ociekające po bokach jasnobrązowym dżemem.

— Az jakim dżemem? — dopytywał się Mick, patrząc bez entuzjazmu na własne kanapki.

— Chyba morelowym.

— Chcesz się zamienić? Ja mam z kielbasą. Twarz Tima pojaśniała.

— Kielbasa! Przepadam za kanapkami z kielbasą!

Kiedy się zamienili, Mick leniwie przeżuwał chleb z dżemem, natomiast Tim, nie zwracając uwagi na rozbawione miny kolegów, pochłaniał kanapkę w rekordowym tempie. Miał właśnie zamiar włożyć do ust ostatni kawałek, kiedy Mick, trzęsąc się od tłumionego śmiechu, złapał go za rękę. Niebieskie oczy Tima spojrzały na niego z naiwnością dziecka — pytająco i ze strachem. Twarz stężała mu w zdziwieniu, a usta pozostały otwarte.

— O co chodzi, Mick? — spytał.

— Te pieprzone kanapki nie leżały nawet obok kielbasy! Jak ci smakowały? Zeżarłeś je tak szybko, że może nawet nie poczułeś smaku?

Niewielka zmarszczka z lewej strony drgnęła leciutko, gdy Tim zamknął usta i spojrzał na Micka nic nie rozumiejąc.

— Smakowały zupełnie dobrze — powiedział wolno. — Troszkę dziwnie, ale zupełnie dobrze.

Mick nie wytrzymał i wybuchnął śmiechem. Po chwili wszyscy skręcali się w paroksyzmach śmiechu, z oczu płynęły im łzy, a ręce mocno uderzały o uda. Śmiali się tak głośno, że z trudem łapali oddech.

— O Jezu, Tim, jesteś beznadziejny! Harry myśli, że jesteś wart sześćdziesiąt centów, ale podejrzewam, że nawet dziesiątak to za ciebie za dużo, jestem tego pewien! Idę o zakład, że nigdy nie byłeś więcej wart!

— O co chodzi? — pytał Tim coraz bardziej zdenerwowany. — Co ja takiego zrobiłem? Wiem, że nie wszystko jest ze mną w porządku, wiem, że nie jestem pełnym funciakiem, słowo daję!

— Skoro twoja kanapka z kielbasą dziwnie smakowała, to jak myślisz, Tim, co to był za smak? — Mick nie przestawał się śmiać.

— Chyba... Nie, nie wiem — Tim ściągnął brwi zastanawiając się. — Nie wiem! Po prostu dziwnie smakowała, jakoś tak...

— No to czemu nie sprawdzisz tego kawałka, który ci jeszcze został, koleś? Przyjrzyj mu się!

Pięknie ukształtowane, smukłe ręce Tima rozłożyły niezdarnie obie kromki chleba. Ostatni kawałek „kielbasy” był zgnieciony, pozbawiony kształtu, jego krawędzie były śliskie, a całość wyglądała podejrzanie lepko.

— Powąchaj to! — rozkazującym tonem krzyknął Mick, rozglądając się dookoła i ocierając łzy wierzchem dłoni.

Tim uniósł kanapkę do nosa. Nozdrza drgnęły lekko, wciągnął powietrze, potem opuścił kawałki chleba i przyglądał im się ze zdziwieniem.

— Nie wiem, co to jest — powiedział poważnie.

— To łajno, baranie! — powiedział Mick z odrazą. — Jezu, ale z ciebie ciemniak! Naprawdę, nie wiesz, co to jest? Przecież niuchałeś!

— Łajno? — powtórzył jak echo Tim, wpatrując się w Micka.

— Co to jest łajno, Mick?

Wszyscy znowu gruchnęli śmiechem. Prawdziwa burza tego śmiechu dygotała w powietrzu, a biedny Tim siedział trzymając w palcach resztki kanapki i czekał cierpliwie, aż któryś ze śmiejących się odpowie mu wreszcie na pytanie.

— Łajno, chłopcze, to wielki, tłusty kawałek gówna! — śmiejąc się wrzeszczał Mick.

Tim zatrząsł się, przełknął głośno i przerażony wyrzucił resztki chleba. Zacisnął bezradnie palce i skurczył się w sobie. Mężczyźni szybko oddalili się, bojąc się, że zaczną wymiotować. Ale nic takiego się nie stało. Tim bez ruchu wpatrywał się w nich oczami przepełnionymi żalem.

Nowa historia! Ciągłe wszystkich rozśmiesza, robiąc jakieś głupstwa, chociaż nie rozumie, co w tym śmiesznego. Jego ojciec zapewne powiedziałby, żeby ocknął się wreszcie, cokolwiek to znaczy, ale on wcale się nie ocknął i zadowolony zjadł kanapkę z kielbasą, która wcale nie była kielbasą. Powiedzieli, że to kawałek gówna, ale skąd on mógł wiedzieć, jak smakuje gówno, skoro nigdy przedtem go nie próbował? I co w tym takiego śmiesznego? Tak bardzo chciałby wiedzieć! Ogromnie żałował, że nie wie i nie może śmiać się razem z innymi, że nie może rozumieć wszystkiego tak jak oni. I to właśnie był jego największy, najboleśniejczy problem — nigdy nie nauczy się rozumieć.

Jego duże, niebieskie oczy napełniły się łzami, twarz wykrzywiła się w udęce. Rozplakał się niczym małe dziecko, głośno szlochając i zaciskając dłonie.

— Na rany Chrystusa! Cholerne gnoje, bydlaki! — krzyczała Stara wybiegłszy niczym harpia tylnymi drzwiami. Poły podomki w żółte i purpurowe bratki rozwiewały się na boki. Podbiegła do Tima, wzięła go za rękę i zmusiła do wstania. Popatrzyła na mężczyznę.

— Chodź, kochanie, pójdziemy do domu. Dam ci coś, co zabije smak tego paskudztwa — mówiła cicho, głaszcząc go po włosach.

— A co do was...- zasyczała w stronę robotników, a kiedy napotkała oczy Micka, spojrzała z taką złością, że szybko odwrócił się i wycofał z pola widzenia, - to mam nadzieję, że ktoś wam kiedyś skopie porządnie wasze tyłki! Powinno się was za to wychłostać! Wielkie cwaniaki! Lepiej, żebyście się zajęli pracą i skończyli dzisiaj. Do ciebie mówię, Harry Markham, bo jeśli nie, to nie będziecie mieli okazji dokończyć. Nie chcę was tu więcej widzieć!

Szepcząc i głaszcząc Tima po głowie, wprowadziła go do środka. Mężczyźni zostali na zewnątrz, niepewnie patrząc na siebie.

Pierwszy otrząsnął się Mick.

— Cholerna baba! — powiedział. — Nigdy jeszcze nie spotkałem kobiety z takim poczuciem humoru. Chodźcie, skończymy tę robotę, bo mam jej po dziurki w nosie.

Pani Parker wprowadziła Tima do kuchni i posadziła w fotelu.

— Mój mały biedaku — mówiła podchodząc do lodówki. — Nie rozumiem, dlaczego mężczyźni tak bardzo lubią drażnić się z psami i takimi jak ty. Co w tym śmiesznego? Wystarczy ich posłuchać. Cały czas gadają bzdury. Najchętniej upiekłabym im wielkie, paskudne czekoladowe ciasto i nadziała je gównem, skoro uważają, że to takie zabawne! Mój mały biedaku, nawet nie wymiotowałeś. Ale oni rzygaliby przez godzinę, wielcy bohaterowie! — odwróciła się i spojrzała na Tima. Złagodniała prawie natychmiast widząc, że ciągle jeszcze pochlipuje, a po twarzy płyną mu ogromne łzy. Raz po raz wstrząsała nim czkawka.

— Oj, maleńki, przestań już — uspokajała go. Z pudełka wyjęła chusteczkę higieniczną, wzięła chłopaka pod brodę i otarła łzy. Dała mu następną chustkę i poprosiła: — Wytrzyj nos, misiu!

Tim zrobił, o co go prosiła, i zniósł dzielnie niezbyt delikatne zabiegi, którym go poddała, dokładnie wycierając twarz i oczy.

— Mój Boże, jaka to strata — powiedziała jakby do siebie, patrząc na Tima. Wyrzuciła do kosza brudną chusteczkę. — Widocznie tak musi być — ciągnęła. — Nie można mieć wszystkiego. Nawet najwięksi i najlepsi tego świata nie mają wszystkiego, prawda, kochanie? — Poklepała chłopaka po policzku żylastą ręką starej kobiety. — A teraz powiedz mi, na co masz największą ochotę: na lody z czekoladą czy na wielką porcję owocowego puddingu polanego budyniem bananowym?

Tim przestał szlochać i powoli się uspokajał. Na twarzy pojawił się dość nieśmiały uśmiech.

— Pudding owocowy, pani Parker. Poproszę. Przepadam za puddingiem i zimnym budyniem bananowym. To moje ulubione jedzenie!

Podawała pudding, który Tim jadł z apetytem, a sama usiadła naprzeciw i patrzyła, jak dużą łyżką pakuje do ust ogromne porcje. Raz po raz upominała go, by jadł wolniej, i przypominała o manierach przy stole.

— Gryź z zamkniętą buzią, maleńki. Weź łokcie ze stołu, zachowuj się jak grzeczny chłopiec. Wytrzymaj usta, bo to paskudny widok — usta uwalane jedzeniem.

RS

Rozdział czwarty

O szóstej trzydziści Mary Horton wprowadziła samochód do garażu. Była tak zmęczona, że z trudem pokonała odległość kilku metrów do drzwi domu. Kolana uginały się pod nią. Przez cały dzień dawała z siebie wszystko, nie zważając na ogarniające ją zmęczenie, ale teraz za to płaciła. Spojrzała w stronę domu pani Parker. Wyglądało na to, że remont został wreszcie skończony — ściany z czerwonej cegły pokryte były mokrym jeszcze, szarzielonym tynkiem. Kiedy Mary zamykała drzwi, zadzwonił telefon. Podbiegła do aparatu.

— Czy to pani, panno Horton? — w słuchawce rozległ się chrypiący głos sąsiadki. — Mówi Emily Parker, laleczko. Czy mogłaby pani coś dla mnie zrobić?

— Oczywiście.

— Muszę teraz wyjść, bo właśnie dzwonił mój syn, że jest na Dworcu Centralnym, i muszę go stamtąd zabrać. Robotnicy skończyli już pracę, na podwórzu zostało jednak jeszcze sporo ich rzeczy. Harry powiedział, że przyjadą posprzątać. Czy mogłaby pani zwrócić na nich uwagę? Przypilnuje ich pani?

— Oczywiście, pani Parker.

— Kocham cię za to, laleczko. Na razie, do zobaczenia jutro! Mary westchnęła z wyczerpania. Marzyła jedynie o tym, żeby usiąść w wygodnym fotelu, wyciągnąć nogi na podnóżku, napić się sherry i przejrzeć „Sydney Morning Herald”. Miała taki zwyczaj od dawna. Przeszła przez salon. Otworzyła barek. Szklana zastawa składała się z autentycznych wyrobów Waterforda, wyjątkowo ładnych, ozdobionych szklanymi ćwiekami szklanek i kieliszków.

Z lśniącej czystością półki wzięła kieliszek do sherry, na wysokiej nóżce. Ponieważ najbardziej lubiła sherry półsłodkie, najpierw napełniła kieliszek wytrawną montillado, a potem uzupełniła bardzo słodką sherry. Wzięła kieliszek, przeszła z nim przez kuchnię i dotarła na taras znajdujący się z tyłu domu.

Jej dom był znacznie lepiej zaprojektowany niż dom pani Parker. W miejscu tylnej werandy było wysokie, szerokie patio wyłożone piaskowcem, przechodzące łagodnie w skalny ogródek urządzony na trawniku. Znakomicie to wyglądało, a poza tym w gorące dni dawało przyjemny chłód, bowiem po obu stronach patio znajdowały się kratki porośnięte winem i wistarią, które pnąc

się pokrywały nawet sufit. Latem Mary siadała pod grubym, zielonym baldachimem chroniącym ją przed słońcem, a zimą bezlistne, poskręcane gałązki przepuszczały wystarczająco dużo promieni, żeby mogła, siedząc na tarasie, ogrzać się ich ciepłem. Kiedy wiosną taras pokrywał się fioletowymi pękami kwiatów wistarii, jego widok zapierał dech w piersi. Późnym latem i jesienią kratki uginały się pod ciężarem dojrzałych kiści winogron lśniących w słońcu czerwienią, bielą i purpurą.

Mary przeszła bezszelestnie po posadzce tarasu. Na nogach miała czarne, lśniące buty. Należała do tych ludzi, którzy jak koty potrafią niezauważenie zbliżyć się do innych, co daje im przewagę i pozwala czasami zaskoczyć kogoś, kto się tego wcale nie spodziewa.

Przy krawędzi patio znajdowała się pomalowana na biało kuta balustrada, ozdobiona metalowymi kiściami winogron. Nie była długa, półtora—dwa metry, przymocowana do kilku schodków prowadzących na rozpościerający się poniżej trawnik. W absolutnej ciszy Mary stanęła z kieliszkiem w rękę przy balustradzie i spojrzała na podwórze pani Parker.

Słońce zbliżało się do horyzontu. Mary przyglądała się, jak zachodzi. Takie piękno robiło na niej niezwykle wrażenie, zastygała porażona widokiem, sparaliżowana doskonałością obrazów tworzonych przez naturę. Patrzyła na Góry Błękitne, znajdujące się około trzydziestu kilometrów od jej tarasu, niczym nie przesłonięte, o tak czystym rysunku, że nawet wzgórze Ryde nie psuło tego widoku, przeciwnie, podnosiło jego walory, jakby wydobywając ostrzej kształty. Po południu zrobiło się bardzo gorąco, niemal trzydzieści stopni, a i teraz temperatura prawie się nie obniżyła. Niebo było bezchmurne, a zachód słońca w piękny, niczym nie zmacony sposób kończył dzień. Nawet samo światło wypełnione głęboką żółcią z lekką pomarańczowo-złotą poświatą miało w sobie coś z doskonałości. Zieleń stała się jeszcze zieleńsza, a przedmioty przybrały kolor bursztynu. Mary, przyłożywszy dłoń do oczu, spojrzała na podwórze pani Parker.

Młody człowiek, którego widziała dzisiejszego ranka, zmiatał cement. Dookoła niego unosiła się chmura pyłu. Używając szczotki, starał się ściągnąć cement na górę śmieci i gruzu. Złota głowa pochylała się w zamyśleniu przy wykonywaniu tego prostego zajęcia, jakby ta nieskomplikowana czynność była w stanie skupić całą jego uwagę. Półnagi, równie piękny jak rano, a może nawet piękniejszy w ostatnich promieniach zachodzącego słońca.

Mary zupełnie zapomniała o kieliszku sherry. Stała pogrążona w zadumie, aż nagle poczuła się bardzo samotna. Przyglądała się mężczyźnie, nie zdając

sobie sprawy, że oładnęły nią uczucia obce jej naturze. O dziwo, nie wywołało to w niej poczucia winy, w żaden sposób nie czuła się też zmieszana. Po prostu patrzyła.

Chłopak skończył zamiatać, uniósł głowę, spostrzegł Mary i pomachał do niej zadowolony. W chwilę potem zniknął za domem. Mary, zaskoczona, drgnęła, serce podeszło jej do gardła i zanim zdążyła zapanować nad sobą, przeszła przez kamforowy żywopłot, dzielący obydwu podwórka.

Chłopak najwyraźniej skończył pracę, bo trzymając w rękach torbę, wyjmował z niej ubranie, które nosił na co dzień.

— Cześć! — powiedział uśmiechając się. Jego zachowanie najwyraźniej świadczyło, że nie ma najmniejszego pojęcia o wyjątkowości swojego wyglądu ani nie zdaje sobie sprawy, jaki ten wygląd może wywierać wpływ na innych.

— Cześć! — odpowiedziała Mary, ale nie odwzajemniła uśmiechu. Coś mokrego pociekło jej po rękę. Dopiero teraz zauważyła, że to sherry, o której zupełnie zapomniała, wylewa się z kieliszka.

— Rozlewasz drinka — zauważył Tim.

— Tak, czy to nie głupie z mojej strony? — odrzekła, starając się przybrać jak najwdzięczniejszą pozę.

Tim nie odpowiedział. Stał i patrzył na nią swoimi jasnymi oczami, z właściwym mu pewnym zainteresowaniem.

— Czy nie chciałbyś dorobić sobie trochę? — spytała patrząc na niego badawczym wzrokiem.

Tim wydawał się zaskoczony.

— Eh? — zapytał.

Rumieniec pojawił się na jej policzkach, patrzyła na niego uważnie, ale teraz z odrobiną ironii.

— Mój trawnik prosi się o ścięcie, a facet, który do tej pory to robił, nie pojawił się od miesiąca. Bardzo wątpię, czy przyjdzie kiedykolwiek. Jestem bardzo dumna z mojego ogrodu i okropnie mnie denerwuje, kiedy patrzę, w jakim jest teraz stanie. A poza tym strasznie trudno znaleźć kogoś do strzyżenia trawy. Kiedy więc zobaczyłam, że pracujesz po godzinach, pomyślałam, że może chciałbyś trochę zarobić. Czy możesz przyjść jutro rano i skosić trawę? Mam kosiarkę spalinową, więc to jest bardziej kwestia czasu niż wysiłku.

— Eh? — powtórzył Tim uśmiechając się, tym razem już nie tak szeroko.

Mary wzruszyła ramionami, zniecierpliwiona.

— O, Boże! Jeśli nie chcesz tej pracy, to po prostu powiedz! Chcę tylko, żebyś przyszedł jutro rano i skosił trawę w moim ogrodzie. Zapłacę ci więcej niż pan Markham.

Tim podszedł do dziury w ogrodzeniu i popatrzył zdziwiony na podwórze i ogródek Mary. Potem pokiwał głową i powiedział:

— Taka trawa rzeczywiście aż się prosi o strzyżenie. Mogę to zrobić.

Mary prześlizgnęła się obok niego i stanęła naprzeciw, po drugiej stronie płotu.

— Dziękuję! Doceniam to i obiecuję, że nie będziesz żałował. Przyjdź jutro rano i zapukaj do kuchennych drzwi, powiem ci wtedy, co masz zrobić.

— Dobrze, psze pani — odpowiedział poważnie.

— Nie wiesz, jak się nazywam? — spytała.

— Chyba nie — uśmiechnął się.

Dobry humor, który go nie opuszczał, i radość ze wszystkiego trochę speszyły Mary. Znowu spiekła raka.

— Nazywam się Horton! — powiedziała odrobinę za głośno. — A jak ty się nazywasz, młody człowieku?

— Tim Melville.

— W takim razie do zobaczenia jutro rano, panie Melville. Do widzenia i dziękuję.

— Cześć! — powiedział wciąż uśmiechnięty.

Kiedy Mary stanęła na ostatnim schodku prowadzącym na patio, spojrzała w stronę podwórza pani Parker, ale Tima już tam nie było. Potem spojrzała na kieliszek. Był pusty. Wylała sherry, gdy nieświadomie przechyliła kieliszek do góry dnem, pochłonięta pragnieniem ucieczki przed niewinnym spojrzeniem niebieskich oczu chłopca.

Rozdział piąty

Bar w hotelu Seaside był jednym z najpopularniejszych miejsc odwiedzanych przez mieszkańców Randwick. Amatorzy dobrego drinka przyjeżdżali tu z dalekich przedmieść nie tylko samego Randwick, ale także z Coogee, Clovelly, a nawet z Maroubra. Podawano w nim także wyśmienite, dobrze schłodzone piwo, a miejsca było na tyle dużo, że można było wygodnie się rozgościć. Niezależnie zresztą od przyczyny tej popularności, nie zdarzyło się w historii baru od chwili jego otwarcia, by nie tętnił życiem i nie był pełen głosów ukontentowanych piwoszy. Hotel przypominał ogromną hacjendę — kilkupiętrowy, ze ścianami pokrytymi białym tynkiem, ozdobiony od frontu rzędem łuków przypominających budowlę Alhambry, usytuowany na wysokim, ponad pięćdziesięcio-metrowym brzegu, zwrócony przodem do oddalonego o kilkaset metrów oceanu. Z jego okien roztaczał się piękny widok na Coogee Beach — jedną z mniejszych plaż ciągnących się wzdłuż wschodnich przedmieść. Większość popijających wychodziła na długą, czerwoną werandę, która od trzeciej po południu pogrążona była w głębokim cieniu, bowiem słońce zachodziło po drugiej stronie, kryło się za wzgórzami, a znad Pacyfiku, pysznie oświetlonego promieniami słońca, wiała lekka bryza. W gorące wieczory było to więc idealne miejsce do wypicia drinka czy piwa.

Ron Melville stał na werandzie obok swoich najlepszych kumpli od kielicha. Spoglądał to na zegarek, to na plażę rozciągającą się w dole. Tim się spóźniał. Była już prawie ósma, a powinien był przyjść tutaj o wpół do siódmej. Ron właściwie był bardziej niezadowolony niż zmartwiony. Długoletnie doświadczenie nauczyło go, że martwienie się o Tima nic nie da, może jedynie przyprawić o atak serca.

Patrzył na gęstniejący, zapadający zmierzch i na sosny na Norfolk Island, rosnące po obu stronach wyłożonej płytami piaskowca promenady, które z ciemnozielonych stawały się teraz prawie czarne. Zbliżał się przypyływ. Fale coraz wyżej i coraz głośniej uderzały o brzeg, rozpościerając na plaży piankowy dywan. Cienie wybrzeża wsuwały się coraz głębiej w ocean. Autobusy zjeżdżały ze wzgórza i mknęły wzdłuż parku usytuowanego przy plaży. Przystanek znajdował się na rogu, daleko w dole. Ron przyglądał się każdemu zatrzymującemu się autobusowi. Obserwował wysiadających pasażerów, szukając wśród nich łatwej do zauważenia jasnej grzywy Tima. Przyjechał wreszcie! Ron odwrócił się natychmiast do kumpli.

— Tim właśnie przyjechał. Pójdę do baru i kupię dla niego piwo. A wy? Chcecie jeszcze jedną kolejkę? — spytał.

Zanim wrócił z baru, na ulicach pozapalano latarnie. Tim, uśmiechnięty, stał z przyjaciółmi Rona.

— Cześć, tato! — zawołał uradowany.

— Cześć, kolego! Gdzie byłeś tyle czasu? — spytał kwaśno.

— Musiałem skończyć robotę. Harry nie chciał, żebyśmy wracali tam w poniedziałek.

— Jednym słowem, robota po godzinach.

— Dostałem też jeszcze jedną pracę — powiedział Tim poważnym głosem. Wziął z rąk ojca piwo, a już po chwili po piwie nie było śladu. — Coś pysznego! Mogę dostać jeszcze jedno, tato?

— Zaraz... Co to za praca?

— Ach, praca! Sąsiadka chce, żebym jutro przystrzygł jej trawę. Sąsiadka pani Parker, u której dzisiaj pracowaliśmy.

Curly Campbell zarechotał:

— A spytałeś ją, Tim", czy chce, żebyś tę trawę strzygł na zewnątrz czy wewnątrz domu?

— Zamknij się, Curly, baranie! — przerwał Ron zirytowany.

— Wiesz, że Tim nie ma o tym pojęcia!

— Trawa urosła u niej solidnie i rzeczywiście trzeba ją skosić — wyjaśnił Tim.

— Zgodziłeś się to zrobić? — zapytał Ron.

— Tak, jutro rano. Powiedziała, że mi zapłaci, więc chyba nie masz nic przeciwko temu.

Ron popatrzył chłodno na posagowo piękną twarz syna. Jeśli ta paniusia ma ochotę na coś więcej niż strzyżenie trawy, to po pięciu minutach jej przejdzie. Nic tak nie ostudzało zapалу kobiet, jak odkrycie, że Tim nie ma wszystkich klepek. Jeśli nawet to nie wystarczało, szybko przekonywały się, że uwodzenie Tima to beznadziejna sprawa, bo chłopak nie miał zielonego pojęcia, kim może stać się kobieta w życiu mężczyzny. Ron nauczył syna, by wycofywał się w chwili, gdy kobieta staje się zbyt szczebiotliwa albo próbuje wstępnych gier miłosnych. Bardzo łatwo można było Tima przestraszyć, a jeszcze łatwiej nauczyć go strachu przed nieznanym.

— Mogę dostać jeszcze jedno piwo, tato? — spytał znowu Tim.

— Jasne, synu. Idź i poproś Florrie o kufelek. Zasłużyłeś sobie w zupełności.

Curly Campbell i Dave O'Brien patrzyli na wysoką, smukłą sylwetkę Tima znikającą we wnętrzu baru.

— Znam cię od dwudziestu lat, Ron, i za cholerę nie mogę pojąć, po kim ten chłopak tak wygląda — powiedział Curly.

Ron wykrzywił usta w uśmiechu.

— Dla mnie to też zagadka. Tim ma to, zdaje się, po jakimś zamierzczłym przodku, o którym nawet nie słyszeliśmy.

Melville'owie wyszli z Seaside trochę przed dziewiątą i raźnie ruszyli przed siebie, mijając po drodze Coogee Oval, jasno oświetlone bary, sale dansingowe i pijalnię wina znajdujące się na dalekim krańcu parku. Ron prowadził syna obok tych przybytków uciechy szybko i zdecydowanie. Kiedy zeszli z Arden Street i przecięli Surf Street, miał już pewność, że Tim nie zdążył nabrać apetytu na ciastka z konfiturą i inne łakocie kuszące z okien wystawowych.

Dom Melville'ów znajdował się przy Surf Street, ale by dojść do niego, musieli najpierw minąć jej najelegantszą część, położoną na szczycie wzgórza. Wspinali się na nieprawdopodobnie strome zbocze z dużą łatwością, żaden nie miał nawet śladu zadyszki — obaj pracowali przecież ciężko na budowach i mieli wspaniałą kondycję fizyczną. W połowie drogi, po drugiej stronie wzgórza, w dolinie między luksusowym szczytem a o wiele mniej atrakcyjnym dołem, przy Clovelly Road, skręcili w bramę prowadzącą do ceglanego, niczym nie wyróżniającego się domu.

Kobiety dawno już zjadły obiad, ale kiedy Ron i Tim weszli do środka tylnymi drzwiami, Esme Melville przeszła z salonu do kuchni.

— Wasz obiad jest już do niczego — powiedziała bez ogródek.

— Daj spokój, Es, zawsze tak mówisz — Ron uśmiechnął się siadając przy stole, na którym leżały dwa nakrycia.

— Co mamy dzisiaj do jedzenia?

— A jakie to może mieć znaczenie, skoro i tak masz brzuch pełen piwa — zrzędziła Esme. — Przecież jest piątek, gałganie! A co zawsze jadasz w piątki na obiad? Przyniosłam od Dago smażoną rybę i frytki.

— To superowo! Ryba z frytkami! — wykrzykiwał Tim, bardzo zadowolony. — Mamo, wiesz, że uwielbiam rybę z frytkami!

Matka spojrzała na syna z czułością, ręką zmierzwiła mu włosy — była to jedyna pieszczota, jakiej kiedykolwiek od niej zaznał.

— Przecież to nie ma znaczenia, kochanie. Zawsze o wszystkim, co masz do zjedzenia, mówisz, że to twoje ulubione danie. Proszę, obiad podany.

Esme postawiła przed każdym z mężczyzn talerz pełen ociekającej tłuszczem smażonej ryby i już zupełnie miękkich frytek. Potem wyszła do salonu, w którym stał telewizor. Na ekranie po raz nie wiadomo który pokazywano „Coronation Street”. Ten film o życiu angielskich robotników był dla niej tak fascynujący, że mogła siedzieć godzinami, myśleć o swoim dużym, ładnym domu i ogrodzie, o wspaniałej pogodzie, o tenisie i plaży, w głębi serca bolejąc na losy mieszkańców Coronation Street. Jeśli już nie ma się innego wyjścia i trzeba być robociarzem, to jedynym miejscem na taki los była, jej zdaniem, Australia.

Tim nie opowiedział rodzicom o kanapce z łajnem — po prostu nie pamiętał całego zdarzenia. Kiedy razem z ojcem skończyli jeść, zostawili puste talerze na stole i przeszli do salonu.

— Es, daj sobie spokój z tymi głupstwami, chcemy obejrzeć sprawozdanie z rozgrywek krykietowych — powiedział Ron zmieniając kanał.

Es westchnęłaś

— Żałuję, że nie przyszłicie później, mogłabym sobie spokojnie obejrzeć film z Joan Crawford, a nie tylko ten sport i sport!

— Jak tylko Tim złapie trochę więcej dodatkowej roboty, kupimy telewizor wyłącznie dla ciebie, kochanie — mówił Ron ściągając buty i układając się wygodnie na sofie. — A gdzie jest Dawnie?

— Zdaje się, że wyszła z jakimś facetem.

— Kto to jest tym razem?

— A skąd, do diabła, mam to wiedzieć? Nigdy nie musiałam się o nią martwić. Jest zbyt cwana, żeby wpakować się w jakieś kłopoty.

Ron spojrzał na syna.

— Czy to nie dziwne, Es, że życie spletało nam takiego figla? Mamy najprzystojniejszego chłopaka w całym Sydney, który nie ma za grosz rozumu, i córkę, która ma go aż za dużo. On z trudnością się podpisuje i liczy ledwie do dziesięciu, a ona bez żadnego wysiłku mogłaby skończyć uniwersytet z wyróżnieniem, nawet bez studiowania.

Esme wzięła robótkę na drutach i smutno spojrzała na męża. Wiedziała, że ma żal do syna, chociaż na swój sposób był dla niego bardzo dobry — dbał o niego, opiekował się. Nieraz karmił go jak małe dziecko, ale jednocześnie zabierał na piwo. I nalegał, żeby Tim zaczął na siebie zarabiać jak każdy normalny chłopak. I tak było dobrze, bo oboje nie byli już tacy młodzi. Ron dobiegał siedemdziesiątki, a Esme była tylko o kilka miesięcy młodsza. Lekarz powiedział, że to właśnie z powodu ich wieku Tim nie jest normalny.

Miał teraz dwadzieścia pięć lat i był ich pierwszym dzieckiem. Ron i Esme byli dobrze po czterdziestce, kiedy się urodził. Lekarze ostrzegali, że mogą być kłopoty, bo jej macica nie była już taka młoda, a na dodatek był to jej pierwszy poród. Ale przecież w rok później urodziła się Dawnie i była zupełnie normalna! Taka jest prawidłowość — powiedzieli jej lekarze. Największym niebezpieczeństwem dla kobiety rodzącej w tak późnym wieku jest pierwsze dziecko.

Esme w zamyśleniu przyglądała się Timowi, który siedział w swoim ulubionym fotelu stojącym przy ścianie, tuż przed telewizorem, i niczym małe dziecko obserwował akcję na ekranie. Wyglądał tak ładnie i słodko — z oczami błyszczącymi podnieceniem, głośno dopingując drużynę krykietową. Westchnęła, po raz setny myśląc, co się z nim stanie, kiedy jej i Rona zabraknie. Oczywiście Dawnie będzie musiała się nim zająć. Kocha przecież brata. Bardzo kocha. Jest mu bezgranicznie oddana. Niemniej któregoś dnia, znudzona studiami, zdecyduje się wyjść za mąż. Ale czy jej mąż zgodzi się na obecność Tima? Esme bardzo w to wątpiła. Kto chciałby zajmować się mężczyzną o psychice pięcioletniego dziecka, jeśli nie jest to krew z jego krwi, kość z jego kości?

Rozdział szósty

Sobota była równie upalna jak piątek. Tim, ubrany w świeżo uprasowane krótkie spodnie, podkolanówki i koszulkę z krótkimi rękawami, wyruszył do Artarmon o szóstej rano. Matka zawsze zwracała baczną uwagę, jak jest ubrany. Przygotowywała mu pierwsze śniadanie i pakowała kanapki na drugie. Upewniała się, czy ma w torbie czysty kombinezon i czy ma przy sobie wystarczająco dużo pieniędzy na wszelki wypadek.

Dochodziła siódma, kiedy Tim zapukał do kuchennych drzwi Mary Horton. Mary spała jeszcze w najlepsze. Zerwała się z łóżka, półprzytomna przebiegła przez dom, wciągając po drodze na białą bawełnianą piżamę ciemnoszary szlafrok. Ręką próbowała przygłodzić nie poddające się temu zabiegowi potargane włosy.

— O Boże, czy zawsze przychodzisz do pracy o siódmej rano? — wymamrotała przecierając zaspane oczy.

— Zwykle wszyscy chcą, żeby zaczynać robotę o tej porze — powiedział Tim i uśmiechnął się.

— No dobrze, skoro już jesteś, pokażę ci, co masz robić — zdecydowała Mary i poprowadziła go przez patio i trawnik do niewielkiej, obrosłej paprociami altany.

Paprocie znakomicie maskowały jej przeznaczenie. Znajdował się tam po prostu skład narzędzi ogrodniczych i nawozów. Miejsca było wystarczająco dużo, stał więc tam też niewielki traktor, przykryty plandeką na wypadek, gdyby dach zaczął przeciekać — ale jeszcze nigdy nie zdarzyło się, żeby dach przeciekał, przecież altana należała do Mary Horton!

— Tutaj jest traktor i przyczepiona kosiarka. Czy potrafisz się z tym obchodzić?

Tim zdjął plandekę i z czułością pogłodził lśniąca karoserię.

— Jest przepiękny!

Mary walczyła z ogarniającym ją zniecierpliwieniem.

— Piękny czy nie, chciałabym wiedzieć, czy potrafi pan to obsługiwać, panie Melville?

Niebieskie oczy spojrzały na nią z ogromnym zdziwieniem.

— Dlaczego mnie pani nazywa panem Melville? — spytał. — Pan Melville to mój ojciec, ja nazywam się po prostu Tim.

O Boże! — pomyślała Mary. — On jest zupełnym dzieciakiem. — A głośno powiedziała:

— Jak sobie życzysz. Jeśli będziesz czegoś potrzebował, zapukaj do kuchennych drzwi.

— Jasne, psze pani — odrzekł zadowolony, wciąż uśmiechając się.

— I nie mów do mnie „psze pani” — rzuciła ostro. — Nazywam się Horton, panna Horton!

— Jasne, panno Horton — zgodził się energicznie, zupełnie nie zbity z tropu.

Zanim Mary wróciła do domu, była już zupełnie rozbudzona. Planowała, że poleży w łóżku jakiś czas, ale teraz zrezygnowała z tego zamiaru. Za chwilę ruszy traktor i wylegiwanie się przestanie mieć jakikolwiek sens.

Jej dom był klimatyzowany. Niezależnie od temperatury i wilgotności na zewnątrz, w środku zawsze było chłodno i sucho.

Przygotowała sobie grzanekę i herbatę. Po chwili namysłu zdecydowała, że znacznie przyjemniej będzie zjeść śniadanie na tarasie. Przy okazji będzie mogła przypilnować nowego ogrodnika.

Gdy wynosiła niewielką tacę na zewnątrz, była już ubrana w prostą, szarą, bawełnianą sukienkę, sterylnie czystą i dokładnie uprasowaną — jak wszystko, w co się ubierała. Był to jej typowy weekendowy strój. Włosy, które na noc zaplatała w warkocz, teraz były upięte w kok. Mary nigdy nie nosiła kapci czy sandałów, nawet gdy była w letnim domku niedaleko Gosford. Po wstaniu z łóżka od razu ubierała się, nakładała pończochy i solidne, czarne buty.

Kiedy usiadła przy zrobionym z kutego żelaza, pomalowanym na biało stole ogrodowym, stojącym obok balustrady tarasu, i nalewała herbatę do filiżanki, kosiarka pracowała już na podwórzu za domem, tam gdzie trawnik opadał łagodnie w zagłębienie pozostałe po cegielni. Tim prowadził traktor powoli i metodycznie, pracując z tym samym poświęceniem, z jakim robił wszystko, co zlecał mu Harry Markham. Wysiadał z traktora i sprawdzał, czy nie pozostawiał jakichś nie skoszonych kawałków trawnika.

Jedząc grzanekę i popijając herbatę, Mary nie spuszczała wzroku z widocznej w oddali postaci. Ponieważ nigdy nie zastanawiała się nad sobą ani nie analizowała własnego zachowania, nie przyszło jej do głowy, żeby przynajmniej spróbować zrozumieć, dlaczego wpatruje się w tego chłopaka. Wiedziała jedynie, że fascynuje ją w jakiś sposób, i to wszystko. Nawet przez moment nie pomyślała, że ta fascynacja może mieć coś wspólnego z pożądaniem.

— Dzień dobry, panno Horton! — do uszu Mary doleciał ochryply głos pani Parker.

W chwilę później usadowiła wygodnie swoje ciało, zakutane we wściekle kolorowy materiał, w stojącym obok Mary fotelu.

— Dzień dobry, pani Parker. Może napije się pani herbaty? — zapytała Mary raczej chłodno.

— Herbatka? To miło z pani strony. Nie, proszę nie wstawać, sama pójde po filiżankę.

— Nie, nie. Proszę panią! I tak muszę pójść do kuchni, żeby zaparzyć świeżą herbatę.

Kiedy Mary wróciła z dzbankiem świeżej herbaty i kilkoma tostami, Emily Parker siedziała z brodą opartą na dłoni i patrzyła na Tima.

— Miała pani znakomity pomysł, żeby zatrudnić Tima do strzyżenia trawy. Zauważyłam, że dość dawno nie pojawił się facet, który to robił. Ja jestem w dużo lepszej sytuacji. Jeden z moich synów zawsze wpada co jakiś czas i kosi trawę, ale pani nie ma nikogo bliskiego, prawda?

— Wczoraj, spełniając pani prośbę, poszłam przypilnować robotników i właśnie wtedy spotkałam Tima, bo zdaje się, jemu kazali to zrobić. Odniosłam wrażenie, że był zadowolony z możliwości zarobienia kilku dodatkowych dolarów.

Pani Parker zignorowała ostatnie zdanie.

— Czy to nie typowe dla tych przeklętych łajdaków? — zrzędziła.

— Nie dość, że znęcają się nad dzieciaczną przez cały dzień, to jeszcze zostawiają mu całą brudną robotę, a sami zwiewają do pubu, gałgany! Na dodatek mieli czelność powiedzieć mi, że na pewno posprzątają! Urwę za to panu Markhamowi kilka setek z rachunku, pożałuje tego!

Mary odstawiła filiżankę i patrzyła zaskoczona na panią Parker.

— Czemu tak bardzo się pani tym przejmuje? — spytała. Żółte i purpurowe bratki okrywające obfitą pierś pani Parker uniosły się, a potem opadły, gdy smutne westchnienie wydobyło się z jej ust.

— A pani by się nie zajmowała? Zupełnie zapomniałam, że wczoraj prawie się nie widziałyśmy i nie zdążyłam opowiedzieć, co te bydlaki zrobiły temu biednemu chłopcu. Czasami mam ochotę zabić każdego mężczyznę, przysięgam. Cały czas odnoszę wrażenie, że mężczyźni nie mają w sobie ani odrobiny sympatii czy zrozumienia dla słabszych, chyba że dla pijaka albo cwaniaczka. Ale gdy ktoś jest taki jak Tim, dobrze pracuje i stara się, to nie może liczyć na choćby odrobinę współczucia. Robią sobie z niego chłopca do

bicia, mają go za Głupiego Jasia, a ten biedaczek nawet nie zdaje sobie z tego sprawy! Nie może tego zmienić, bo taki się już urodził. To strasznie smutne! Żeby chłopak z taką urodą był zupełnie pozbawiony rozumu! Płakać mi się chce! Ale niech pani posłucha, co ci dranie zrobili mu wczoraj w czasie przerwy...

Nosowy głos pani Parker załamywał się kilkakrotnie podczas opowiadania. Mary słuchała jej nieuważnie, wpatrywała się w złotą głowę pochylającą się raz po raz nad trawą w odległej części podwórza.

Wczoraj wieczorem, zanim poszła do łóżka, przewertowała prawie wszystkie albumy w swojej bibliotece poszukując twarzy podobnej do niego. Botticelli! — zastanawiała się znalazłszy album z reprodukcjami jego obrazów, ale odłożyła go niezadowolona. Twarze były tam gładkie i zniewieściałe, zbyt subtelne i kocie. W końcu, rozczarowana, dała spokój poszukiwaniom. Jedynie w rzeźbach starożytnej Grecji i Rzymu doszukała się nikłych śladów podobieństwa — być może dlatego, że urodę Tima łatwiej było przedstawić w kamieniu niż na płótnie. Mary żałowała, że jej nie obdarzone żadnym talentem ręce nie zdołają uwiecznić jego urody.

Chciało się jej płakać — tak bardzo była rozczarowana. Cóż za ironiczna przewrotność losu! Jego pełna wyrazu twarz i rozumne spojrzenie były jedynie maską, za którą nic się nie kryło. Upośledzony umysł nie potrafił prawidłowo myśleć i rozumieć. Nie różnił się od kota czy psa, trzymanych w domu ze względu na ich urodę i ślepe oddanie. Te stworzenia nie umieją myśleć, inteligentnie odpowiedzieć na zadane pytanie, czy też błyskotliwie zainspirować innych. Wszystko, co potrafią, ogranicza się do obecności, zadowolenia z losu i kochania. Dokładnie tak samo jest z Timem — prostaczkiem. Jedząc łajno nawet nie zwymiotował, tak jak zareagowałyby każda inteligentna istota, tylko rozplakał się jak psiak, który zacząłby wyć w podobnej sytuacji, i dał się łatwo pocieszyć perspektywą zjedzenia czegoś dobrego.

Pozbawiona dzieciństwa, miłości, jakiegokolwiek wpływu innych ludzi, Mary Horton nie miała żadnych emocjonalnych doświadczeń, które w jakiś sposób pozwoliłyby jej ocenić przeżycie związane ze spotkaniem Tima. Jej uczucia były tak samo niedorozwinięte jak umysł Tima. Nie zdawała sobie sprawy, że Tima można pokochać wbrew temu albo właśnie dlatego, że jest taki bezbronny i niedojrzały. Poznawała go w taki sam sposób, w jaki Sokrates poznawał Alkibiadesa — starzejący się, niezbyt sympatyczny filozof zetknął się z przytłaczającą go młodością, fizycznym i intelektualnym

pięknem. Wyobraziła sobie, jak wprowadza chłopaka w muzykę Beethovena i pisarstwo Prousta, rozwija młody, dziewiczy umysł, aż osiągnie poziom, na którym bez problemu pojmuje się sztukę, a piękno jego myśli stanie się równe pięknu jego ciała. Na razie jednak chłopak był głupiotki i niedorozwinięty.

Mieszkańcy Artarmon w typowy dla Australijczyków sposób oceniali ludzi. Ich inteligencję, potencjał intelektualny, ich umiejętności przekładali po prostu na język pieniądza. Upośledzony Tim znajdował się na niższym stopniu tej specyficznej hierarchii. Społeczność oceniła, że jego wartość wynosi niecałego funta. Nieważne było, czy jest to dziewięćdziesiąt czy tylko dziewięć centów, pewne jednak było, że nie jest to cały funeiak.

Pani Parker nie zdawała sobie sprawy, że przyciąga jedynie część uwagi Mary. Paplała, zadowolona z siebie, o zupełnym braku wrażliwości u przeciętnego mężczyzny, wypila kilka filiżanek herbaty i sama sobie odpowiadała na zadawane pytania. W końcu jednak podniosła się z fotela i zaczęła zbierać do wyjścia.

— Do widzenia, lalczko, i dzięki za herbatkę. Gdybyś nie miała w lodówce niczego, co mogłoby mu sprawić przyjemność, przyślij go do mnie, wiem dobrze, jak go nakarmić.

Mary przytakiwała machinalnie. Po odejściu pani Parker bez skrupowania mogła myśleć tylko o Timie. Spojrzawszy na zegarek, zorientowała się, że dochodzi już dziewiąta. Przypomniała sobie, że robotnicy pracujący na dworze mają zwyczaj coś zjeść właśnie o tej porze. Wróciła do domu, zaparzyła świeżą herbatę, rozmroziła ciasto czekoladowe i posmarowała je grubą warstwą bitej śmietany.

— Tim! — zawołała stawiając tacę na stoliku pod dachem z winorośli.

Słońce zaczynało już niezłe przypiekać i gdyby stolik został przy balustradzie, promienie nagrzałyby go zbyt mocno.

Tim spojrzął na Mary, pomachał jej ręką i zatrzymał traktor, chcąc usłyszeć, co powiedziała.

— Tim, przyjdź tutaj, napijemy się herbaty.

Twarz rozjaśniła mu się szczenięcą radością. Zeskoczył z traktora, przebiegł trawnik, zniknął na chwilę w altance, po czym pojawił się z papierową torbą w rękę. Wbiegł po schodkach, przeskakując co drugi stopień.

— Dzięki, że mnie pani zawołała, panno Horton, zupełnie straciłem poczucie czasu — mówił sadowiąc się w fotelu, który mu wskazała, i czekał cierpliwie, aż mu powie, że może zacząć jeść.

— Znasz się na zegarku, Tim? — spytała miękko, zdziwiona własną łagodnością.

— Nie, nie za bardzo. Wiem mniej więcej, kiedy trzeba wracać do domu. Wtedy, kiedy duża wskazówka jest u góry, a mniejsza trzy miejsca niżej. Wtedy jest trzecia godzina. Nie mam swojego zegarka, bo tato mówi, że zaraz bym go zgubił. Mnie to nie przeszkadza. Zawsze przecież można kogoś spytać o godzinę albo inni powiedzą, jak na przykład wtedy, kiedy jest pora na przygotowanie herbaty przed przerwą, albo wtedy, kiedy jest już czas na lunch, albo czas iść do domu. Nie jestem pełnym funciakiem, ale wszyscy o tym wiedzą, więc to nie ma znaczenia.

— Tak, rzeczywiście, to nie ma znaczenia — powiedziała smutno Mary. — Jedz, Tim! Całe ciasto jest dla ciebie.

— O, kurczaki! Uwielbiam ciasto czekoladowe, zwłaszcza jeśli ma tak dużo kremu jak to! Dzięki, panno Horton!

— A z czym lubisz herbatę?

— Bez mleka i z mnóstwem cukru.

— Mnóstwem cukru? Ile to jest?

Spojrzał na nią i zmarszczył brwi zastanawiając się. Prawie całą twarz miał umazaną kremem.

— O rany, nie pamiętam. Wsypuję tyle cukru, aż herbata się wylewa na spodek, wtedy wiem, że akurat tyle, ile trzeba.

— Chodziłeś kiedykolwiek do szkoły, Tim? — Mary próbowała dowiedzieć się o nim czegoś więcej.

— Bardzo krótko. Niczego nie mogłem się nauczyć, więc przestali mnie posyłać. Byłem w domu i opiekowałem się mamą.

— Ale rozumiesz, co się do ciebie mówi, i potrafisz sam obsługiwać traktor!

— Niektóre rzeczy są łatwe, ale czytanie i pisanie jest potwornie trudne, panno Horton.

Mary, dziwiąc się samej sobie, pogłaskała go po głowie i pomieszała mu herbatę.

— W porządku, Tim, to nie ma znaczenia.

— Tak właśnie mówi mama.

Zjadł całe ciasto i przypomniał sobie o torbie z drugim śniadaniem. Z jej zawartością też się łatwo uporał, a wszystko popił trzema dużymi filiżankami herbaty.

— Jak słowo daję, panno Horton, to było coś wspaniałego! — westchnął uśmiechając się z wdzięcznością.

— Mam na imię Mary. Znacznie prościej jest powiedzieć Mary niż panno Horton, nie sądzisz? Dlaczego nie nazywasz mnie po prostu Mary?

Tim spojrzał na nią z powątpiewaniem.

— Myśli pani, że tak będzie dobrze? Tato mówi, że do starszych ludzi powinienem mówić pan, pani albo panno.

— Czasem nie ma w tym nic złego, na przykład między przyjaciółmi.

— He?

— Nie jestem przecież taka stara, Tim. Mam po prostu siwe włosy i dlatego wyglądam staro. Myślę, że twój ojciec nie gniewałby się, gdybyś nazywał mnie Mary.

— Naprawdę twoje włosy nie znaczą, że jesteś stara, Mary? Zawsze myślałem, że tak jest! Tata i mama są siwi, a wiem przecież, że są starzy.

On ma dwadzieścia pięć lat — pomyślała Mary — a więc jego rodzice są prawdopodobnie niewiele starsi ode mnie.

— Jestem od nich trochę młodsza — powiedziała głośno — a więc nie jestem jeszcze taka bardzo stara.

Tim wstał.

— Już czas wracać do roboty. Masz strasznie duży trawnik, Mary. Ale może dam radę skończyć dzisiaj.

— Nawet gdybyś nie zdążył, jest jeszcze bardzo wiele dni. Mógłbyś przyjść kiedy indziej i dokończyć.

Potraktował to bardzo poważnie.

— Chyba chciałbym jeszcze przyjść, jeśli tato się zgodzi — powiedział i uśmiechnął się. — Lubię cię, Mary, nawet bardziej niż Micka i Harry'ego, i Jima, i Billa, i Curly'ego, i Dave'a. Lubię cię bardziej niż innych, poza mamą, tatą i moją Dawnie. Jesteś ładna i masz bardzo ładne białe włosy.

Mary wstrząsnął dreszcz nieznanych emocji. Z trudem udało się jej uśmiechnąć.

— Bardzo ci dziękuję, Tim, to ładnie z twojej strony.

— Nie ma sprawy — odpowiedział nonszalancko. Zeskoczył ze schodów, trzymając obie dłonie na wysokości uszu i kręcąc zabawnie kuperkiem. — To moja specjalna sztuczka. Udaję królika! — zawołał biegnąc przez trawnik.

— Świetnie ci to wyszło, Tim! Kiedy tylko zacząłeś skakać, od razu wiedziałam, że to królik! — krzyknęła za nim. Zebrała naczynia i wniosła je do środka.

Okazało się, że z dużym trudem prowadziła rozmowę na poziomie dziecka. Nigdy przedtem nie miała do czynienia z dziećmi, ale była wystarczająco spostrzegawcza, żeby zorientować się, jak łatwo można Tima zranić, i bardzo uważała na to, co mówi. Zdała sobie sprawę, że musi kontrolować swoje zachowanie i nie może okazywać rozczarowania. Jeśli tylko pozwoli sobie na złośliwość, Tim, nawet jeśli nie zrozumie słów, łatwo odczyta zawartą w nich intencję. Przypomniała sobie, jak mówiła do niego poprzedniego dnia, kiedy zdawało jej się, że specjalnie udaje przed nią głupka. Przygnębiło ją to bardzo. Biedny Tim! Żyje nieświadomy niuansów i ukrytych znaczeń prowadzonych między dorosłymi rozmów i przez to staje się ich ofiarą. A ją polubił! Uważał, że jest ładna, bo ma białe włosy, podobne do włosów jego rodziców.

Dlaczego więc jego twarz jest taka smutna, skoro wie tak niewiele i porusza się w bardzo ograniczonej przestrzeni?

Mary wyprowadziła samochód z garażu i pojechała do supermarketu po zakupy. Okazało się bowiem, że w domu nie ma nic, co Tim mógłby uznać za atrakcyjne. Czekoladowe ciasto było żelazną rezerwą trzymaną na wypadek niespodziewanych gości, a bita śmietana to skutek pomyłki mleczarza, który ją zostawił tego ranka przed drzwiami. Wiedziała, że Tim przyniósł kanapki, ale obawiała się, że ich liczba okaże się niewystarczająca. Może sprawiłby mu przyjemność hamburger czy hot-dog — ulubione dania dzieci?

— Byłeś kiedykolwiek na rybach? — spytała w czasie lunchu.

— O, tak! Uwielbiam łowić ryby — odpowiedział zaczynając trzeciego hot-doga. — Tato czasami zabiera mnie, jeśli ma trochę czasu.

— A ojciec często jest zajęty?

— Często. Chodzi na wyścigi, na mecze krykietowe i futbolowe, i inne też. Nie chodzę z nim, bo robi mi się niedobrze w tłumie. Przez ten hałas i wszystkich ludzi od razu boli mnie głowa i brzuch.

— W takim razie muszę cię kiedyś zabrać na ryby — powiedziała Mary.

Było już dobrze po południu, kiedy Tim skończył koszenie trawnika z tyłu domu i przyszedł zapytać o frontową część. Mary spojrzała na zegarek.

— Dzisiaj chyba damy sobie spokój, już czas wracać do domu. Może przyjdiesz w przyszłą sobotę i skosisz trawnik od frontu? Jeśli oczywiście tato ci pozwoli.

— Jasne, Mary — przytaknął zadowolony.

— Idź teraz do altany i przynieś swoją torbę. Możesz się przebrać w mojej łazience. W lustrze będziesz mógł sprawdzić, czy wszystko dobrze nałożyłeś.

Wnętrze jej domu, czyste i surowe, zafascynowało go. Zagłębiając palce bosych stóp w miękkim, grubym, wełnianym dywanie, głośno zachwycił się urządzone w szarej tonacji salonem. Na twarzy malowało mu się uniesienie, gdy głaskał perłowszare, aksamitne obicia mebli.

— O rany, Mary, strasznie podoba mi się twój dom! — wykrzyknął. — Wszystko tutaj jest takie miękkie i przyjemnie chłodne.

— Chodź, pokażę ci bibliotekę — zaproponowała Mary, chcąc pochwalić się źródłem swojej dumy i radości. Miała na to tak wielką ochotę, że nawet nie zwróciła uwagi, kiedy wzięła chłopaka za rękę i pociągnęła za sobą.

Niestety, biblioteka nie zrobiła na nim najmniejszego wrażenia. Patrzył przestraszony i bliski płaczu.

— Ile tu książek! — wyszeptał tylko i nie chciał zostać dłużej, choć zauważył, że robi jej tym przykrość.

Przez kilka minut uspokajała go z mocnym postanowieniem, że w przyszłości nie będzie mu pokazywała rzeczy dla niego niezrozumiałych. Kiedy tylko Tim otrząsnął się z pierwszego wrażenia i zmieszania, zauważył krytycznie, że jej dom pozbawiony jest kolorów.

— To wszystko jest bardzo ładne, Mary, ale ma taki sam kolor — mówił przejęty. — Dlaczego nie masz nic czerwonego? Uwielbiam czerwony!

— A czy możesz mi powiedzieć, jaki to kolor? — spytała Mary pokazując czerwoną zakładkę do książki.

— Czerwony, to jasne! — odpowiedział trochę urażony.

— W takim razie zobaczymy, co się da zrobić — obiecała.

— W tej kopercie — podała mu kopertę z trzydziestoma dolarami, była to suma większa, niż jakikolwiek robotnik mógł zarobić w Sydney — są pieniądze, mój adres i numer telefonu. Chciałabym, żebyś to oddał ojcu, kiedy wrócisz do domu — instruowała.

— Będzie się mógł wtedy ze mną skontaktować. Nie zapomnisz? Oddasz mu zaraz po powrocie?

Spojrzał na nią dotknięty do żywego.

— Nigdy nie zapominam, jeśli tylko powie mi się tak jak trzeba — objaśnił.

— Przepraszam, Tim, nie chciałam się urazić — odpowiedziała Mary, choć nigdy do tej pory nie zwracała uwagi, czy to, co mówi, może kogokolwiek zranić. Oczywiście nie mówiła bez przerwy i wyłącznie w sposób, który sprawiałby ludziom przykrość, ale unikała mówienia rzeczy nieprzyjemnych kierując się wyłącznie taktem, dyplomacją i dobrymi manierami, a nie odczuciami innych ludzi.

Mary, stojąc przed domem, pomachała mu na pożegnanie. Nie chciał, żeby go odwiozła na stację kolejki. Kiedy odszedł kawałek, podeszła do bramy i wychyliła się, patrząc za nim aż do chwili, kiedy zniknął za rogiem.

Dla przypadkowego przechodnia, obserwującego Tima na ulicy, mógłby się on wydawać wyjątkowo przystojnym, zdrowym i pełnym wigoru młodym człowiekiem, który — jeśli tylko zechce — może mieć świat u swoich stóp.

To jakiś dowcip greckich bogów — pomyślała Mary. — Tylko oni mogli spłatać takiego figla. Stwarzali świat i ludzi, a potem ich ścigali karzącą ręką za zbytnią pychę i zapomnienie o czci i szacunku należnym bogom. Jakże muszą się teraz śmiać widząc Tima!

RS

Rozdział siódmy

Ron, jak zwykle, czekał w hotelu Seaside. Dziś jednak przyszedł znacznie wcześniej niż w inne soboty. Po pracy naładował do przenośnej lodówki piwa i pojechał na mecz krykietowy. Miał na sobie szorty, sandały i koszulę rozpiętą aż do pasa — dzięki czemu ledwo wyczuwalna bryza chłodziła jego rozpalone ciało. Curly i Dave nie przyjechali jeszcze. Z przyjemnością wylegiwał się samotnie na porośniętym trawą wzgórzu obok boiska krykietowego i drzemał w słońcu. Właściwie czuł się zadowolony, że jest sam. Ale wytrzymał tylko kilka godzin. Krykiet posuwał się w normalnym, ślimaczym tempie, a kiedy dwa konie z farmy Warwick, na które postawił, przyszły ostatnie, zapakował piwo, radio i ruszył w kierunku Seaside prowadzony niezawodnym instynktem psa myśliwskiego. Powrót do domu oczywiście nie przyszedł mu do głowy. Jak w każde sobotnie popołudnie Es grała w tenisa w lokalnym klubie, który Ron żartobliwie nazywał „Wal i Chichocz”. Tim pracował, a Dawnie wyszła na pewno z jakimś kolejnym, zagadkowym wielbicielem. A zatem dom był pusty.

Kiedy około czwartej Tim przyszedł do Seaside, twarz Rona rozjaśniła się zadowoleniem. Z radości kupił mu kufel piwa.

— Jak poszło, kolego? — zapytał syna, kiedy oparli się obaj o kolumnę i patrzyli w dal na ocean.

— Świetnie, tato! Mary jest naprawdę bardzo miła.

— Mary? — Ron spojrzał na Tima lekko zaniepokojony.

— Panna Horton. Poprosiła, żeby nazywać ją Mary. Trochę się tego bałem, ale powiedziała, że tak jest dobrze. To nic złego, tato, prawda? — dopytywał się Tim nerwowo. Zauważył bowiem coś niezwykłego w reakcji ojca.

— Nie wiem, synu. A jaka jest ta panna Horton?

— Jest bardzo miła, tato. Dała mi całą masę pysznych rzeczy do jedzenia i pokazała swój dom. Cały! Ma klimatyzację, tato! Ma bardzo ładne meble i dywany, ale wszystko jest szare i dlatego spytałem, dlaczego nie ma nic czerwonego, a ona powiedziała, że zobaczy, co się da zrobić.

— Dotykała cię, synu?

Tim spojrzał na ojca nie rozumiejąc.

— Dotykała? O rany, nie wiem. Chyba tak. Wzięła mnie za rękę, kiedy pokazywała książki — skrzywił się. — Nie podobają mi się jej książki, ma ich za dużo.

— A jest ładna, synu?

— O rany, no! Ma najpiękniejsze białe włosy, takie jak twoje i mamy, tylko bardziej białe. To przez te włosy nie wiedziałem, czy mogę jej mówić Mary, bo przecież ty i mama zawsze powtarzacie, że to niegrzecznie mówić do starszych po imieniu.

Ron się uspokoił.

— Och! — poklepał syna po ramieniu. — Prawdę mówiąc, przestraszyłeś mnie trochę. To starsza osoba, tak?

— Tak.

— Zapłacała ci tak, jak obiecała?

— Aha! Mam tu kopertę. Jej nazwisko i adres są w środku. Powiedziała, żebym ci to oddał, bo może zechcesz z nią porozmawiać. A dlaczego miałbyś z nią rozmawiać, tato? Zupełnie nie wiem, dlaczego.

Ron wziął kopertę.

— Ja nie chcę z nią rozmawiać, synu. Skończyłeś robotę?

— Nie, tam jest za dużo trawy. Jeśli się zgodzisz, to chciała, żebym przyszedł w przyszłą sobotę skosić trawnik od frontu.

W kopercie znajdowały się trzy szeleszczące, nowe banknoty dziesięciodolarowe. Ron patrzył na nie, a potem na widoczne w charakterze pisma wykształcenie i zdecydowanie. Doszedł do wniosku, że ani młode dziewczyny, ani samotne kury domowe nie mają takiego charakteru pisma. Trzydzieści funciaków za jeden dzień pracy w ogrodzie! Schował banknoty do portfela i poklepał Tima po plecach.

— Zrobiłeś kawał dobrej roboty, synu. Oczywiście, jeśli masz ochotę, możesz iść w przyszłą sobotę i dokończyć koszenia. Prawdę mówiąc, za takie pieniądze możesz pracować dla niej, kiedy tylko zechce.

— Fajnie, dzięki, tato! — powiedział Tim i zdecydowanie przewrócił kufel do góry dnem. — Mogę dostać jeszcze jedno piwo?

— Czy nigdy nie nauczysz się pić powoli, Tim?

Na twarzy Tima natychmiast pojawił się wyraz smutku.

— Kurczę! Znowu zapomniałem. Naprawdę chciałem wypić powoli, ale miało pyszny smak i dlatego zapomniałem.

Ron pożałował własnej niecierpliwości.

— Nie martw się, to nie ma żadnego znaczenia. Idź i poproś Florrie o drugi kufelek „Starego”.

„Stare”, chociaż stosunkowo mocne, jak prawie każde piwo australijskie, nie miało, zdaje się, żadnego wpływu na Tima. Niektórzy stuknięci dostają małego rozumu od samego zapachu — zastanawiał się Ron — a tymczasem

Tim, pijąc tyle samo co on, musiał czasami odprowadzać zalanego staruszka do domu, a sam był prawie zupełnie trzeźwy.

— Kim jest ta Mary Horton? — zapytała Es męża wieczorem, kiedy Tim leżał już w łóżku.

— Jakaś stara dziwaczka z Artarmon. — Ron pomyślał o trzydziestu dolarach w kieszeni i spojrzał na żonę łagodnie. — Tak mi się przynajmniej wydaje. Jest dla niego miła. A jak będzie zajęty w sobotę jej ogrodem, nie przyjdzie mu do głowy żadne głupstwo.

— A ty nie będziesz musiał go pilnować, tylko będziesz latał z kolesiami na wyścigi ciężarówek i do pubu — skomentowała po swojemu, z wprawą nabytą długoletnim doświadczeniem.

— Do jasnej cholery, Es, nie można takich rzeczy opowiadać mężczyźnie!

— Ha! — prychnęła odkładając robótkę na drutach. — Prawda kłuje w oczy, zgadza się? Zapłaciła mu, hę?

— Parę funciaków.

— Które ty, oczywiście, schowałeś od razu do swojego portfela!

— Naprawdę niewiele tego było. Co ty sobie wyobrażasz, stara podejrzliwa babo, ile można dostać ze strzyżenie trawnika? Na pewno nie majątek, tego możesz być cholernie pewna.

— Dopóki będę dostawała wystarczająco dużo na prowadzenie domu, nic mnie nie będzie obchodzić, ile mu zapłaciła, łajdaku!

— Es wstała i przeciągnęła się. — Chcesz herbaty, kochanie?

— Oj, to byłoby bardzo przyjemne. A gdzie Dawnie?

— Skąd, do diabła, mam to wiedzieć? Ma dwadzieścia cztery lata i jest panią swoich zachcianek.

— Tak, dopóki nie stanie się panią zachcianek kogoś innego! Es wzruszyła ramionami.

— Dzisiaj dzieciaki nie myślą już tak samo, jak my myśleliśmy w ich wieku, i nie ma sensu wtrącać się w ich sprawy. Nawiasem mówiąc, zapytasz Dawnie, gdzie i z kim była na randce?

Ron poszedł za Es do kuchni, poklepując ją przymilnie po pośladkach.

— O rany, nie! Znowu patrzyłaby na mnie, a ten jej cholerny długi nochal wydłużyłby się jeszcze bardziej, zalałaby mnie potokiem słów, których nie rozumiem, i skończyłoby się na tym, że jak na mężczyznę, czułbym się potwornie głupio.

— Żałuję, że pan Bóg nie obdarował naszych dzieci rozumem bardziej sprawiedliwie. — Es westchnęła stawiając czajnik na ogniu. — Gdyby podzielił go równo, mielibyśmy dwójkę wspaniałych dzieciaków.

— Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem, staruszko. Masz jakieś ciasto?

— Wolisz z owocami czy z makiem?

— Z makiem, słonko.

Usiedli przy kuchennym stole i nie wiedzieć kiedy zjedli połowę makowca i wypili z sześć filiżanek herbaty.

RS

Rozdział ósmy

Tylko dzięki wewnętrznej dyscyplinie udało się Mary Horton przeżyć kolejny tydzień w Constable Steel and Mining i nie myśleć, że w jej życiu pojawił się Tim Melville. Jak zwykle, zdejmowała ubranie przed skorzystaniem z ubikacji, popędzała Archie Johnsona i wyciskała siódme poty z siedemnastu maszynistek, gońców i urzędników. Ale kiedy przychodziła do domu, okazywało się, że lektura nie jest już zajęciem tak pociągającym. Czas spędzała głównie w kuchni, czytając książki kucharskie, przygotowując puddingi, sosy i ciasta. Musiała przyznać, że to dzięki poczuciu sprawiedliwości Emily Parker dowiedziała się o kulinarnych upodobaniach Tima. Chciała na sobotę przygotować dla niego jak najwięcej smakołyków.

Któregoś dnia w czasie lunchu Mary pojechała do jednego z dekoratorów wnętrz i kupiła bardzo drogi szklany stolik do kawy w rubinowym kolorze. Potem wyszukała kanapę obitą aksamitem w pasującym do niego odcieniu. Patrzenie na głęboki, wibrujący kolor męczyło ją początkowo, ale gdy tylko przyzwyczaiła się do niego, musiała przyznać, że ten ciemnoczerwony komplet znacznie poprawił wygląd jej lodowatego salonu. Puste, perłowszare ściany nagle stały się cieplejsze i Mary nawet pomyślała, że Tim pewnie instynktownie odczuwa piękno otoczenia. Być może pewnego dnia zabierze go do galerii i przekona się, jakich dokona odkryć.

W piątkowy wieczór Mary poszła spać wyjątkowo późno. Spodziewała się, że ojciec Tima zadzwoni i powie jej, że się nie zgadza, by jego syn pracował w czasie cennych, wolnych godzin weekendu. Telefon jednak nie zadzwonił. Mary, znów zaskoczona, zerwała się z łóżka

O siódmej, obudzona waleniem w kuchenne drzwi. To był Tim. Tym razem od razu zaprosiła go do środka i zaproponowała herbatę.

— Nie, dziękuję. Nic mi nie trzeba — odpowiedział na jej propozycję. Niebieskie oczy świeciły radością.

— W takim razie idź do małej łazienki przy pralni i przebierz się, a ja w tym czasie coś na siebie włożę. Chciałabym pokazać ci, jak masz strzyc trawnik od frontu.

W chwilę potem Mary weszła do kuchni, jak zwykle bezszelestnym kocim krokiem. Ponieważ Tim jej nie słyszał, stanęła cicho przy drzwiach i patrzyła. Wydało jej się, że dopiero teraz, po raz pierwszy, naprawdę widzi jego urodę. Jakie to straszne i niesprawiedliwe — myślała. — Taka piękna powłoka ukrywa w sobie nic niewartego mieszkańca. Zawstydziała się. Nie powinna tak

myśleć. A może to właśnie był sens istnienia jego wspaniałego ciała? Może grzech i upadek zostały zatrzymane dzięki niewinności wczesnego dzieciństwa? Przecież gdyby normalnie dojrzał, mógłby teraz wyglądać zupełnie inaczej, może jak młody mężczyzna z obrazów Botticellego, nienaturalnie uśmiechnięty, z poczuciem własnej atrakcyjności widocznym w niebieskich oczach. Tim nie należał do dorosłej części rodzaju ludzkiego, był jedynie jego nie spełnioną zapowiedzią.

— Przyjdź tutaj, Tim, pokażę ci, co trzeba zrobić — odezwała się w końcu, całą siłą woli uwalniając się spod uroku chłopaka.

Cykady brzęczały i szumiały na każdym krzaku i drzewie. Mary zasłoniła uszy rękoma, uśmiechem tłumacząc mu powód swego zachowania, i ruszyła po gumowy wąż, jedyną broń, jaką posiadała przeciw tym muzykom.

— Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek cykady były takie dokuczliwe jak w tym roku — powiedziała, gdy hałas nieco przycichł, a krople wody ściekały na ścieżkę z ciężkich gałęzi oleandra.

— Briiiiiiiik'. — odezwał się dyrygent cykadziego chóru, gdy reszta owadów umilkła.

— Tam jest, stary drań — podeszła do oleandra rosnącego najbliżej drzwi wejściowych i rozchyliła mokre gałązki. Na próżno jednak wpatrywała się w podobne do katedry wnętrza krzewu. — Nigdy go nie znajdę — żaliła się kucając na piętach. Odwróciła się i uśmiechnęła do stojącego za nią Tima.

— Chcesz go dorwać? — spytał chłopak poważnie.

— Nawet nie wiesz, jak bardzo! To przez niego drze się cała reszta. Bez niego zachowują się jak niemowy.

— Złapię go dla ciebie.

Wsunął z dużą łatwością nagi tors między gałęzie, było widać tylko jego boscie nogi i stopy. Zdjął skarpety i buty, by łatwiej chodzić po miękkiej, wilgotnej trawie.

— Briiiiiiiik! — zagrała cykada sprawdzając, czy wyschła już na tyle, by rozpocząć koncert.

— Mam cię! — krzyknął Tim wynurzając się z krzaka z jedną ręką zaciśniętą wokół czegoś, co trzymał w dłoni.

Mary tak naprawdę nigdy w życiu nie widziała cykady, czasami tylko zdarzało się jej zauważyć w trawie pozostałości po wylince. Teraz nachyliła się nad dłonią Tima z odrobiną strachu. Jak większość kobiet, bała się pajaków, żuków i wszystkich pełzających, zimnokrwistych stworzeń.

— Siedzi tutaj, patrz, Mary! — zawołał Tim z dumą, delikatnie rozsuwając palce. Zobaczyła cykadę w całej okazałości. Tim chwycił owada delikatnie za końce skrzydeł.

— Faj! — Mary poczuła dreszcz. Wycofała się tak szybko, że nawet nie przyjrzała się dobrze.

— Nie bój się, Mary — prosił Tim, uśmiechając się i lekko potrząsając cykadą. — Zobacz, jaka jest cudowna. Cała zielona i śliczna jak motyl.

Pochylił swoją złotą głowę nad owadem. Mary patrzyła na obie istoty z nagłym, oślepiającym żalem. Wydawało się, że Tim i cykada stanowią wspólnotę — siedziała spokojnie na jego otwartej dłoni bez żadnych oznak strachu czy paniki. Była rzeczywiście piękna—jeśli tylko nie zwracało się uwagi na marsjańską antenkę na głowie i upodabniającą ją do kraba skorupkę — miała lśniące, zielone ciało, pokryte złotym pyłkiem, a jej oczy, odbijające światło, błyszczały niczym prawdziwe topazy. Na grzbiecie spoczywały złożone, przezroczyste skrzydełka, pokryte złocistymi żyłkami i lśniące wszystkimi kolorami tęczy. Nad nią dominował obraz Tima — równie obcy i równie piękny, równie prawdziwy i olśniewający.

— Tak naprawdę nie chcesz, żebym ją zabił? — zapytał z nagłym smutkiem.

— Nie — odpowiedziała odwracając się. — Schowaj ją z powrotem między gałęzie.

Tim skończył koszenie trawnika jeszcze przed lunchem. Mary podała mu dwa hamburgery i ogromną stertę frytek, a na deser parujący pudding owocowy, obficie polany bananowym budyniem.

— Chyba już wszystko zrobiłem, Mary — powiedział Tim dopijając trzecią filiżankę herbaty. — O rany, szkoda, że nie ma tu nic więcej do roboty. — Jego duże oczy patrzyły na nią tajemniczo. — Lubię cię, Mary, lubię cię bardziej niż Micka, Harry'ego, Jima, Billa, Curly'ego, Dave'a, lubię cię bardziej niż kogokolwiek poza tatą, mamą i moją Dawnie.

Mary poklepała go po dłoni i uśmiechnęła się z czułością.

— To bardzo miło z twojej strony, Tim, ale wydaje mi się, że to nieprawda, nie znasz mnie przecież wystarczająco długo.

— Nie ma już więcej trawy do skoszenia — westchnął, ignorując jej nieprzyjęcie komplementu.

— Trawa znowu urośnie, Tim.

— He? — Ten dźwięk był typowy dla Tima, kiedy chciał dać do zrozumienia, że coś, co zostało powiedziane albo zrobione, jest niedostępne jego zdolności pojmowania.

— Potrafisz pielić równie dobrze, jak ścinać trawę?

— Założę się, że tak. Cały czas to robię dla taty.

— Czy mógłbyś w takim razie przychodzić w każdą sobotę i zajmować się moim ogrodem? Strzyc trawę, sadzić rośliny, pielić kwiatowe grządki, opryskiwać krzewy, utrzymywać ścieżkę w należyтым porządku i nawozić ziemię?

Tim chwycił jej dłoń i potrząsnął energicznie, uśmiechając się szeroko.

— Och, Mary, strasznie cię lubię! Będę przychodził w każdą sobotę i będę dbał o ogród, obiecuję! Będę się opiekował ogrodem!

Kiedy Tim po południu wychodził, znowu miał w kopercie trzydzieści dolarów.

RS

Rozdział dziewiąty

Tim przepracował już pięć kolejnych sobót, kiedy Mary w piątkowy wieczór postanowiła zadzwonić do jego ojca.

— Tak? — Ron podniósł słuchawkę.

— Dobry wieczór, panie Melville, mówi Mary Horton, sobotnia przyjaciółka Tima.

Ron ze skupioną uwagą dał znać Es, żeby podeszła do niego i posłuchała.

— Och, miło mi panią słyszeć. Jak Tim sobie radzi? Czy wszystko w porządku?

— To prawdziwa przyjemność widzieć go w pobliżu, panie Melville. Lubię jego towarzystwo.

Ron chrząknął z zadowolenia i dumy.

— Z opowieści, jakie przynosi do domu, można się domyślać, że objada panią ze wszystkiego, co ma pani w domu, panno Horton.

— Och, to przesada. A poza tym to prawdziwa przyjemność patrzeć, jak je, panie Melville.

Przez chwilę w słuchawce zapanowała krępująca cisza. Dopiero Ron ją przerwał.

— A o co chodzi, panno Horton? Może pani nie chce, żeby Tim przyszedł w tym tygodniu?

— Prawdę mówiąc i tak, i nie, panie Melville. Chodzi o to, że w ten weekend muszę jechać do Gosford, żeby sprawdzić, co się dzieje z moim domkiem letniskowym. Zaniedbałam go bardzo, zajmując się prawie wyłącznie ogrodem przy domu. I właśnie zastanawiałam się, czy nie miałby pan nic przeciwko temu, żebym zabrała ze sobą Tima. Bardzo by mi się przydała jego pomoc. Jest tam trochę roboty, z którą Tim znakomicie by sobie poradził. To spokojne miejsce, mogę więc dać panu słowo, że nie spotka tam nikogo obcego i nie będzie narażony na jakiegokolwiek przykrości. Powiedział mi, że bardzo lubi łowić ryby, a mój domek znajduje się akurat w doskonałym miejscu do łowienia, dlatego pomyślałam, że może... może spodobałoby mu się tam. Wydaje mi się, że on lubi do mnie przychodzić, a ja też bardzo lubię jego towarzystwo.

Ron uniósł wymownie brwi, a Es, która przytaknęła mu energicznie, wzięła słuchawkę.

— Halo! Dobry wieczór, panno Horton. Mówi matka Tima... Dobrze, dziękuję. A jak pani zdrowie?... O, to bardzo miłe... Panno Horton, to

naprawdę bardzo uprzejmie z pani strony... Miło, że pani pomyślała o zaproszeniu Tima na ten weekend... Tak, jest czasami trochę samotny. Sama pani rozumie, że takiemu chłopakowi jest bardzo trudno... Doprawdy nie widzę żadnych przeszkód, jestem zdania, że taka mała odmiana dobrze mu zrobi... Tak, tak, sądzę, że on też bardzo panią lubi... Oddam jeszcze słuchawkę mężowi, dziękuję pani bardzo, panno Horton, dziękuję bardzo.

— Panno Horton — odezwał się Ron, bez mała wyrywając słuchawkę z rąk żony. — Słyszała pani, co mówiła moja staruszka. A skoro ona nie ma nic przeciwko temu, to ja tym bardziej... Tak, tak, ma pani rację. Oczywiście, przypilnuję, żeby się spakował i był u pani w sobotę o siódmej... Jasne, panno Horton... dziękuję pani... to na razie... dziękuję.

Mary zaplanowała tę osiemdziesięciokilometrową wycieczkę tak, jakby jechali na piknik. Bagażnik samochodu pełen był prowiantu, sprzętu i wszystkiego, co mogło ułatwić odpoczynek, a czego nie było w domku letniskowym. Dzień był pogodny, niebo bezchmurne. Drugi z kolei weekend, któremu nie zagrażał deszcz. Tim przyjechał dokładnie o siódmej. Mary zaprowadziła go do garażu.

— Wskakuj, Tim, i usiądź wygodnie. Wszystko w porządku?

— W porządku — odpowiedział.

— Ten domek nie jest w samym Gosford — odezwała się Mary, kiedy jechali w kierunku Newcastle autostradą wzdłuż Pacyfiku. — Mieszkam i pracuję w samym środku miasta, nie chciałam więc mieć domku w innym zatłoczonym miejscu i dlatego kupiłam działkę trochę na uboczu, w Hawkesbury, niedaleko Broken Bay. Musimy jechać do Gosford, a stamtąd szosą do samego domu. Daję słowo, nigdy bym nie przypuszczała, że Gosford tak się rozrośnie! Pamiętam czasy, kiedy był tam tylko jeden pub, garaż, dwóch mieszkańców i pies. A teraz w miasteczku jest pełno ludzi, myślę, że z sześćdziesiąt tysięcy...

Mary nagle urwała. Zmieszana, spojrzała na Tima. Zapomniała się i zaczęła rozmawiać z nim w taki sposób, jak mogłaby rozmawiać z jego matką. On z kolei starał się grać rolę zainteresowanego słuchacza. Co jakiś czas odrywał zafascynowane spojrzenie od mijanych widoków i zawieszał pełen ciepła wzrok na twarzy Mary.

Biedny Tim — westchnęła w myślach. — Nie patrz na mnie, odpręż się i oglądaj widoki za oknem.

Przez dłuższą chwilę w samochodzie panowała cisza. Widać było wyraźnie, że podróż sprawia Timowi przyjemność. Z nosem przyklepionym do szyby

śledził każdy szczegół przesuwanego się pejzażu. Jego zachowanie sprawiło, że Mary pomyślała o życiu, jakie prowadził, o tym, że zapewne nieczęsto trafiały mu się okazje przerywania potwornej nudy codzienności.

— Czy twój ojciec ma samochód, Tim?

Tym razem chłopak nie oderwał oczu od okna. Odpowiedział nie patrząc na Mary:

— Nie. Mówi, że w mieście to strata czasu i pieniędzy. Mówi też, że zdrowiej jest chodzić i że łatwiej jest złapać autobus, jeśli chce się gdzieś pojechać.

— Czy już ktoś zabierał cię na przejażdżki?

— Tak, ale niezbyt często. W samochodzie robi mi się niedobrze. Zaalarmowana, spojrzała na niego.

— A jak się teraz czujesz? Jest ci niedobrze?

— Nie, czuję się świetnie. Ten samochód nie rzuca tak do góry i na dół jak inne. I siedzę z przodu, a nie z tyłu. To dlatego tak nie rzuca, prawda?

— To dobrze, Tim. Masz rację. Jak tylko źle się poczujesz, od razu daj mi znać. Nie byłoby dobrze, gdybyś nabrudził w samochodzie.

— Obiecuję, że powiem ci od razu, Mary, bo ty nigdy na mnie nie krzyczysz ani nie masz mnie dość.

— Daj spokój, Tim! Nie rób z siebie ofiary! — Mary roześmiała się. — Jestem pewna, że nikt na ciebie tak często nie krzyczy i nie ma cię dość, chyba że sam sobie na to zasłużysz.

— Tak, chyba masz rację — on też się uśmiechnął — ale mama naprawdę dostaje szału, jeżeli napaskudzę dookoła.

— Nie można jej mieć tego za złe. Ja też pewnie bym się wściekała i dlatego daj mi od razu znać, jeśli poczujesz się niewyraźnie. Gdyby coś takiego cię chwyciło, postaraj się wytrzymać, aż wysiądziesz z samochodu, dobrze?

— Dobrze, Mary.

Po krótkiej przerwie Mary odchrząknęła i znowu się odezwała.

— Czy już wyjeżdżałeś za miasto? Przecząco pokręcił głową.

— Dlaczego?

— Nie wiem. Myślę, że tata i mama nie chcieli niczego oglądać poza miastem.

— A Dawnie?

— Moja Dawnie jeździ wszędzie. Była w Anglii — powiedział to takim tonem, jakby Anglia znajdowała się tuż za rogiem.

— A jak spędzałeś wakacje, kiedy byłeś małym chłopcem?

— Zawsze w domu. Tata i mama nie lubią lasu, najlepiej czują się w mieście.

— Wiesz, Tim, ja bardzo często odwiedzam mój domek za miastem. Jeśli będziesz chciał, możesz tam jeździć ze mną. A kiedyś może nawet zabiorę cię na prawdziwe wakacje. Pojechalibyśmy na pustynię albo na Wielką Rafę Koralową.

Tim nie zwrócił żadnej uwagi na to, co powiedziała Mary, wpatrując się w przepiękny widok za oknem, gdy jechali wzdłuż rzeki Hawkesbury.

— Czy to nie wspaniałe?! — wykrzykiwał wierząc się w fotelu i zaciskając dłonie w charakterystycznym geście, wykonywanym, kiedy był wzruszony albo smutny.

Do Mary nic nie docierało z tych jego wzruszeń. Czowała jedynie straszliwy ból, zupełnie dla niej nowy i obcy. Nie miała przy tym pojęcia, co jest źródłem tego bólu. Biedny, przegrany chłopak! W jakiś dziwny sposób los wziął się na niego, zamykając każdą z pojawiających się możliwości rozwoju. Rodzice bardzo dbali o niego, ale ich ograniczone życie nie wykraczało poza Sydney.

W gruncie rzeczy Mary nie mogła winić rodziców Tima za to, że nie zdawali sobie sprawy, o ile mniej niż oni dziecko może czerpać z życia. Nigdy nie zastanawiali się, czy Tim jest rzeczywiście szczęśliwy czy też nie, bo ich zdaniem po prostu powinien być szczęśliwy. Ale czy nie mogłoby stać się inaczej? Jaki byłby, gdyby uwolniono go z łańcucha rodzicielskiej rutyny i pozwolono na trochę swobody?

Bardzo trudno było określić wszystkie uczucia, jakie Mary żywiła dla Tima. Czasami myślała o nim jak o małym dziecku, innym razem jego wspaniałe ciało przypominało jej, że jest dorosłym mężczyzną. Bardzo trudno było pogodzić te uczucia, tym bardziej że przedtem jej życie uczuciowe było takie proste. Praktycznie nie istniało. Nie mając żadnego doświadczenia w rozwiązywaniu zawiłości emocjonalnych, nie potrafiła odróżnić litości od miłości, zniecierpliwienia od troski. Przypominali oboje dziwaczną parę Svengali i Trilby — prosty i ubogi umysł fascynował i hipnotyzował błyskotliwą inteligencją.

Przez wszystkie te tygodnie, kiedy poznawała Tima, była bardzo aktywna, ale starała się robić wszystko bez zbędnego zastanawiania. Nigdy nie pozwalała sobie na wycofywanie się w cichą kontemplację, bo z natury nie

analizowała własnych odczuć. Dlatego teraz również nie próbowała nabrać dystansu do dręczącego ją niepokoju, żeby ustalić, skąd się bierze.

Najbliżsi sąsiedzi mieszkali w odległości prawie pięciu kilometrów od domku Mary, a to dlatego, że teren nie został jeszcze przygotowany do zabudowy. Dojazd był bardzo kiepski, a polna, dwu-koleinowa droga, biegnąca przez las eukaliptusowy, w czasie deszczu zamieniała się w grzęzawisko niemożliwe do pokonania. Kiedy nie padało, wznosiły się nad nią tumany kurzu, osiadały na rosnących po obu stronach drzewach, zamieniając je w skamieniałe, powykręcane, brązowe szkielety. Głęboko wyżłobione koleiny i dziury w drodze nie pozwalały na spokojny przejazd nawet najlepszym samochodem. Dlatego niewielu decydowało się na takie niewygody.

Działka Mary była dość duża, miała około dwóch i pół tysiąca metrów. Kupiła ją z myślą o przyszłości — rozrastające się, zżerane rakiem zanieczyszczeń miasto wcześniej czy później będzie szukało nowych terenów, a to oznaczało ogromny wzrost cen ziemi.

Droga skręciła między drzewa. Był to znak, że zaczyna się teren należący do Mary. Samochód gładko podążał wytyczonym śladem, przedzierając się przez dziewicze, mocno pachnące, bujne zarośla ciągnące się przez ponad kilometr. Na końcu drogi rozpościerała się polana. Na jej odległym krańcu ciągnęła się wąska plaża, przylegająca do słonej z powodu przyplływów rzeki Hawkesbury, drążącej szeroką wstęgą pagórkowaty, kamienny krajobraz. Plaża nie miała więcej niż sto metrów długości, a z każdej strony zamykał ją żółty nadbrzeżny klif.

Domek był skromny, ale miły. Kwadratowy, pokryty falistą blachą, otoczony dokoła werandą. Mary kazała go pomalować, ponieważ nie znosiła nieporządku i zaniedbanego wyglądu. Dwa ogromne pojemniki na wodę stały na wysokich rusztowaniach z tyłu domu, przy drodze. Wzdłuż rosły drzewa w odstępach pozwalających im rozrosnąć się na tyle, aby zmniejszyć wrażenie panującej dookoła pustki. Mary nawet nie próbowała zakładać ogrodu, toteż trawa bujnie się wszędzie rozrosła. Mimo pozornego zaniedbania, miejsce miało niewątpliwy urok.

Od czasu kiedy Mary kupiła działkę, a było to ponad piętnaście lat temu, wydała sporo pieniędzy na jej zagospodarowanie. Założyła solidne, duże zbiorniki, które mogły pomieścić ilość wody zapewniającą sprawne funkcjonowanie kanalizacji. Doprowadziła elektryczność, nie musiała więc używać lamp naftowych ani palić pod kuchnią. Dla Mary nie było nic

pociągającego w płonącym ogniu, świecach czy robieniu wszystkiego na otwartym powietrzu, uważała, że to wyłącznie dodatkowy wysiłek i niewygodą.

Dom od strony drogi prezentował się niezbyt okazale, ale kiedy tylko Tim go zobaczył, był oczarowany. Mary przez dłuższą chwilę musiała go namawiać, by wysiadł z samochodu, ale wrażenie było tak silne, że prawie nic da niego nie docierało. Potem, już uspokojony, dał się wprowadzić do środka.

— To będzie twój pokój — powiedziała pokazując mu skromną, ale dużą sypialnię. Z powodu białych ścian i białych mebli robiła wrażenie klasztornej celi. — Może spodoba ci się przyjeżdżanie tutaj, więc powiedz mi, jaki kolor lubiłbyś najbardziej. Moglibyśmy przemaalować pokój, a któregoś dnia pojechalibyśmy kupić meble, takie jakie byś chciał najbardziej.

Tim nie zareagował. Był zbyt podekscytowany i zaabsorbowany tym, co zobaczył, by mogła do niego dotrzeć zapowiedź nowych przyjemności. Mary pomogła mu rozpakować bagaż. Schowała rzeczy, które przywiózł ze sobą — a nie było tego dużo — do szuflady i szafy. Potem wzięła za rękę i zaprowadziła do saloniku.

Tylko tutaj Mary dokonała gruntownych zmian. Przedtem był to ponury, słabo oświetlony pokój, powiększony o przylegającą do niego werandę. Mary kazała wyburzyć całą frontową ścianę i zastąpić sięgającymi od sufitu do podłogi wielkimi, rozsuwanymi drzwiami. Gdy pogoda była ładna, wystarczyło rozsunąć szklane drzwi i nic nie dzieliło pokoju od otwartej przestrzeni.

Widok z salonu był niezwyklej urody. Cały teren, aż po słoneczną piaszczystą plażę, pokrywała gęsta, soczyście zielona trawa, w oddali przechodząca w drgający błękit rzeki. Na drugim brzegu widać było wspaniałe klify, ubrane w zielone czapy porastających je lasów, dotykających głębokiego błękitu nieba. Ciszę zakłócał jedynie szmer płynącej leniwie rzeki, czasem odległe odgłosy promów turystycznych lub jęk motorówki ciągnącej za sobą narciarza. Na każdym z drzew ptaki wyśpiewywały swą pieśń, cykady ogłuszały szalonymi koncertami, a wiatr pogwizdywał łagodnie na organach z gałęzi.

Mary zwykle przyjeżdżała do domku sama, ale wiele razy w wyobraźni prowadziła rozmowy z gościem, który mógł się tu pojawić. Zachwyciłaby się wraz z nim tym pięknym widokiem i komentowała wszystko bez końca. Tim jednak nie powiedział ani słowa. Mary zaś nie miała zielonego pojęcia, jakie spostrzeżenia mogły mu przyjść do głowy. Widać było wyraźnie, że wszystko

jest „cudowne” i nic nie sprawia mu przykrości. Ale czy Tim jest zdolny do stopniowania zadowolenia? Czy potrafi jedne rzeczy lubić bardziej od innych?

Kiedy Mary wypakowała swój bagaż i jako tako uprzątnęła kuchnię, przygotowała lunch. W czasie posiłku Tim mówił niewiele, tym razem żując dokładnie jedzenie. Gdy nie był bardzo głodny albo czymś poruszony, zachowywał się przy stole bez zarzutu.

— Umiesz pływać? — spytała Mary, kiedy sprzątnęła ze stołu. Tim pomagał jej przy zmywaniu.

— Jasne! Tak! — twarz w jednej chwili pojaśniała mu radością.

— No to przebierz się w kąpielówki. Ja dokończę sprzątnięcia i za chwilę pójdziemy na plażę, dobrze?

Tim zniknął, zanim zdążyła dokończyć, i wrócił tak szybko, że musiała prosić go, by trochę poczekał. Potem wzięli dwa leżaki, parasol plażowy i kilka innych drobiazgów, potrzebnych przy takich okazjach, i wyruszyli nad rzekę. Mary wygodnie rozsiadła się na leżaku i otworzyła książkę. Nagle zorientowała się, że Tim stoi obok i wpatruje w nią z wyrazem zagubienia na twarzy.

Zamknęła książkę i spytała:

— O co chodzi, Tim? Co się stało?

Bezradnie wzruszył ramionami. j

— Mówiłaś, że pójdziemy pływać, prawda?

— Nie my, Tim — wyjaśniała łagodnie. — Chciałam, żebyś ty popływał, ile dusza zapragnie, ja nigdy nie wchodzę do wody.

Tim ukląkł obok i ze smutkiem w twarzy wziął ją za rękę.

— Ale to nie to samo, Mary! Wcale nie chcę sam pływać! — na długich rzęsach pojawiły się łzy. — Proszę, bardzo proszę, nie chcę kąpać się sam.

Mary wysunęła rękę, chcąc go pogłaskać, ale szybko ją cofnęła.

— Ja nie mam ze sobą kostiumu kąpielowego! Nie mogę się kąpać, nawet gdybym chciała, Tim!

Chłopak pokiwał głową, jakby starał się być bardziej przekonujący.

— Ty wcale nie lubisz być ze mną, ty mnie nie lubisz, Mary. Zawsze jesteś ubrana, jakbyś szła do miasta, nigdy nie nosisz szortów ani luźnych sukienek, zawsze masz pończochy, nie tak jak moja mama!

— Och, Tim, co ja mam z tobą zrobić? To, że zawsze jestem tak ubrana, wcale nie znaczy, że cię nie lubię. Po prostu źle się czuję, jeśli nie jestem

ubrana w taki sposób, to wszystko. Nie lubię szortów ani luźnych sukienek, ani chodzenia bez pończoch.

Nie uwierzył jej i odwrócił głowę.

— Gdybyś się dobrze bawiła, byłabyś ubrana tak jak mama — upierał się przy swoim.

Zapanowało długie milczenie. Mary nie zdawała sobie sprawy, że był to ich pierwszy pojedynek woli. W końcu jednak westchnęła i odłożyła książkę.

— No dobrze, wrócę do domu i poszukam czegoś odpowiedniego, ale musisz mi obiecać, że nie będziesz robił w wodzie żadnych sztuczek, nurkował pode mną albo znikał z oczu. Nie umiem pływać, a to oznacza, że będziesz musiał uważać na mnie przez cały czas. Obiecujesz?

— Obiecuję! Obiecuję! Tylko szybko wracaj, Mary, proszę, szybko wracaj!
— Tim znowu był szczęśliwy.

Chociaż wewnętrznie buntowała się przeciwko temu, nałożyła czystą, bawełnianą białą bluzkę, a na nią szarą, lnianą sukienkę, którą zwykle nosiła w czasie weekendu. Nie mając żadnych innych możliwości, skróciła nożyczkami spódnicę, oderwała rękawy i pogłębiła dekolt. Cięcia zrobiła bardzo starannie, ale oczywiście nie miała czasu na obrębianie czy choćby sfastrygowanie. To ją zdenerwowało i fatalnie wpłynęło na jej humor.

Idąc na plażę tak ubrana, czuła się prawie naga. Jej ręce i nogi były zupełnie białe, co jeszcze bardziej potęgowało wrażenie nagości. Nie miało to nic wspólnego z Timem. Mary, nawet wtedy, kiedy była sama, starannie nakładała wszystkie części ubrania.

Tim, zupełnie bezkrytyczny obserwator, tańczył dookoła Mary pokrzykując radośnie:

— Och! Teraz jest dużo lepiej, Mary! Możemy się razem kąpać! Chodź, Mary, chodź!

Mary weszła do wody z dużą niechęcią. Przeszedł ją dreszcz. Niczym jeden z najbardziej kocich kotów zmuszała się do zanurzenia w wodzie, a w gruncie rzeczy miała ogromną ochotę odwrócić się i czmychnąć jak najszybciej na suchy, wygodny leżak. Tim zachowywał się jak mały chłopak, któremu powierzono opiekę nad czymś cennym. Całym sobą okazywał, jak bardzo poważnie traktuje to zadanie. Nie pozwolił jej zanurzyć się głębiej niż do pasa. Kręcił się dookoła, uważny i trochę zmieszany. A dla Mary to wszystko nie miało sensu. Była pewna, że Tim świetnie zdaje sobie sprawę, że pobyt w wodzie sprawia jej dużą przykrość i że psuje mu tym zabawę. Z całym

wysiłkiem zmusiła się do zanurzenia aż po szyję, chociaż czuła, jak zatrzymuje się jej oddech przy zetknięciu z zimną wodą. Roześmiała się.

Jej śmiech był tym, na co Tim czekał. Niczym delfin swawolił dookoła, zachowując się w wodzie równie swobodnie jak na lądzie. Pływał jak ryba. Zmuszając się do uśmiechu, Mary uderzała dłońmi o powierzchnię wody, co uważała za znakomitą imitację świetnej zabawy, i niezgrabnie próbowała podążyć za Timem.

Woda była nieskazitelnie czysta. Mary czuła na karku delikatny ciepły dotyk słońca. Za każdym razem, kiedy spojrzała w dół, widziała stąpające po piasku zniekształcone wodą własne stopy, przypominające białą galaretę. Po krótkim czasie zaczęła odczuwać prawdziwą przyjemność kontaktu ze słoną wodą. Zanurzała się po ramiona, czując lekkość własnego ciała i chłód dający schronienie przed ostrymi promieniami słońca. Było to dla niej nowe i niekłamane miłe doznanie. Nie myślała już o ubraniu. Rozkoszowała się swobodą, jaką dawało jej nie skrępowane niczym ciało.

Trudno byłoby jednak powiedzieć, że Mary straciła cały swój zdrowy rozsądek. Po mniej więcej dwudziestu minutach przywołała do siebie Tima.

— Chyba powinnam już wyjść z wody i ukryć się przed słońcem. Widzisz, jaka jestem biała w porównaniu z twoją opalenizną. Niedługo też będę taka brązowa jak ty, ale muszę to robić stopniowo. Przy takiej bladej skórze słońce bardzo łatwo może poparzyć i wtedy byłabym chora. Tylko nie myśl, proszę, że się źle bawię, jest mi naprawdę bardzo dobrze, ale teraz muszę już usiąść w cieniu.

Tim przyjął to spokojnie.

— Wiem, wiem. Kiedyś, kiedy byłem jeszcze małym chłopcem, słońce też mnie poparzyło i musiałem jechać do szpitala. To bardzo boli. Płakałem przez cały dzień i noc, i dzień, i noc. Nie chcę, żebyś płakała przez cały dzień i całą noc.

— Wiesz, co zrobię, Tim? Usiądę pod parasolem i będę patrzyła, jak pływasz. Obiecuję, że nie będę czytała, tylko patrzyła. W porządku?

— W porządku, w porządku, w porządku! — śpiewał udając łódź podwodną, ale bardzo uważał, żeby nie storpedować Mary.

Upewniwszy się, że jest dokładnie ukryta w cieniu parasola, usiadła wygodnie na leżaku i wytarła twarz. Ze zmoczonego koka leciała strużka wody. Spływając wzdłuż kręgosłupa sprawiała niemiłe wrażenie, Mary zdecydowała się więc rozpuścić włosy. Wyjęła szpilki i rozłożyła je, żeby szybko wyschły. Musiała przyznać, że czuje się wspaniale, jak gdyby słona

woda była cudownym lekarstwem. Skóra szczypała ją trochę, w mięśniach, przyjemnie rozluźnionych, odczuwała miłą ociążałość...

Zdawało jej się, że jest w salonie piękności. Fryzjerka rytmicznymi ruchami, raz—dwa—trzy, raz—dwa—trzy, szczotkowała włosy. Delikatnie zagłębiała szczotkę, wędrując nią wzdłuż głowy przez całą długość. Uśmiechnięta z zadowolenia, Mary otworzyła oczy i ze zdziwieniem stwierdziła, że wcale nie jest w salonie, ale siedzi na leżaku, a słońce stoi tak nisko, że cienie drzew prawie zupełnie pokrywają plażę. Za nią stał Tim i pochylony bawił się jej włosami. Mary wpadła w panikę. Przerażona uchyliła się od jego dotyku, nie zdając sobie nawet sprawy, co ją tak bardzo przstraszyło. Zebrała włosy w węzeł i nerwowo wsunęła ręce do kieszeni w poszukiwaniu szpilek. Już rozbudzona, spojrzała na Tima szeroko otwartymi ze strachu oczami. Serce biło jej jak u spłoszonego ptaka.

Tim wciąż stał w tym samym miejscu. Patrzył na nią bezradny, śmiertelnie smutny. Znała już ten wyraz jego oczu. Pojawiał się wtedy, kiedy zrobił coś złego i wiedział o tym, ale nie rozumiał, na czym polega jego wina. Chciałby wszystko naprawić, chciałby zrozumieć, jaki grzech nieświadomie popełnił, ale nie wiedział jak.

W takich chwilach najsilniej przeżywa swoje wyobcowanie — pomyślała Mary. — Jak psiak, który nie bardzo wie, za co skopał go pan. Prawie nieprzytomny, zaciskał dłonie. Kąciki ust miał opuszczone w dół.

Mary wyciągnęła do niego ręce. Było jej przykro i miała wyrzuty sumienia.

— Kochanie, słoneczko, przepraszam! Widzisz, spałam i przstraszyłeś mnie, to wszystko. Tim, uwierz mi! Proszę, nie patrz tak na mnie!

Zręcznie uniknął jej uścisku. Nie wiedział, czy mówi prawdę, czy chce go tylko pocieszyć.

— Było tak pięknie — powiedział cicho. — Chciałem cię po prostu pogłaskać, Mary.

Mary spojrzała na niego zaskoczona. Czyżby powiedział „pięknie”? Tak! Na pewno tak powiedział. Powiedział tak, jakby rozumiał dokładnie znaczenie tego słowa, jakby potrafił rozróżnić „cudownie”, „super”, „wspaniale” i „fajnie”, bo do tej pory używał tylko tych przymiotników. Tim uczył się! Wychwycił coś z tego, o czym mówiła, i prawidłowo zinterpretował.

Uśmiechnęła się ciepło, podeszła i mocno ujęła jego ręce w swoje dłonie.

— Tim, kochany, Tim! Lubię cię bardziej niż kogokolwiek. Nie gniewaj się na mnie, nie chciałam ci zrobić przykrości, naprawdę nie chciałam!

Uśmiech pojawił się znowu na jego twarzy, ścierając z niej resztki niedawnego smutku.

— Ja też cię lubię, Mary, lubię cię bardziej niż kogokolwiek poza tatą, mamą i moją Dawnie. — Zawiesił na chwilę głos, zamyślił się i dodał po chwili: — Chyba lubię cię bardziej niż moją Dawnie, dokładnie mówiąc.

Jeszcze to! Powiedział „dokładnie mówiąc”, zupełnie tak samo jak ona! Oczywiście, było w tym sporo bezmyślnego małpowania, ale nie tylko. Wszystko wskazywało, że rozumie znaczenie nowych słów.

— Chodź, Tim, wracajmy do domu, zanim zrobi się chłodno. Wieczorna bryza nawet w środku lata bardzo szybko wyziębia wszystko dookoła! Co zjadłbyś na kolację?

Po kolacji, kiedy naczynia zostały pozmywane i ustawione na miejsce, Mary posadziła Tima w wygodnym fotelu, sama zaś zajęła się przeglądaniem płyt.

— Lubisz muzykę? — spytała.

— Czasami — odpowiedział Tim ostrożnie i spojrzał na Mary odchylając do tyłu głowę.

Jaka muzyka mogłaby do niego trafić? Miała tu znacznie więcej płyt niż w Artarmon, zwoziła bowiem wszystkie nagrania, z których sama „wyrosła”. „Bolero” Ravela, „Ave Maria” Gounoda, „Largo” Haendla, marsz z „Aidy”, „Zagubiony akord” Sullivana, „Szwedzka rapsodia”, „Finlandia” Sibeliusa, płyty Gilberta i Sullivana, „Pomp and Circumstance” Elgara i wiele innych, równie melodyjnych i nastrojowych. Postanowiła wypróbować, jak na nie zareaguje, jak je odbierze.

Tim od razu został oczarowany muzyką. Bez reszty pogrążył się w jej dźwiękach. Mary, wykorzystując jego zamyślenie, czytała pracę o niedorozwoju umysłowym, przypominając sobie, że bardzo wiele osób upośledzonych umysłowo kocha muzykę, nawet kompozycje bardzo skomplikowane i wyrafinowane. Patrzyła przy tym na jasną, pełną dobrych chęci twarz chłopca i widziała każde jej drgnienie, odzwierciedlające najmniejszą nawet zmianę nastroju. Żałowała go z całą mocą, aż do bólu serca. Był przecież taki piękny, taki piękny!

Już prawie o północy Mary zamknęła okno w salonie — wiejący od morza wiatr stał się bardzo chłodny i dokuczliwy. Tim poszedł spać przed dziesiątą, wyczerpany wydarzeniami całego dnia i długim pływaniem. Mary, pomyślawszy, że w nocy może mu być zimno, wynalazła w szafie dawno nie używaną pierzynkę. Weszła do sypialni. Spojrzała na zapaloną obok łóżka

niewielką lampkę naftową — Tim przyznał się z dużym wahaniem, że boi się ciemności, i poprosił o pozostawienie zapalonego światła. Bezgłośnie poruszała się po białej podłodze, bardzo uważając, żeby nie narobić hałasu.

Zbliżyła się do wąskiego łóżka, na którym spał, zwinięty w kłębek, z ramionami obejmującymi klatkę piersiową i kolanami prawie dotykającymi brody. Kołdra zsunęła się z niego, odsłaniając nagie ciało. Od otwartego okna wiało chłodem. Było pewne, że zmarł.

Mary, przyciskając do siebie kołdrę, patrzyła na niego. Na śpiącej twarzy malował się niezwykle spokoj. Długie rzęsy rzucały cienie na policzki, a złote włosy wiły się lokami dokoła głowy. Lekko uśmiechnięty, z dziwną zmarszczką w kącie ust, robił wrażenie pierrota. Pierś bardzo powoli unosiła się i opadała, oddech był ledwie słyszalny. Przez chwilę wyobraziła sobie, że Tim nie żyje.

Nie miała pojęcia, jak długo stała wpatrując się w niego. W końcu jednak zmarła i tylko dzięki temu powróciła do rzeczywistości. Podciągnęła zsuniętą kołdrę, wcisnęła jej boki pod materac, a potem położyła na nią pierzynkę, przykrywając Tima aż po brodę. Westchnął i poruszył się — ciepło sprawiło mu przyjemność — ale po chwili powrócił do świata snów.

O czym mogą śnić młodzi niedorozwinięci mężczyźni? — zastanawiała się Mary. — Czy w swoich nocnych wędrówkach po świecie wyobraźni są tak samo ograniczeni jak na jawie? A może we śnie stają się cud i wyzwalają się z pętających ich łańcuchów? Nie było jednak żadnego sposobu, żeby się o tym dowiedzieć.

Po wyjściu z sypialni Mary nie mogła sobie znaleźć miejsca. Cicho zamknęła szklane drzwi, minęła werandę, zeszła po schodach i dotarła do ścieżki prowadzącej ku plaży. Drzewa szumiały poruszane wiatrem, a na nisko wiszącej nad ścieżką gałęzi pohukiwała sowa. Jej okrągłe oczy błyszczały w ciemności. Mary prawie nie zwróciła uwagi na ptaka, przestraszyła się dopiero wtedy, gdy coś miękkiego i lepkiego omotało jej nogi. Stała jak wryta. W chwilę potem zdała sobie sprawę, że to po prostu pajęczyna. Obmacała się dokładnie — nie mogła wykluczyć, że mieszkaniec pajęczyny teraz w najlepsze wędruje po niej. Niczego jednak nie znalazła.

Na plaży leżało sporo uschniętych gałązek. Mary zaczęła je zbierać. Kiedy miała już sporą wiązkę, ułożyła ognisko w pobliżu skały i roznieciła ogień. Zimna, morska bryza, wiejąca w nocy, jest błogosławieństwem dla Wschodniego Wybrzeża, ale dla ludzi — zbyt dokuczliwa. Nagrzane słońcem ciała przemarzały w nocy do szpiku kości. Mary mogłaby wrócić do domu po

sweter, ale w ogniu było coś przyjacielskiego, a ona tak bardzo potrzebowała pociechy. Gdy płomień ogarnęły już całe ognisko, usadowiła się wygodnie, opierając plecy o skałę, i wyciągnęła przed siebie ręce grzejąc je w ciepłe.

Na pobliskim drzewie siedział opos. Wpatrywał się w Mary swoimi okrągłymi, mądrymi ślepkami, z których nic nie można było wyczytać. Wolno poruszał ogonem w tę i z powrotem. Musiała mu się wydawać przedziwnym stworzeniem — siedziała tak blisko jasnych płomieni, o których wiedział, że są niebezpieczne. Migające cienie tańczyły na jej postaci. Opos ziewnął szeroko, zerwał gałązkę i zabrał się do głośnego żucia. Stworzenie przy ogniu nie było groźne — zgarbiona kobieta siedziała z cierpieniem wypisanym na twarzy, nie była ani młoda, ani ładna, ani interesująca.

Trzymając brodę opartą na dłoniach, Mary pograżyła się w zadumie. Już tyle lat jej życiu nieodłącznie towarzyszy ból. Kiedy była małą dziewczynką w domu dziecka, zawsze przed snem bardzo długo płakała — to była jej rzeczywistość. Jak strasznie musiała być wtedy samotna, skoro życzyła sobie rychłej śmierci, która zdawała jej się wybawieniem.

Dorośli mówią, że dzieci nie mają pojęcia o śmierci, że nie potrafią jej wyczekać, ale Mary Horton wiedziała, że tak nie jest. W jej wspomnieniach nie było domu rodzinnego, kochających ramion i świadomości, że jest się kimś chcianym. Jej nieskazitelna samotność była jedynym stanem, jaki знаła. Nie wiedziała nawet, że można żyć inaczej. Sądziła, że jest nieszczęśliwa, bo natura poskapiła jej urody. Po raz pierwszy cierpiała z tego powodu, gdy jej ulubiona siostra Thomas opuściła ją, by zająć się innym dzieckiem, znacznie ładniejszym i miłszym. Potem bolała nad tym za każdym razem.

Mary nie należała do osób szczególnie urodziwych, ale czuło się, że ród, z którego się wywodziła, był silny, wytrwały i zdecydowany. W miarę dorastania uczyła się samodyscypliny i kiedy w wieku czternastu lat nadszedł moment opuszczenia sierocińca, potrafiła zapanować nad osamotnieniem i brakiem szczęścia. Potem odczuwała to coraz mniej. Jej życie uczuciowe właściwie nie istniało. Radość czerpała jedynie z dobrego wykonywania pracy i pomnażania oszczędności, co, niestety, nie wpływało na nią łagodząco ani też nie zmniejszało wewnętrznego chłodu. Nie, życie Mary wcale nie było puste ani pozbawione wszelkich emocji, ale nie istniała w nim odrobina miłości.

W Mary nigdy nie odzywał się instynkt macierzyński czy choćby potrzeba posiadania przyjaciół, i to zapewne dlatego teraz nie potrafiła określić, jakie uczucia żywi do Tima. Nie wiedziała nawet, czy to, co do niego czuje, można

nazwać miłością. Niespodziewanie zajął najważniejsze miejsce w jej życiu. Ani przez chwilę nie zapomniała o jego istnieniu. Myślała o nim tysiące razy w ciągu dnia, a jeśli tylko powiedziała w duchu „Tim”, jej twarz rozjaśniał uśmiech albo zasnuwał ból. Było tak, jakby Tim żył innym życiem w jej wyobraźni, a innym w rzeczywistości.

Kiedy siadywała w słabo oświetlonym salonie, słuchając zawodzenia skrzypiec, sięgała myślą do granic niepoznawalnego, pojawiał się w niej dziwny, irracjonalny niepokój, a gdy Tim był przy niej, wycofywała się w nierzeczywisty świat, niczego nie poszukując. Był ucieleśnieniem wszystkiego, o czym przez całe życie marzyła. Być może wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby — nieświadoma jego upośledzenia — wiązała z nim jakiejkolwiek nadzieje. Ale było przecież inaczej. Akceptowała go więc takim, jakim był, nie oczekując niczego ponad samo jego istnienie. Oczarował ją — to było jedyne wyjaśnienie, jakie przychodziło jej do głowy i w przybliżeniu określało jej uczucia.

Wszystkie potrzeby i tęsknoty kobiece Mary tłumiała bezlitośnie przez całe życie. Nigdy nie zdominowały jej, bo starannie unikała sytuacji, które mogłyby pobudzić je do życia. Jeśli spotykała atrakcyjnego mężczyznę, ignorowała go skutecznie. Jeśli jakieś dziecko znajdowało drogę do jej serca, upewniała się, że nigdy już go nie zobaczy. Potrzeby fizycznej miłości jawiły się jej niczym zaraza, której należy unikać za wszelką cenę, zamknąć w najodleglejszym zakamarku mózgu i zaprzeczyć jej istnieniu. „Trzymaj się z dala od kłopotów” — powtarzała zakonnica w sierocińcu i Mary Horton stosowała się do tej rady.

Uroda i bezradność Tima rozbroiły ją zupełnie. Uświadomiła sobie, jak bardzo przez dwadzieścia dziewięć lat była samotna. Wszystko wyglądało tak, jakby to on jej potrzebował, jakby zauważył w niej coś, o czym nawet ona sama nie wiedziała. Nigdy przedtem nikt jej nie wybrał — Tim był pierwszy. Czy to właśnie jej oschła, rzeczowa psychika tak go zafascynowała? Odpowiedzialność była rzeczą straszną, zwłaszcza dla kogoś, kto prawie nie miał życia emocjonalnego. Tim miał matkę, więc nie matki w niej szukał, a jednocześnie był zbyt dziecinny i dużo młodszy, by podejrzewać go o zainteresowanie seksem. Nie ulegało wątpliwości, że spotkał w życiu bardzo wielu okrutnych ludzi, ale także bardzo wielu takich, którzy byli dla niego mili, a może nawet czuli. Z takim wyglądem i charakterem nie mógł cierpieć na brak miłości! Dlaczego zatem wybrał ją?

Ognisko dogasało. Mary wstała i zaczęła szukać nowych gałęzi, ale po chwili zrezygnowała. Posiedziała jeszcze trochę, wpatrując się w przebłyskujące przez popiół węgliki. Z piasku wysunął się robak i przyglądał się jej zadziwiony. Ciepło płynące z ogniska w głąb ziemi zmusiło setki jego kuzynów do wyfrunięcia i wypełznięcia z jamek. Mary piaskiem zdusiła ogień, a kiedy upewniła się, że pogorzeliśko nie stanowi już żadnego zagrożenia, wróciła do domu.

RS

Rozdział dziesiąty

Przez całe lato Mary zabierała Tima do Gosford. Gdy nadszedł kwiecień, a z nim jesień, Mary była już zaprzyjaźniona z rodzicami Tima, co prawda tylko przez telefon. Nie zapraszała Rona i Es Melville'ów do Artarmon, a oni nie proponowali jej, by złożyła im wizytę. Nikomu z rodziny Melville'ów nie przyszła do głowy chęć skonfrontowania ich wyobrażeń o Mary Horton z rzeczywistością.

— Wybieram się w tym roku na wakacje na Wielką Rafę Koralową i chciałabym zabrać ze sobą Tima, jeśli nie miałby pan nic przeciwko temu. Może w lipcu albo w sierpniu — powiedziała Mary którejs soboty w rozmowie telefonicznej z Ronem.

— O Boże, pani jest dla niego za dobra, panno Horton! Oczywiście, że może z panią jechać, ale pod jednym warunkiem: sam za siebie zapłaci.

— Jeżeli tak pan uważa, to oczywiście zgadzam się, ale zapewniam pana, że z ogromną przyjemnością zabrałabym Tima jako swojego gościa.

— To bardzo, bardzo miło z pani strony, ale naprawdę, moim zdaniem lepiej będzie, jeśli zapłaci za siebie, stać nas na to. Sami moglibyśmy go tam zabrać, ale jakoś nie pomyśleliśmy o tym. Widzi pani, Es i ja nie wyjeżdżaliśmy z Sydney dalej niż do Ayalon czy Wattamolla.

— Świetnie to rozumiem, panie Melville. A zatem do widzenia. Ron odłożył słuchawkę, swoim zwyczajem zatknął kciuk za pasek spodni i pogwizdując, wolno wszedł do salonu.

— Słuchaj, Es, w lipcu albo w sierpniu panna Horton chce zabrać Tima na Wielką Rafę Koralową — zakomunikował rozkładając się wygodnie na sofie i zadzierając nogi do góry.

— To bardzo miło z jej strony — powiedziała Es.

Kilka minut później za oknem rozległ się charakterystyczny stukot butów na wysokich obcasach. Potem słychać było otwieranie i zamykanie drzwi. Do pokoju weszła młoda kobieta, skinęła na powitanie i z westchnieniem ulgi usiadła na kanapie, energicznie zrzucając szpilki z nóg. Była podobna, a zarazem niepodobna do brata. Miała jego wzrost i prawie identyczne włosy, ale jej sylwetce brakowało doskonałej harmonii ciała Tima. Różnili się też barwą oczu. Tęczówki Dawnie były piwne.

— Chyba spotkałam tę tajemniczą pannę Horton — mruknęła ziewając i przysuwając puf, by wygodnie oprzeć o niego nogi.

Es odłożyła robótkę.

— I jak wyglądała ta stara panna?

— Typowo. Robi wrażenie zawziętej. Ma siwe włosy i kok z tyłu głowy. Sześćdziesiątka jak nic, chociaż nie jestem pewna, bo nie widziałam jej z bliska. Ale samochód! O rany! Wielki czarny bentley, jak te, którymi jeździ poczciwa królowa Ela. Fiu, fiu! Założę się, że ma ściany wytapetowane pieniędzmi!

— Nic o tym nie wiem, kochanie, ale chyba rzeczywiście musi być bogata, skoro może pozwolić sobie na takie luksusy.

— Zastanawiam się, co ona widzi w Timie? Czasem aż się boję... On jest do niej taki przywiązany.

— Och, Dawnie, moim zdaniem to bardzo miłe — powiedziała Es. — Zaczynasz się po prostu czepiać Tima i panny Horton.

— Co masz na myśli mówiąc, że się czepiam? — głos Dawnie brzmiał ostro. — Czy ty niczego nie rozumiesz? Przecież Tim jest moim bratem! Wcale mi się nie podoba ta jego nowa przyjaźń! Co my właściwie wiemy o tej pannie Horton?

— Wiemy wszystko, co powinniśmy wiedzieć, Dawnie — powiedziała Es łagodnie. — Jest dobra dla Tima.

— Ale on za bardzo się do niej przywiązuje, mamó! Ciągłe tylko Mary to, Mary tamto. Czasem mam ochotę go udusić!

— Oj, daj spokój, Dawnie, nie przesadzaj! Ty, zdaje się, jesteś po prostu zazdrosna! — Es zaczęła się denerwować.

— Az kim dzisiaj miałaś randkę? — spytał Ron marszcząc brwi. Chciał zmienić temat.

Nastrój Dawnie odmienił się błyskawicznie. Roześmiane oczy spojrzały na ojca.

— Z szefem jakiejś międzynarodowej firmy produkującej prochy. Zastanawiam się, czy nie wejść do tego interesu.

— Jasna cholera! Założę się, że to raczej ta firma myśli o połączeniu z tobą! Jak ty to robisz, że masz tylu facetów naraz i wszyscy chodzą jak na sznurku? Co oni w tobie widzą, Dawnie?

— A skąd ja mam wiedzieć? — powiedziała ziewając. Nastawiła uszu. — Oto i braciszek.

W chwilę potem do pokoju wszedł Tim. Zmęczony i szczęśliwy.

— Dzień dobry, synu! — przywitał go zadowolony ojciec. — Dobrze się bawiłeś?

— Wspaniale, tato. Sadziliśmy kwiaty dookoła domu, a potem zbudowaliśmy na plaży palenisko do barbecue.

— Wygląda na to, że będzie tam jak na obrazku, prawda, Es? Es nie odpowiadała. Siedziała wyprostowana, trzymając Rona za rękę.

— Posłuchaj, Ron, jakim cudem panna Horton zdążyła podwieźć Tima, skoro jeszcze przed chwilą rozmawiała z tobą przez telefon.

— A niech to jasna cholera! Tim, czy panna Horton dzwoniła do nas kilka minut temu?

— Tak, tato. Ona ma telefon w samochodzie.

— Niech skonam! To wszystko wygląda na jedno wielkie oszukaństwo!

— Tato, ona musi mieć telefon w samochodzie — Tim zaczął szybko tłumaczyć. — Mówiła, że jej szef, pan Johnson, czasami musi szybko się z nią porozumieć.

— A dlaczego nie wstąpiła do nas choć na chwilę, skoro już była koło domu? — w głosie Dawnie słychać było szyderstwo.

— Nie wiem, Dawnie — Tim uniósł brwi. — Chyba jest trochę nieśmiała, jak ja. Przecież sama tak o mnie mówisz.

Ron patrzył na syna zaskoczony, ale nie odezwał się słowem. Dopiero gdy Tim wyszedł, zdjął nogi z sofy i usiadł wyprostowany. Mógł teraz swobodnie patrzeć na żonę i córkę.

— Może to tylko wyobraźnia, moje panie, ale wydaje mi się, że Tim podciągnął się trochę, prawda? Któregoś dnia uderzyło mnie, że używa bardziej skomplikowanych słów.

Es skinęła głową.

— Tak, ja też to zauważyłam.

— I ja także, tato. Wygląda na to, że panna Horton poświęca trochę czasu, by uczyć Tima.

— I niech jej za to będą dzięki! — powiedziała Es. — Ja nigdy nie miałam cierpliwości, nauczyciele w szkole też nie mogli poświęcić mu dość czasu, ale zawsze wydawało mi się, że Tima można sporo nauczyć.

— Och, daj spokój, mamó! — warknęła Dawnie. — Jeszcze trochę i będziesz chciała, żebyśmy ją nazywali Świętą Marią. — Podniosła się gwałtownie. — Skoro nie można z wami porozmawiać o niczym innym, tylko o wpływie tej baby na Tima, to idę do łóżka!

Ron i Es patrzyli za nią zakłopotani i trochę przestraszeni.

— Wiesz co, Ron, coś mi się wydaje, że nasza Dawnie jest zazdrosna o pannę Horton — powiedziała Es w końcu.

— Ale dlaczego, do cholery, miałyby być zazdrosna?

— Nie wiem, kochanie. Kobiety są czasami takie zaborcze. Czuję, że Dawnie jest zdenerwowana, bo Tim ostatnio nie łązi za nią tak jak dawniej.

— Powinna być z tego zadowolona! Nieraz przecież narzekała, że Tim stale się koło niej pęta. A nawiasem mówiąc, im jest starsza, tym trudniej się z nią dogadać.

— Pamiętaj, że jest tylko człowiekiem, kochanie. Ona inaczej na to patrzy. Znasz powiedzenie o psie ogrodnika!

— Będzie musiała trochę spuścić z tonu, to wszystko. Ja bardzo się cieszę, że Tim zaprzyjaźnił się z panną Horton i przestał marudzić, pętając się po domu i wyczekując na powrót Dawnie.

Następnie dnia jak zwykle Ron spotkał się z synem w barze hotelu Seaside, a potem razem wrócili do domu. Było już ciemno, bo dni stawały się coraz krótsze.

W drzwiach czekała na nich Es. Miała dziwny wyraz twarzy. W rękę trzymała cienką kolorową książeczkę, zdenerwowana, pomachała nią Timowi.

— Tim, kochanie, czy to twoje? — powiedziała wysokim głosem, w jej oczach widać było zdenerwowanie.

Tim spojrzał na książkę i uśmiechnął się, jakby przypomniał sobie o czymś przyjemnym.

— Tak, mamo, dostałem ją od Mary.

Ron wziął książkę do ręki. Powoli i wyraźnie przeczytał tytuł: „O kotku, który myślał, że jest myszką”.

— Mary uczy mnie czytać — wyjaśnił Tim zastanawiając się, o co było tyle krzyku.

— A czy potrafisz już przesylabizować z tego cokolwiek?

— Trochę. To jest strasznie trudne, ale łatwiejsze niż pisanie.

1 Mary wcale się na mnie nie gniewa, kiedy nie mogę sobie czegoś przypomnieć.

— Ona uczy cię pisać, synu? — spytał Ron nie wierząc własnym uszom.

— Tak. Pisze jakieś słowo, a ja je przepisuję i ono wygląda dokładnie tak samo jak jej. Nie potrafię jeszcze niczego sam napisać — westchnął. — To znacznie trudniejsze niż czytanie.

W tej chwili wróciła Dawnie kipiąc tłumionym podnieceniem. Słowa cisnęły się jej na usta, ale po raz pierwszy w życiu rodzice zajęci byli rozmową z Timem, a na nią nie zwracali uwagi. Nie spytali nawet, dlaczego

jest taka podniecona. Uciszyli ją bezceremonialnym: „Ciii”, i wciągnęli do kręgu wokół Tima.

Chłopak czytał z otwartej w środku książki. Nie zastanawiając się zbyt długo nad literami czy słowami, po prostu czytał. Szło mu prawie dobrze. Kiedy skończył, rodzice wykrzykiwali pochwały, radośnie poklepywali go i głaskali po włosach. A Tim, niczym napuszony gołąb, wypinając dumnie pierś i wymachując nonszalancko książką pomaszerował do swojego pokoju. Uśmiechał się, bo jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak dobrze. Uradował ich, sprawił, że byli z niego dumni, tak jak byli dumni z Dawnie. Gdy Tim zasnął, Es uniosła głowę znad nieśmiertelnej robótki.

— Co powiesz na filiżankę herbaty, kochanie? — zwróciła się do Rona.

— To świetny pomysł, staruszko. Chodź, Dawnie, chodź z nami do kuchni, bądź dobrym dzieckiem! Cały wieczór byłaś dziwnie małomówna.

— Został jeszcze kawałek pysznego ciasta z owocami, z pomarańczowym lukrem. Kupiłam też biszkopt śmietankowy u Jungo — wtrąciła Es stawiając na kuchennym stole filiżanki i talerzyki.

— Biszkopt śmietankowy! — chórem wykrzyknęli Ron i Dawnie. W powietrzu czuło się przyjemny chłód przymrozka. Był już koniec kwietnia i upały należały do przeszłości. Ron wstał i zamknął drzwi. Potem złożył gazetę w paczkę i zaczął uganiać się za wielką ćmą. Dopadł ją, kiedy nieświadomy niczego owad atakował żarówkę. Rozsiewając wokół złoty pył, ćma upadła na podłogę. Ron wziął ją w palce — ćma ciągle szaleńczo machała bezużytecznymi już skrzydełkami — i wyniósł do łazienki, wrzucił do muszli i spuścił wodę.

— Dzięki, tatku — odezwała się Dawnie, znowu odprężona.

— Jezus, jak ja nie znoszę, kiedy te potwory obijają mi się o twarz. Zawsze wydaje mi się, że wplaczą mi się we włosy.

Ron uśmiechnął się.

— Ach, wy, kobiety! Boicie się wszystkiego, co lata, pełza czy skacze! — Wziął ze stołu spory kawałek ciasta i prawie cały włożył do ust. — Co cię gnębi, Dawnie, kochanie? — powiedział, a właściwie wybelkotał oblizując oblepione kremem usta.

— Nic, nic! — Dawnie zbyła jego pytanie krojąc sobie kawałek ciasta. Potem ostrożnie nabrała kawałek na widelczyk i zjadła.

— Daj spokój, maleńka, nie nabierzesz swojego staruszka! — powiedział Ron teraz już znacznie wyraźniej. — Wyrzuć to z siebie! Co cię gryzie, mała, hę?

Dawnie odłożyła widelczyk, zmarszczyła czoło, a potem podniosła na ojca swoje duże piwne oczy. Patrząc na niego, łagodniała. Była bardzo przywiązana do ojca.

— Powinnam się wstydzić, tato. Chciałam ci coś powiedzieć zaraz po powrocie do domu, ale gdy okazało się, że Tim skupia na sobie całą waszą uwagę, trochę się wściekłam. Wiem, że to obrzydliwe. Biedny mały! Zawsze był w moim cieniu, a dziś wieczór, kiedy miał coś do pokazania, coś, co sprawiło, że mogliśmy być z niego dumni, ja dostałam małego rozumu, bo przez niego poszłam w odstawkę. Es wyciągnęła do Dawnie rękę i delikatnie ją pogłaskała.

— Nie rób sobie wyrzutów, kochanie. Tim nawet tego nie zauważył, a to najważniejsze! Prawda? Jesteś dobrą dziewczyną, Dawnie, masz dobre serce.

Dawnie uśmiechnęła się. Nagle stała się bardzo podobna do Tima i teraz łatwo było zrozumieć, dlaczego miała tylu wielbicieli.

— Tatu, mam, nawet nie wiecie, jak się cieszę, że was mam. Zawsze powiecie coś takiego, że od razu człowiekowi lżej, i zawsze wiecie, jak sobie poradzić z kłopotami.

Ron uśmiechnął się do niej.

— Chyba, że mam kłopot z twoją matką! Wtedy nie wiem, co robić! Dobrze mówię, Es, ty stara kłepo?!

— Jak przystało na takiego gałgana jak ty, Ron.

Wszyscy troje roześmieli się. Es rozlała esencję do filiżanek. Herbata była mocrla i ciemna jak kawa. Uzupełniła ją mlekiem. Napój nabrał brązowego koloru. Osłodziли sobie do smaku i ochoczo zaczęli popijać. Dopiero przy dolewce ponownie nawiązali rozmowę.

— O czym chciałaś nam opowiedzieć, Dawnie? — spytała matka.

— Wychodzę za męża.

Zapadła głucha cisza, którą po chwili przerwało uderzenie filiżanki o spodek. To Ron odstawił naczynie.

— Ale bomba! — krzyknął zaskoczony i zadowolony. — Niech to szlag i piorun z jasnego nieba! Ale bomba! Nigdy dotąd nie pomyślałem, że ty możesz wyjść za męża, Dawnie! Jasny gwint! Dom bez ciebie będzie straszliwie pusty!

Es spojrzała łagodnie na córkę.

— Och, kochanie, spodziewałam się, że wcześniej czy później i na ciebie przyjdzie kolej. Jeśli tylko naprawdę tego chcesz, to ja bardzo się cieszę, bardzo. A kto jest tym wybranym?

— Mick Harrington-Smythe, mój szef. Rodzice spojrzeli na nią niczego nie rozumiejąc.

— Czy to nie jest aby ten sam chłopak, z którym nigdy nie chciałaś się umówić, bo powtarzał, że miejsce kobiety jest w kuchni, a nie w laboratorium?

— To właśnie on. Mój Mick! — odpowiedziała Dawnie szczęśliwa i uśmiechnięta. — Zdecydował się na małżeństwo, bo to jedyna dla niego droga, żeby wyprowadzić mnie z laboratorium do kuchni, gdzie zresztą jest moje miejsce.

— Nie było ci trochę trudno dogadać się z nim? — dopytywał się Ron.

— Czasami, ale tylko do momentu, kiedy przekonałam się, jak sobie z nim radzić. Jego największą wadą jest nieprawdopodobny snobizm. Wicie — szkoła Kinga, dom oczywiście w Point Piper, przodkowie przybyli do Australii z pierwszą flotą, oczywiście, ale nie byli więźniami, to jasne, a jeśli nawet, to rodzina teraz do tego się nie przyznaje. Bardzo szybko uporam się z tym.

— A jak to się stało, że chce się ożenić z kimś takim jak ty? — spytała Es kwaśno. — Nawet nie wiemy, kim są nasi przodkowie, poza tym, że byli to najprawdopodobniej złodzieje i mordercy, a Surf Street w Coogee nie jest najelegantszym miejscem w Sydney. Ogólniak w Randwick nie należy do ekskluzywnych szkół dla dziewcząt.

Dawnie westchnęła.

— Och, mam, nie martw się o to! Najważniejsze, że on chce się ze mną ożenić i dobrze wie, kim i skąd jestem!

— Nie stać nas na wystawne wesele, kochanie — powiedziała smutno Es.

— Odłożyłam trochę pieniędzy i mogę zapłacić za takie wesele, jakie tylko wymarzą sobie jego rodzice! Mam nadzieję, że zadowolili ich skromna uroczystość, ale jeśli zechcą pompy, będą mieli imprezę na cztery fajerki!

— Będziesz się nas wstydziła — Es miała łzy w oczach. Drżała. Dawnie roześmiała się, szeroko rozkładając ręce. Pod pięknie opaloną skórą rysowały się smukłe mięśnie.

— Niedoczekanie wasze, staruszkowie! Dlaczego niby miałabym się was wstydzić? Daliście mi najlepsze i najszczęśliwsze życie, jakie dziewczyna może sobie wymarzyć. Wychowaliście mnie na osobę wolną od wszystkich tych kompleksów, nerwic i problemów, jakie mają ludzie w moim wieku. W rzeczywistości zaznałam z wami więcej radości niż Micki ze swoimi staruszkami! Lubi mnie i polubi moją rodzinę albo musi się ze wszystkim

pogodzić! Przeciwności przyciągają się. Wszystko to bierze się z tej starej, dobrej zasady — mówiła Dawnie coraz bardziej zamyślona. — Bo tak naprawdę nie łączy nas nic poza pewną kalkulacją. Świetnie wiem, że on ma już trzydzieści pięć lat i przez ostatnie piętnaście lat szlajał się po całym Sydney sprawdzając swoje możliwości, aż w końcu zdecydował się na pocziwą, prostą naiwniaczkę Dawnie Melville.

— Myślę, że to mu się liczy na plus — odpowiedział Ron smutno. Westchnął. — Nie sądzę, żeby chciał kiedyś umówić się ze mną i z Timem na piwko w Seaside. Założę się, że woli szkocką z wodą w jakimś ekskluzywnym lokalu, to bardziej w jego stylu.

— Na razie tak, ale on jeszcze nie wie, jaki los sobie gotuje. Poczekajcie trochę. Pod koniec roku spotkacie się w Seaside na piwie.

Es wstała energicznie.

— Zostawcie to wszystko, posprzątam jutro rano. Jestem zmęczona, idę spać.

Kiedy leżeli już wygodnie w łóżku, Es powiedziała do Rona:

— Biedna mała Dawnie, czeka ją ciężkie życie, jeśli wyjdzie za mąż za tego snobka.

— Wcale nie chciałem, żeby pieła się wyżej — odpowiedział Ron zdecydowanym głosem. — Czasem żałuję, że nie jest trochę głupsza, bo wtedy wyszłaby za jakiegoś normalnego chłopaka z sąsiedztwa i zamieszkała w zwyczajnym czynszowym mieszkaniu w Blacktown. Ale Dawnie nie lubi zwykłych chłopaków.

— Mam jednak nadzieję, że wszystko dobrze się ułoży. Chociaż z drugiej strony obawiam się, że będzie musiała zerwać kontakty z nami. Przestanie nas kochać. Powinniśmy stopniowo usunąć się w cień, i to już od dnia ślubu. Dajmy jej szansę, żeby znalazła sobie miejsce w nowym świecie, bo tam właśnie będzie wychowywała swoje dzieci. Dobrze myślę?

— Masz cholerną rację, staruszko! — powiedział Ron wpatrując się w sufit. — Jedyne Tim będzie za nią tęsknił. Biedny chłopiec, nigdy tego nie zrozumie.

— To prawda, Ron. Ale on jest jak małe dziecko, szybko zapomni. Znasz go przecież. Z początku będzie bardzo tęsknił, potem zacznie powoli zapominać, aż w końcu zapomni zupełnie. Zresztą ma teraz pannę Horton. Myślę, że ona też nie będzie przy nim wiecznie, ale mam nadzieję, że pomoże mu uspokoić się po przeżyciach związanych ze ślubem Dawnie. — Es poklepała męża po ręce. — W życiu nigdy nie jest tak, jak by się chciało.

Kiedyś myślałam, że Dawnie nigdy nie wyjdzie za mąż i kiedy my już umrzemy, będzie mieszkała w naszym domu z Timem. Ona tak go kocha. Ale, szczerze mówiąc, jestem zadowolona, że w końcu zdecydowała się na ten krok.

Pamiętasz, Ron, zawsze powtarzałam Dawnie, żeby jej nie powstało w głowie poświęcać się dla Tima. To nie byłoby w porządku. A teraz... Ciągłe mam wrażenie, że ona jest trochę zazdrosna o pannę Horton. Te jej zaręczyny przyszły trochę za szybko. Tim ma przyjaciółkę i Dawnie zeszła na drugi plan. Panna Horton znalazła czas, by uczyć go czytać, na co Dawnie nigdy się nie zdobyła. Jak tylko się o tym dowiedziała, proszę bardzo, wybuchła bomba, wychodzi za mąż!

Ron zgasił światło.

— Ale dlaczego akurat za tego faceta, Es? Zawsze myślałem, że ona nawet go nie dostrzega.

— Nie zapominaj, że jest od niej starszy, imponuje jej, że wybrał właśnie ją, a nie żadną z tych wyfiokowanych panienek z dobrych domów, które mogłyby mieć na każde skinienie. Prawdopodobnie Dawnie trochę się go boi, jego pochodzenie robi na niej wrażenie i oczywiście nie bez znaczenia jest, że to jej szef. Ona, choćby wszystkie rozumy zjadła, zawsze pozostanie głupiutką dziewczyną z Callan Park.

Ron przesunął głowę po poduszce, aż wreszcie znalazł ulubione wgłębienie.

— I tak nic już na to nie poradzimy, staruszek, prawda? Dawnie skończyła dwadzieścia jeden lat, a zresztą nigdy specjalnie nie liczyła się z naszym zdaniem. Jestem pewny, że tylko dlatego dotąd nie napytała siebie biedy, że jest cholernie sprytna i cwana jak wszyscy diabli. — Ron pocałował Es w usta. — Dobranoc, kochanie. Jestem już zmęczony, a ty? To pewnie przez to całe zamieszanie.

— Tak, kochany — Es ziewnęła. — Dobranoc, dobranoc.

Rozdział jedenasty

W następną sobotę Tim przyjechał do domu Mary w Artarmon smutny i spokojniejszy niż zwykle. Mary nie pytała, co go gnębi. Gdy tylko się zjawił, wsiedli do bentleya i pomknęli autostradą. Po drodze musieli zatrzymać się w szkółce ogrodniczej i odebrać zamówione przez Mary sadzonki kwiatów i krzewów. Ładowanie ich do samochodu pochłonęło Tima bez reszty. Mary, chcąc wykorzystać zainteresowanie roślinami, by rozproszyć jego smutne myśli, poprosiła, żeby usiadł na tylnym siedzeniu i uważał, by sadzonki nie poprzewracały się w czasie drogi albo nie pobrudziły skórzanej tapicerki.

Gdy znaleźli się na miejscu, Mary zostawiła Timowi rozładowanie samochodu, a sama poszła od razu do domu. Chciała rozpakować jego walizkę. Miał teraz w swoim pokoju szafę; trzymał w niej ubrania, których tu używał. Pokój Tima nie był już pusty i biały. Na podłodze leżał gruby pomarańczowy dywan, ściany były pomalowane na jasnożółto, a w oknach wisiały srebrnożółte zasłony. Nowoczesne duńskie meble dopełniały reszty. Rozpakowawszy walizkę, Mary przeszła do siebie i zrobiła porządek z własnymi rzeczami. Dopiero potem zainteresowała się, jak sobie radzi krzątający się przy samochodzie Tim.

Coś z nim było nie w porządku. Nie był sobą. Marszcząc czoło obserwowała, jak kończy wyładunek roślin. Nie martwiło ją jego zdrowie — wyglądał jak zwykle rześko i wspaniale, oczy miał jasne i błyszczące. Cokolwiek to było, wiązało się na pewno z jego życiem wewnętrznym. Mary uważała, że zły nastrój Tima nie ma związku z jej osobą, chociaż nie mogła wykluczyć, że jego rodzice powiedzieli o niej coś, co sprawiło mu przykrość. Nie, na pewno nie! Przecież poprzedniego wieczoru rozmawiała z Ronem Melville'em; był bardzo zadowolony, cieszył się z postępów Tima w czytaniu i liczeniu.

— Jest pani dla niego taka cholernie dobra, panno Horton — mówił Ron przez telefon. — Cokolwiek pani robi, niech pani nie przestaje, on wart jest wysiłku. Żałuję tylko, że nie poznał pani wcześniej, naprawdę bardzo żałuję!

Lunch minął w ciszy. Wyszli potem do ogrodu, a problem Tima w dalszym ciągu nie został omówiony. We właściwym czasie sam powie. Może tak było lepiej — udawać, że nic się nie stało, i pomagać mu po prostu przy sadzeniu nowo nabytych roślin. W ubiegły weekend tak świetnie się bawili przy pracy w ogrodzie przekomarzając się, czy sadzić kwiaty w jednakowych grządkach, czy też może mieszać ostróżkę z lwią paszczą. Tim nie znał nazw kwiatów,

więc Mary wyciągnęła książkę i pokazywała mu obrazki z roślinami podając ich nazwy. Uczył się tego z prawdziwą przyjemnością, chodził potem po ogrodzie powtarzając szeptem nowo poznane nazwy.

Przez całe popołudnie pracowali w ciszy, aż do chwili gdy cienie znacznie się wydłużyły, a zimny powiew morskiej bryzy przypominał im o nadchodzącej nocy.

— Rozpalmy ognisko na plaży i upieczmy sobie coś do jedzenia — zaproponowała Mary podejmując desperacką próbę poprawienia nastroju Tima. — Zanim ogień rozpali się na dobre, moglibyśmy popływać. A potem rozpalimy nowe ognisko na piasku i będziemy jeść grzejąc się przy nim. Co ty na to, Tim?

— Świetnie, Mary — Tim próbował się uśmiechnąć.

Mary zdążyła pokochać zabawy w wodzie i czasami udawało się jej nawet przepłynąć kilka metrów. Nie bała się już wody i wchodziła nawet na „głębiny”, tam gdzie Tim najbardziej lubił swawolić. Kupiła sobie czarny jednoczęściowy kostium kąpielowy ze stosunkowo długą spódniczką — nadal była bardzo skromna. Tim uznał, że kostium jest wspaniały. Jej skóra ściemniała w słońcu — Mary wyglądała teraz zdrowiej i młodziej.

W wodzie Tim też nie był tak szczęśliwy jak zwykle. Pływał spokojnie dokoła, jakby zapomniał o nurkowaniu z głośnym rzucaniem się do wody i „torpedowaniu” Mary. Kiedy tylko zasugerowała wyjście z wody, zgodził się natychmiast, podczas gdy normalnie nie można go było namówić — gdyby mógł, siedziałby w wodzie do północy.

Mary upiekła niewielkie kotlety jagnięce i duże, tłuste kiełbaski — jego dwa ulubione dania, ale Tim bez entuzjazmu dłużył widelcem w talerzu, a potem odstawił go, prawie niczego nie tknąwszy. Wzdychał i smutno kiwał głową.

— Nie jestem głodny, Mary — powiedział cicho.

Siedzieli obok siebie na ręczniku, grzejąc się przy ognisku. Wiatr był chłodny i dość silny. Słońce już zaszło. Półmrok pozbawiał świat intensywności barw, ale do chwili gdy wszystko stanie się szaroczarne, było jeszcze dość daleko. Nad nimi rozpościerało się bezkresne niebo pokryte błyszczącymi gwiazdami. Horyzont rysował się w dali ciemnozieloną kreską. Kilka gwiazd, jakby chcąc przelicytować blaskiem pozostałe, rozbłysło konwulsyjnie parę razy i zgasło. Dokoła kwiliły ptaki przygotowując się do snu. Krzaki pełne były dziwnych, tajemniczych pisków i chrobotów.

Nigdy przedtem Mary nie zwracała sobie głowy tym wszystkim. Dopóki coś jej nie przeszkadzało, nie zwracała na to uwagi. Świat mógł być dla niej wypełniony ciszą. Teraz nagle zdała sobie sprawę z bogactwa tego, co ją otacza — niebo, woda i ziemia, zwierzęta i rośliny. Wszystko było cudowne i piękne. To Tim nauczył ją dostrzegać świat. A zaczęło się to, gdy pokazał jej dyrygenta cykadowego chóru w oleandrach. Zawsze, kiedy znalazł jakieś, maleńkie cudo — pająka, dziką orchideę czy małe zwierzątko — przybiegał do niej i pokazywał. Ona zaś uczyła się nie uciekać z krzykiem, ale patrzeć na te dziwy jego oczami, widzieć je takimi, jakie były — doskonałe, integralnie związane z ziemią, jak ona, a może nawet bardziej niż ona. Niektóre z przynoszonych przez niego okazów należały do prawdziwych rzadkości.

Zmartwiona i smutna Mary kręciła się na ręczniku, aż znalazła pozycję, która pozwoliła jej dojrzeć jego profil na tle perłowego nieba. Policzek był słabo zarysowany, a oko ginęło w cieniu. Linia ust wyrażała ogromny smutek. Po chwili Tim poruszył się. Światło skupiło się na rzęsach, rozświetlając je jasnymi punkcikami, igrając po twarzy. Widać było łzy płynące po policzkach.

— Och, Tim! — odezwała się Mary wyciągając do niego ręce.

— Nie płacz, mój mały, nie płacz! Powiedz mi, co cię gnębi? Przecież jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. Mnie możesz chyba powiedzieć?

Mary przypomniała sobie, że Ron opowiadał jej o płaczu Tima. Chłopak płakał dość często, jak płaczą małe dzieci — głośno, zanosząc się. Ostatnio jednak już tak nie płakał. W momentach najgłębszego smutku płakał jak dorosły — relacjonował jej Ron — bezgłośnie, nie demonstrując swej rozpacz. Dokładnie tak jak teraz — pomyślała Mary zastanawiając się, ile razy w ciągu dnia Tim płakał, a ona nawet tego nie zauważyła, bo albo jej przy nim nie było, albo była zbyt zajęta, żeby zwrócić na to uwagę.

Przygnębiona, głaskała dłoń chłopca, starając się pocieszyć go najlepiej, jak umiała. Tim od razu odwrócił się do niej i zanim zdążyła cokolwiek zrobić, skłonił głowę na jej piersi, przytulając się mocno, jak małe zwierzątko szukające schronienia. Objął ją obiema rękami, a ręce Mary w naturalny sposób znalazły się na jego plecach; schyliła głowę opierając brodę o jego włosy.

— Nie płacz, Tim — szeptała głaszcząc go po włosach i całując w czoło. Przytulała go, starała się uspokoić i nie liczyło się nic, co temu nie służyło. A on jej potrzebował, tulił się do niej, jakby uważał, że jest dość silna, aby ukryć go i obronić przed światem. Do tej pory w życiu Mary nie wydarzyło się nic,

co przygotowałyby ją do takiej roli. Nie marzyła nawet, że los może obdarzyć ją chwilą równie wzruszającą, a zarazem bolesną. Głaszcząc Tima po plecach, czuła pod dłonią gładką i chłodną jak satyna skórę. A jego nie ogolony policzek drapał jej pierś jak papier ścierny.

Niezgrabnie i z wahaniem Mary przytuliła go do siebie trochę mocniej. Jedną ręką delikatnie dotykała pleców, drugą zagłębiła w gęstwinie jasnych włosów. Czterdzieści trzy puste, pozbawione miłości lata wypadły z pamięci i straciły wszelkie znaczenie. Całe jej dotychczasowe życie było jedną krótką chwilą. Gdyby ceną za tę chwilę szczęścia miały być kolejne czterdzieści trzy lata — tak puste i beznadziejne jak poprzednie — to także nie miałyby żadnego znaczenia. Teraz już nie.

Po pewnym czasie Tim przestał płakać. Zastygł w bezruchu w jej objęciach. Jedynie jego wznosząca się i opadająca w oddechu pierś świadczyła o tym, że żyje. Mary także nie poruszała się. Sama myśl, że mogłaby się poruszyć, przerażała ją — instynkt mówił jej, że w momencie gdy któreś z nich drgnie, nastrój pryśnie i odsuną się od siebie. Ustami dotykała jego włosów, zamknęła oczy. Była bardzo szczęśliwa.

Tim westchnął głęboko i poruszył się szukając wygodniejszej pozycji, ale dla Mary był to sygnał, że jej wielka chwila minęła. Delikatnie odsunęła się od niego. Tim, będąc ciągle w jej objęciach, uniósł głowę i spojrzał. Widok jego twarzy zaparł Mary dech w piersiach. W nikłej poświacie wieczoru jego uroda nabrała wyjątkowej subtelności — stał się Oberonem, Morfeuszem, nierealnym zjawiskiem z innego świata. Światło księżyca odbijało się w jego oczach czyniąc je srebrno-błękitnymi. Tim spoglądał na Mary jakby zza przezroczystej kurtyny. Może on patrzy inaczej niż inni, bo tylko on dostrzegł we mnie to, czego nikt inny nigdy nie zauważał? — pomyślała Mary.

— Tim, powiesz mi, dlaczego jesteś taki nieszczęśliwy?

— To przez moją Dawnie, Mary. Niedługo się wyprowadzi i potem rzadko będziemy się widywali. Nie chcę, żeby moja Dawnie się wyprowadzała, chcę, żeby z nami mieszkała jak do tej pory.

— Rozumiem — Mary spojrzała w nieruchome, rozjaśnione księżycowym blaskiem oczy. — Czy ona wychodzi za męża, Tim? I dlatego zamierza się wyprowadzić?

— Tak, ale ja nie chcę, żeby wychodziła za męża i wyprowadzała się! — znowu rozplakał się głośno.

— Tim, z czasem przekonasz się, że życie składa się ze spotkań z ludźmi, poznawania ich i rozstań z nimi. Czasem kochamy ludzi, których poznajemy,

czasem nie. Bywa i tak, że nie lubimy spotykanych ludzi, ale poznawanie ich jest jedną z najważniejszych spraw w życiu. To właśnie dzięki temu jesteśmy ludźmi. Przecież ja ciebie także poznałam, a potem zmieniło się całe moje życie, stałam się lepszym człowiekiem. Oczywiście czasami ludzie się rozstają! To najtrudniejsze i bardzo niechętnie się na to godzimy, zwłaszcza jeśli trzeba rozstać się z kimś, kogo kochamy. Rozstanie oznacza, że potem może już nigdy nie będzie tak samo, jak było. Tracimy coś z naszego życia, jakby nas samych ubyło, i wiemy, że nigdy nie uda się już tego odzyskać. Ale każdy z nas musi wiele razy w życiu rozstawać się z innymi ludźmi, bo rozstania są taką częścią życia jak spotkanie nowych ludzi i poznawanie ich. Moim zdaniem powinieneś teraz skupić się raczej na tym, by pamiętać o Dawnie, a nie rozpaczać z powodu rozstania, bo ono jest nie do uniknięcia, musi nastąpić. Jeśli będziesz o niej pamiętał, zamiast płakać z powodu rozstania, nie będziesz tak bardzo cierpieć. — Przerwała.

— Za dużo tego, prawda? I zbyt skomplikowane, żebyś mógł zrozumieć to, co mówiłam, prawda, Tim? Niczego nie rozumiałeś, kochany?

— Chyba trochę rozumiałem, Mary — odpowiedział poważnie. Mary roześmiała się, w jednej chwili zmieniając nastrój. Wypuściła

Tima z objęć. Wstała i pociągnęła go za sobą.

— Mary, powiedz mi, czy to, co mówiłaś, znaczy, że pewnego dnia ty też będziesz musiała odejść ode mnie?

— Nie odejdę od ciebie, chyba że ty będziesz tego chciał albo że umrę.

Ognisko zgasło, tylko cienkie smużki dymu unosiły się znad popiołu. Nagle na plaży zrobiło się zimno. Mary zadrżała i oplotła się rękami próbując się rozgrzać.

— Chodź, wracajmy do domu, Tim, tam będzie ciepło i jasno. Tim zatrzymał Mary i spojrzał jej w oczy z niezwykłą dla niego siłą.

— Mary, ja zawsze strasznie chciałem wiedzieć, ale nikt nie chciał ze mną o tym rozmawiać! Czym jest umieranie, czym jest śmierć? Czy to to samo, co nie żyć? Czy jest jakaś różnica?

— Nie. To jest to samo — powiedziała Mary i wzięła go za rękę. Położyła rękę Tima na lewej stronie jego klatki piersiowej. — Czujesz, jak bije ci serce, Tim? Czujesz to bum—bum, bum—bum, bum—bum, jak uderza przez cały czas, nigdy się nie zatrzymując, nawet na chwilę?

— Tak, czuję! Mary, ja naprawdę to czuję! — przytakiwał Tim zafascynowany.

— Więc kiedy ono bije, bum— bum, bum—bum, możesz słyszeć i widzieć, możesz chodzić i śmiać się, i płakać, jeść i pić, i budzić się rano, i czuć słońce na skórze i wiatr. I kiedy mówię, że coś jest żywe, to właśnie to mam na myśli — patrzeć, chodzenie, słyszenie, śmianie się i płkanie. Ale widziałeś na pewno, że rzeczy starzeją się, zużywają i łamią. Na przykład taczka czy mieszarka do betonu. I my wszyscy, których serca biją pod żebrami — słyszysz, Tim, wszyscy bez wyjątku — starzejemy się i zużywamy. Czasami coś w nas pęka. Wtedy ta bijąca rzecz, którą czujesz pod ręką, zatrzymuje się, jak zegarek, którego nie nakręcono. Kiedy nadchodzi właściwy czas, spotyka to każdego z nas. Niektórzy szybciej niż inni zużywają swoje siły, jeszcze inni ulegają wypadkom, na przykład w samolocie czy samochodzie. I nikt nie wie, kiedy to się stanie, i nic nie możemy na to poradzić ani nawet tego przewidzieć. Zdarza się to pewnego dnia, kiedy jesteśmy już zbyt zmęczeni albo zbyt zużyci, żeby utrzymać się przy życiu. Kiedy nasze serce zatrzymuje się, my też stajemy. Nie widzimy, nie słyszymy, nie możemy spacerować, nie jemy i nie możemy się śmiać czy płakać. Jesteśmy nieżywi, przestajemy istnieć i trzeba nas wtedy schować, położyć, żebyśmy mogli spać głęboko pod ziemią, na zawsze, i żeby nikt nam nie przeszkadzał. To przydarza się każdemu z nas i nie ma się czego obawiać, to nie boli. Przypomina sen, z którego nigdy się nie budzimy, a kiedy śpimy, nikt i nic nie może nas skrzywdzić. To chyba przyjemne — spać, nieważne — w łóżku czy pod ziemią. Najważniejsze więc to cieszyć się życiem, kiedy żyjemy, i nie bać się umrzeć, kiedy nadejdzie czas i zatrzyma się serce.

— W takim razie ja mogę umrzeć tak samo jak ty, Mary! — odezwał się Tim. Jego twarz znajdowała się bardzo blisko jej twarzy.

— Tak, możesz. Ale ja jestem stara, a ty jesteś młody. Jeśli wszystko ułoży się tak, jak zwykle bywa, to moje serce pierwsze przestanie bić. Jestem już bardziej zmęczona niż ty.

Wyraz twarzy Tima mówił, że znowu jest bliski płaczu.

— Nie! Nie! Nie! Nie chcę, żebyś umarła wcześniej niż ja, nie chcę, żeby tak było!

Mary wzięła go za rękę i energicznie pogłaskała.

— Tim, Tim, przestań się tym martwić! Co ci przed chwilą powiedziałam? Życie polega na tym, żeby cieszyć się każdą chwilą, kiedy się żyje. Umieranie to sprawa przyszłości, nie trzeba się go bać, a tym bardziej myśleć o nim! Umieranie to rodzaj ostatecznego rozstania, najtrudniejszego ze wszystkich, bo na zawsze.

Wszyscy jednak musimy przez to przejść i dlatego nie możemy zamykać oczu i udawać, że ono nie istnieje. Jeśli tylko jest się dorosłym i wrażliwym człowiekiem, jeśli jest się dobrym i silnym, śmierć staje się czymś zrozumiałym, wie się o niej, ale ta wiedza nie jest straszna. Teraz wiem, że jesteś dorosły i wrażliwy. Wiem, że jesteś dobry i silny, więc chcę, żebyś obiecał mi, że nie będziesz martwił się śmiercią, nie będziesz przerażony, jeśli przytrafi się ona mnie albo tobie. I chcę jeszcze, żebyś mi obiecał, że postarasz się zachowywać jak dorosły mężczyzna przy rozstaniu z Dawnie, że nie będziesz jej sprawiał przykrości okazując, że jesteś nieszczęśliwy. Dawnie żyje, tak jak my, i ma pełne prawo, by iść własną drogą. Cieszy się życiem tak jak ty i nie wolno ci utrudniać jej tego.

Ujęła go pod brodę i spojrzała w zachmurzone oczy.

— Wiem, że jesteś dobry, silny i miły, i dlatego chcę, żebyś był taki dla Dawnie i w każdej innej sytuacji, która sprawi ci przykrość. Nie wolno ci być smutnym nawet przez minutę. Obiecujesz, Tim?

— Obiecuję, Mary — przytaknął bardzo poważnie.

— No to wracajmy do domu. Porządnie już zmarłam.

Po powrocie do domu Mary włączyła ogrzewanie w salonie i nastawiła muzykę, która zazwyczaj wprawiała Tima w dobry nastrój. Terapia była skuteczna — za chwilę Tim śmiał się i rozmawiał, jakby nic nie zagrażało jego małemu światu. Domagał się lekcji czytania. Mary z radością spełniła jego prośbę. Tim wynalazł nowy sposób siedzenia podczas lekcji: dotąd siadywał na podłodze z głową opartą o poręcz jej fotela, teraz zwinął się w kłębek na dywanie u jej stóp.

— Mary? — zaczął Tim po dość długim milczeniu, gdy właśnie miała obwieścić, że czas do łóżek.

— Tak?

Tim obrócił się, aby widzieć twarz Mary.

— Kiedy płakałem, a ty mnie przytuliłaś, to co to było? Jak to nazwać?

Mary uśmiechnęła się wzruszając ramionami.

— Nie wiem, czy to ma jakąś nazwę. Chyba pocieszanie. Tak, wydaje mi się, że to było pocieszanie. A dlaczego pytasz?

— Podobało mi się. Mama robiła tak czasami bardzo, bardzo dawno temu, kiedy byłem jeszcze zupełnie małym chłopcem, ale potem powiedziała, że jestem już za duży i przestała to robić. Mary, dlaczego ty nie uważasz, że jestem za duży?

Mary przysłoniła dłonią oczy i przez chwilę tak trwała. Potem opuściła dłoń na kolana i zacisnęła mocno na drugiej ręce.

— Chyba nie myślałam wtedy, że jesteś duży, wydawałeś mi się takim właśnie małym chłopcem. Zresztą to, czy ktoś jest duży czy nie, nie ma znaczenia, znacznie ważniejsze jest, czy jego problemy są duże. Można być zupełnie dużym, a problem może być jeszcze większy. Tak było z tobą, prawda? Czy pocieszenie pomogło ci?

Tim spojrzał na nią zadowolony.

— O tak, bardzo mi pomogło. I było bardzo przyjemnie. Chciałbym, żebyś mnie codziennie pocieszała.

Mary roześmiała się.

— Być może, ale ja wcale nie mam zamiaru tego robić. Widzisz, Tim, wszystko, co robi się zbyt często, przestaje być atrakcyjne. Zgadzasz się ze mną? Gdybyś był pocieszany co dzień, bez względu na to, czy jest ci to potrzebne czy nie, szybko znudziłoby ci się. I nie byłoby już takie przyjemne.

— Ale ja naprawdę potrzebuję pocieszenia przez cały czas, Mary! Potrzebuję tego codziennie!

— Głupstwa gadasz. Pieszczoch z ciebie, mój przyjacielu, i to wszystko! Ale teraz już chyba najwyższa pora spać!

Tim podniósł się z podłogi.

— Dobranoc, dobranoc, Mary. Lubię cię, lubię cię bardziej niż kogokolwiek poza tatą i mamą, a właściwie lubię cię tak samo jak tatę i mamę.

— Och, Tim! A co z biedną Dawnie?

— Dawnie też lubię, ale ciebie lubię bardziej niż ją, ciebie lubię bardziej niż kogokolwiek poza mamą i tatą. Będę cię nazywał moją Mary, a Dawnie nie będę już nazywał moją Dawnie.

— Tim, nie możesz być taki zawzięty. To okrutne i bezmyślne! Proszę, nie daj Dawnie odczuć, że teraz ja zajęłam jej miejsce w twoim sercu. Byłoby jej bardzo przykro.

— Ale, Mary, przecież ja ciebie lubię bardziej niż ją! I nic na to nie mogę poradzić, po prostu bardziej lubię ciebie!

— Ja też bardzo cię lubię, Tim, bardziej niż kogokolwiek na świecie, bo nie mam nawet taty i mamy.

Rozdział dwunasty

Okazało się, że ślub Dawnie i Michaela Harringtona-Smythe'a ma się odbyć pod koniec maja, więc czasu na przygotowania pozostało niewiele. Poznając coraz dokładniej środowisko przyszłej synowej, rodzice Micka chętnie — podobnie jak rodzice Dawnie — zgodzili się ograniczyć liczbę gości weselnych do niezbędnego minimum.

Obie rodziny spotkały się na neutralnym gruncie w celu omówienia szczegółów. Neutralnym gruntem był zarezerwowany wcześniej pokój w hotelu Wentworth. Nikt na tym spotkaniu nie czuł się swobodnie. Skrepowany kołnierzykiem Ron i ściśnięta wkładanym tylko na niedzielę gorsetem Es siedzieli na brzegach foteli nie dając się wciągnąć w miłą konwersację, podczas gdy rodzice Micka — dla których kołnierzyk, krawat i groset były rzeczą normalną — gawędzili ospale, a ich głosy brzmiały tak, jakby mówiąc żuli suszone śliwki. Mick i Dawnie desperacko, lecz bezskutecznie próbowali rozładować napięcie i złagodzić męczącą atmosferę.

— Dawn wystąpi oczywiście w długiej białej sukni i będzie miała co najmniej jedną druhnę — powiedziała pani Harrington-Smythe zaczepnie.

Es straciła głowę. Zapomniała zupełnie, że Dawn było prawdziwym imieniem Dawnie i nie chciała, aby wyszło na jaw, że rodzina Melville'ów używała tego popularnego w niższych sferach zdrobnienia.

— Uhm — odpowiedziała, co pani Harrington-Smythe uznała za akceptację.

— Mężczyźni powinni mieć ciemne garnitury i gładkie niebieskie satynowe krawaty — kontynuowała pani Harrington-Smythe. — Ponieważ ślub będzie kameralny, smokingi, białe krawaty czy fraki byłyby nie na miejscu.

— Uhm — mruknęła Es. Pod stołem szukała ręką dłoni Rona, a gdy tylko ją znalazła, chwyciła jak koło ratunkowe.

— Przekażę pani pełną listę gości ze strony pana młodego, pani Melville.

Mniej więcej tak przebiegała rozmowa, do chwili gdy pani Harrington-Smythe zauważyła:

— O ile wiem, Dawn ma starszego brata, pani Melville, ale Michael nie wspomniał mi dotąd, jaka rola przypadnie mu w czasie uroczystości. Oczywiście, zdaje sobie pani sprawę, że nie może on być drużbą Michaela, bo do tej funkcji zaprosiliśmy już jego starego przyjaciela, Hilary'ego Arbuckl-Heatha, więc nie wiem, jaką inną rolę mógłby odegrać brat Dawn podczas

tego skromnego ślubu. Chyba że Dawn zmieni zdanie i zdecyduje się na drugą druhnę.

— Nic nie szkodzi, proszę pani — powiedział poważnie Ron, ściskając pod stołem rękę Es. — Tim nie będzie brał udziału w uroczystości. Szczerze mówiąc, planowaliśmy wysłać go w tym dniu do panny Mary Horton.

Dawnie westchnęła.

— Ależ tatau, nie możesz tego zrobić! Tim jest moim jedynym bratem i chcę, żeby był na moim ślubie.

— Ale, Dawnie, wiesz przecież, że Tim nie lubi tłoku — protestował ojciec. — Pomyśl, co by to było, gdyby nagle zaczął tam wymiotować! Rany boskie, to byłby widok! Dawnie, dla wszystkich będzie lepiej, jeśli Tim pojedzie do panny Horton.

Dawnie miała oczy pełne łez.

— Teraz wszyscy mogą pomyśleć, że się go wstydzisz, tatau. Ale ja się go nie wstydzę i chcę, żeby wszyscy go poznali i pokochali tak samo, jak ja go kocham!

— Dawnie, kochanie, moim zdaniem tatau ma zupełną rację — Es poparła Rona. — Wiesz, jak źle Tim znosi obecność wielu ludzi, i nawet gdyby nie zrobiło mu się niedobrze, byłby nieszczęśliwy, gdyby musiał siedzieć bez ruchu w czasie całej uroczystości.

Zdenerwowani Harrington-Smythe'owie spoglądali po sobie, niczego nie rozumiejąc.

— Wydawało mi się, że on jest starszy od Dawn — odezwała się w końcu pani Harrington-Smythe. — Bardzo przepraszam, ale nie zdawałam sobie sprawy, że to jeszcze dziecko.

— On nie jest dzieckiem — przerwała jej Dawnie z wypiekami na twarzy. — Jest o rok starszy ode mnie, ale jest opóźniony w rozwoju i to właśnie moi rodzice starają się ukryć przed światem!

Zaległa grobowa cisza. Pan Harrington-Smythe bezmyślnie bębnił palcami po blacie stołu, a Mick patrzył na Dawnie zaskoczony.

— Nie mówiłaś mi, że on jest niedorozwinięty — zwrócił się do Dawnie.

— Nie, nie mówiłam, bo nie przyszło mi do głowy, że może to mieć jakiegokolwiek znaczenie! Tim wychował się ze mną, jest częścią mego życia, ważną częścią! Kiedy o nim mówię, nie myślę o tym, że jest upośledzony. To wszystko!

— Nie złość się, Dawn — prosił Mick. — To naprawdę nie jest ważne, masz zupełną rację. Byłem tylko trochę zaskoczony.

— Nie złościę się! Ale nie chcę ukrywać, tak jak moi rodzice, że mój jedyny brat jest opóźniony w rozwoju. Tato, jak mogłeś?

Ron był zakłopotany.

— Dawnie, nie mieliśmy zamiaru ukrywać prawdy o Timie, wydawało się nam, że jeśli on nie przyjdzie, będziesz miała mniej kłopotów. Wiesz, że Tim nie lubi tłoku. Wszyscy patrzą na niego, a on dostaje małego rozumu.

— Och, czyżby wyglądał aż tak źle? — spytała pani Harrington-Smythe z nutką niedowierzania, bo właśnie w tej chwili spojrzała na Dawnie. A może to dziedziczne w tej rodzinie? — pomyślała. — Ten idiota Michael żeni się z dziewczyną z nizin społecznych, rezygnując z tyłu równych mu urodzeniem wspaniałych dziewcząt! Co prawda, mówią o niej, że jest bardzo inteligentna, ale inteligencja nie zastąpi pochodzenia, nigdy nie zrównoważy prostactwa, a cała ta jej przekłeta rodzina jest taka prostacka, prostacka, prostacka! Dziewczyna nie ma żadnej ogłady, nie ma pojęcia, jak się zachować w przyzwoitym towarzystwie.

— Tim jest najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziałam — odpowiedziała Dawnie z zapalem. — Ludzie patrzą na niego z zachwytem, a nie z obrzydzeniem, choć jemu to jest całkiem obojętne! Wszystko, co wie, to to, że patrzą na niego, a on nie lubi skupiać na sobie uwagi.

— Och, on jest śliczny! — wtrąciła Es. — Wygląda jak grecki bożek. Tak mówi panna Horton.

— Panna Horton? — zapytał Mick w nadziei na zmianę tematu.

— W każdy weekend Tim pracuje w ogrodzie panny Horton.

— Tak? Czy to znaczy, że Tim jest ogrodnikiem?

— Nie, nie jest żadnym ogrodnikiem! — warknęła Dawnie, zniecierpliwiona. — W ciągu tygodnia pracuje jako robotnik budowlany, a w weekendy dorabia sobie w ogrodzie tej bogatej starej panny.

Wyjaśnienia Dawnie pogorszyły tylko sytuację. Harrington-Smythe'owie kręcili się w fotelach unikając wzroku obecnych.

— Tim ma iloraz inteligencji na poziomie siedemdziesięciu pięciu — powiedziała Dawnie, tym razem znacznie ciszej — i w zasadzie nie powinno się go zatrudniać, ale moi rodzice od początku postępowali z nim wspaniale. Zdawali sobie sprawę, że nie będą mogli opiekować się nim przez całe życie, i dlatego postanowili wychować go tak, żeby był samodzielny i możliwie najbardziej niezależny. Gdy skończył piętnaście lat, zaczął zarabiać na siebie jako robotnik niewykwalifikowany, bo to jedyny rodzaj zajęcia dostępny dla

niego. Dodam jeszcze tylko, że Tim cały czas pracuje u tego samego człowieka. Mówię o tym, bo chciałabym, żebyście zrozumieli, że Tim to bardzo wartościowy i lubiany pracownik.

Tato od pierwszej chwili opłaca jego polisę ubezpieczeniową, więc Tim nigdy nie będzie musiał martwić się o pieniądze, zawsze będzie miał dość, żeby przeżyć. Od kiedy zaczęłam pracować, i ja dokładam się do tego ubezpieczenia, żeby podwyższyć stawkę, a część zarobków Tima także idzie na ten cel. Tim to najbogatszy członek naszej rodziny — zaśmiała się.

— Do niedawna Tim nie potrafił ani czytać, ani pisać, ani nawet liczyć, ale tato i mama nauczyli go wielu ważnych rzeczy, na przykład jak poruszać się po mieście nie prosząc o pomoc czy opiekę. Nauczyli go liczyć pieniądze, chociaż nie potrafi policzyć niczego innego, to dziwne, prawda? W zasadzie można by pomyśleć, że skoro potrafi liczyć pieniądze, powinien przenieść tę umiejętność na inne rzeczy, ale on nie potrafi. To pewnie jeden z tych smutnych kawałów, jakie potrafi wyciąć niedorozwinięty umysł. Tim sam kupuje bilety na przejazdy, jedzenie i ubranie. Nie jest teraz dla nas żadnym ciężarem. Zresztą nigdy nie był. Kocham mojego brata, jestem do niego bardzo przywiązana. Nie ma na świecie nikogo bardziej godnego miłości i miłszego niż on. I, Mick — zwróciła się do narzeczonego — jeśli Tim będzie samotny i będzie potrzebował domu, mam zamiar zabrać go do nas. A jeśli to ci nie odpowiada, to cholernie niedobrze! Lepiej będzie, jeśli wycofasz się, póki czas!

— Moja kochana, kochana Dawn — odezwał się zupełnie nie poruszony jej przemową Mick. — Mam niezłomny zamiar ożenić się z tobą i nie zniechęci mnie nawet dziesięciu upośledzonych braci!

Jego odpowiedź nie zadowoliła Dawnie, ale była już zbyt zmęczona, żeby zastanawiać się, dlaczego nie jest nią usatysfakcjonowana, a potem wyleciało jej to z głowy.

— To nie jest żadne obciążenie dziedziczne — zaczęła Es trochę patetycznie. — Lekarze orzekli, że to się stało z powodu moich narządów rodnych. Kiedy wyszłam za Rona, byłam już po czterdziestce i nigdy przedtem nie miałam dzieci. Dlatego Tim urodził się trochę niespełna rozumu. Dawnie przyszła na świat zupełnie normalna, bo po pierwszym porodzie stan moich narządów znacznie się poprawił. Tylko pierwsze dziecko, Tim, ucierpiało przez to. Ale jest tak, jak mówi Dawnie, nie ma na świecie miłszego chłopca.

— Rozumiem — odezwał się pan Harrington-Smythe, nie bardzo wiedząc, co by tu jeszcze powiedzieć. — Myślę, że do państwa Melville'ów należy decyzja, czy ich syn będzie na ślubie.

— A my zdecydowaliśmy — zaczęła Es stanowczym tonem — że skoro Tim źle znosi tłum, nie będzie na weselu. Myślę, że panna

Horton będzie bardzo zadowolona mogąc zabrać go na weekend.

Dawnie rozplakała się i wybiegła do łazienki. W kilka minut później Es poszła tam za nią.

— Nie płacz, kochanie — uspokajała ją, głaszcząc po ramionach.

— Wszystko układa się jakoś nie tak, jak powinno, mamó! Ty i tatko nie lubicie Harringtonów, oni nie lubią was, a ja nie mam pojęcia, co o tym wszystkim myśli Mick! Och, to okropne!

— Opowiadasz bzdury! Po prostu ja i Ron należymy do innego świata niż Harrington-Smythe'owie. Oni nie zadają się z takimi jak my. Nie możesz więc oczekiwać, że będą wiedzieli, co robić, kiedy przyjdzie im spotkać się z takimi ludźmi. To samo dotyczy nas, kochanie. Nie gram w tenisa z takimi jak Harrington-Smythe'owie ani we wtorki, ani w czwartki, ani w soboty, a Ron nie widuje się z takimi ani w klubie, ani w Seaside.

Jesteś już dużą dziewczynką, Dawnie, i na dodatek bardzo mądrą! Musisz zrozumieć, że nigdy nie będziemy mogli się z nimi zaprzyjaźnić. Przecież my nawet nie śmiejemy się z tych samych dowcipów! Nie jesteśmy jednak wrogami, zwłaszcza że nasze dzieci zamierzają się pobrać. Nie spotkamy się więcej, no, może przy okazji chrztu czy podobnego wydarzenia. I tak jest dobrze. Nie zaczniemy przecież nagle włączyć sobie w tyłki tylko dlatego, że nasze dzieci biorą ślub. Jesteś dość bystra, by to zrozumieć, prawda?

Dawnie otarła łzy.

— Tak, myślę, że tak, aleja chciałam, żeby wszystko ułożyło się jak najlepiej, mamó!

— To rozumiałe, kochanie, ale życie tak się nie układa! To przecież ty wybrałaś Micka, a on ciebie, i to nie my z twoim ojcem będziemy brali ślub z Harringtonami. Gdyby to od nas zależało, nigdy nie wybralibyśmy go dla ciebie, i wątpię, czy Harringtonowie wybraliby ciebie dla swego syna. Podwójne nazwisko, no, no! Gdybyś mnie spytała, powiedziałabym, że to okropne zadzieranie nosa. Ale teraz wszyscy powinniśmy się bardzo starać i nie robić problemu z Tima, tak będzie najlepiej. Tim zupełnie tu nie pasuje i nie wrabiaj go w to. Zostawmy go, biedaka, jego własnemu życiu i nie dajmy

go na pożarcie Harringtonom. Oni nie znają go tak jak my, więc nie można od nich oczekiwać, żeby cokolwiek zrozumieli!

— Kochana mamó, co ja bym bez ciebie zrobiła! Mówią o mnie, że jestem najbardziej rozgarnięta w rodzinie Melville'ów, ale ja czasami mam wrażenie, że to ty i tatko jesteście najmądrzejsi. Gdzieście się tego nauczyli?

— Nie nauczyliśmy się, kochanie. To życie nas nauczyło. Im dłużej się żyje, tym więcej się wie. Kiedy dorobisz się dzieci takich dużych jak ty teraz, a ja już będę wahała kwiatki od spodu, też będziesz je zadziwiała swoją mądrością.

Sprawę obecności Tima na weselu Ron załatwił ostatecznie, naradziwszy się z Mary. Choć nigdy do tej pory nie spotkali się osobiście i Ron miał wrażenie, że Mary należy raczej do świata Harringtonów niż Melville'ów, rozmawiając z nią przez telefon czuł się swobodnie i naturalnie. Wiedział, że ona na pewno zrozumie dylemat, przed którym stanął, i zaproponuje jakieś rozsądne rozwiązanie.

— To paskudna sprawa, panno Horton — mówił sapiąc głośno w słuchawkę. — Harrington-Smythe'owie nie są zachwyceni kandydatką na żonę, jaką wybrał ich ukochany synalek, i — mówiąc szczerze — nie mam o to do nich żalu. Boją się, że nie będzie do nich pasowała. Gdyby nie to, że Dawnie jest taka cholernie bystra, ja też bym się niepokoił. Myślę jednak, że z niej będzie lepsza uczennica niż z nich nauczyciele, i nie będą musieli wstydić się kiedykolwiek tego, co ona robi czy powie.

— Nie znam Dawnie osobiście, panie Melville, ale sądząc z tego, co o niej słyszałam, jestem przekonana, że ma pan rację — odpowiedziała Mary serdecznie. — Ja też nie martwiłabym się o nią.

— Toteż ja się nie martwię! Dawnie jest z żelaza, idzie jak burza. To z Timem mam kłopot.

— Z Timem? Dlaczego?

— On jest inny. Nigdy nie dorośnie, nie wie, kiedy popełnia błędy, i nie potrafi uczyć się na nich/Co się stanie z tym biednym chłopcem, gdy mnie i Es zabraknie?

— Moim zdaniem zrobili państwo dla niego ogromnie dużo — mówiła Mary przez zaciśnięte gardło. — Wychowaliście go tak, że jest samodzielny i niezależny.

— Tak, wiem — odpowiedział Ron trochę zniecierpliwiony.

— Gdyby chodziło tylko o to, czy on potrafi się o siebie zatroszczyć, nie martwiłbym się, ale to nie wszystko. Tim potrzebuje taty i mamy, który

kochaliby go i zapewniali spokój ducha, bo sam nie jest w stanie znaleźć nikogo, kto zająłby nasze miejsce, nie będzie miał żony i własnej rodziny, tak jak każdy normalny mężczyzna.

— Ale przecież będziecie z nim jeszcze wiele lat, panie Melville. Pan i pańska żona jesteście jeszcze młodzi.

— Tu się pani myli, panno Horton. Es i ja nie jesteśmy już młodzi. Ona jest młodsza ode mnie tylko o sześć miesięcy i w tym roku oboje będziemy obchodzić siedemdziesiąte urodziny.

— Och! — przez chwilę w słuchawce zapanowała cisza, potem Mary odezwała się, ale jej głos zdradzał niepewność. — Nie przypuszczałam, że jesteście państwo w tym wieku!

— Jesteśmy, jesteśmy. I powiem pani, panno Horton, teraz, kiedy Dawnie wychodzi za męża za tego faceta, który z całą pewnością nie zechce, żeby jej niedorozwinięty brat wisiał u jej boku, ja i moja żona odchodzimy od zmysłów, martwiąc się o przyszłość Tima. Czasami słyszę, jak biedna Es płacze po nocach, i wiem, że to z powodu Tima. On nie pożyje długo, kiedy my odejdziemy na zawsze i okaże się, że jest zupełnie sam. Jego złamane serce tego nie zniesie, zobaczy pani.

— Złamane serce nie zabija, panie Melville — powiedziała Mary łagodnie i wierzyła w to, bo jej życie uczuciowe ciągle jeszcze było bardzo ubogie.

— Pieprzy pani głupoty! — wybuchnął Ron. — Och, przepraszam, panno Horton! Wiem, że nie powinienem przeklinać, ale jak można nie wierzyć, że człowiek może umrzeć, gdy ma złamane serce! Sam widziałem, i to nie raz. I wiem, że to samo spotka Tima, on po prostu będzie ginął w oczach. Żeby żyć, nie wystarczy być zdrowym, kochana, potrzebna jest jeszcze chęć i wola życia. Kiedy okaże się, że Tim nie ma nikogo, kto by mógł się nim zająć — umrze. Usiądzie, zacznie płakać, zapomni o bożym świecie, nawet o jedzeniu — i umrze.

— Dopóki ja będę żyła, zadbam o to, żeby ktoś troszczył się o niego — zaoferowała się Mary ostrożnie.

— Ale pani też nie jest najmłodsza, panno Horton! Szczerze mówiąc, bardzo liczyłem na Dawnie, ale teraz... — Ron westchnął.

— Zresztą nie ma co rozpaczać nad rozlanym mlekiem, prawda? Mary miała na końcu języka zapewnienie, że ona nie ma jeszcze siedemdziesiątki, ale zanim zdołała cokolwiek powiedzieć, Ron zaczął znowu:

— Tak naprawdę, to dzwonię do pani, żeby się poradzić w sprawie obecności Tima na ślubie. Bardzo chciałbym, żeby tam był, ale z drugiej

strony wiem, ile go to będzie kosztowało — siedzieć podczas całej uroczystości, a potem jeszcze na przyjęciu... Dawnie była bardzo zmartwiona, kiedy powiedziałem jej, że wolałbym, żeby Tima nie było, i chyba nadal tak uważam. Zastanawiam się przy okazji, czy nie miałyby pani nic przeciwko temu, żeby Tim spędził ten weekend z panią.

— Oczywiście, zgadzam się, panie Melville! Ale to chyba sprawi mu wielką przykrość — nie będzie widział wszystkich tych przygotowań, nie zobaczy ślubu Dawnie... Coś panu powiem, panie Melville, może po prostu zabierze go pan do kościoła, a zaraz po ceremonii podjadę po niego, tak że nie będzie musiał uczestniczyć w' przyjęciu.

— O rany, to świetny pomysł, panno Horton! Cholera, że też sam na to nie wpadłem! To rozwiązuje wszystkie problemy, prawda?

— Tak mi się wydaje. Proszę, niech pan do mnie zadzwoni, kiedy znane będą wszystkie szczegóły, czas, miejsce i tak dalej. A ja dam panu słowo, że zajmę się Timem zaraz po uroczystości.

— Panno Horton, pani jest wspaniałą kobietą, naprawdę wspaniałą!

RS

Rozdział trzynasty

Przygotowania do ślubu wciągnęły Tima. W ostatnim tygodniu Dawnie była wyjątkowo czuła i oddana rodzinie — w skrytości ducha przyznawała, że to małżeństwo to swego rodzaju dezercja.

W sobotni rano, w dzień ślubu, Tim był i przerażony, i zachwycony zamieszaniem i paniką, jakie ogarnęły całą rodzinę. Plątał się pod nogami, przeszkadzał i bez przerwy chciał w czymś pomagać. Rodzice kupili mu nowy, granatowy garnitur w stylu Cardina. Chłopak był oczarowany. Nałożył go już z rana i paradował po mieszkaniu, starając się przy każdej okazji zobaczyć swoje odbicie w lustrze.

Na widok Dawnie w ślubnej sukni zaniemówił.

— Och, Dawnie, wyglądasz jak królewna z bajki! — wychrypiał, wpatrując się w nią szeroko otwartymi niebieskimi oczami.

Dawnie objęła go z całej siły, starając się ukryć wzruszenie i cisnące się do oczu łzy.

— Och, Tim, jeśli kiedykolwiek będę miała syna, chciałabym, żeby wyglądał tak jak ty — wyszeptała całując go w policzek.

Tim był szczęśliwy, ale nie dlatego, że Dawnie mówiła o swoim przyszłym synu — tego nie rozumiał — był szczęśliwy, że go przytuliła.

— Pocieszyłaś mnie! — pokrzykiwał zadowolony. — Pocieszyłaś mnie, Dawnie, a ja strasznie lubię, gdy mnie ktoś pociesza, to najprzyjemniejsza rzecz na świecie!

— Dobrze już, dobrze, teraz bądź grzecznym chłopcem, idź do bramy i patrz, czy nie nadjeżdżają samochody — instruowała Es, zastanawiając się, czy kiedykolwiek będzie mogła myśleć o nim bez niepokoju, i starając się nie zwracać uwagi na lekki ból w boku, który od niedawna dawał się jej we znaki.

Dawnie w towarzystwie ojca wsiadła do limuzyny, która nadjechała pierwsza, druhna zajęła miejsce w drugim samochodzie, a Es i Tim ulokowali się w trzecim.

— Siedź prosto, Tim, i bądź greczny — upominała go sadowiąc się wygodnie na tylnym siedzeniu. Westchnęła przy tym kilkakrotnie.

— Ślicznie wyglądasz, mamó — odezwał się Tim, który w luksusowym wnętrzu samochodu czuł się swobodniej niż matka.

— Dziękuję ci, kochanie, chciałabym czuć się równie dobrze, jak wyglądam.

Es bardzo starała się nie przesadzać z elegancją, tak typową dla matek narzeczonych z kręgu Melvillów, która jednak nie robi wrażenia na ludziach ze środowiska Harrington-Smythe'ów. Z westchnieniem żalu pożegnała się z marzeniami o gipiurowej sukience w kolorze lila, o harmonizujących z nią kolorystycznie płaszczem, butami i kapeluszem przybranym sztucznymi liliami. Zdecydowała się na bladoniebieską suknię z chińskiego jedwabiu i stosowny do niej płaszcz ozdobiony jedynie dwiema skromnymi białymi różami.

Kościół był pełen ludzi — Es i Tim musieli przeciskać się do pierwszego rzędu ławek po stronie panny młodej, gdzie były zarezerwowane dla nich miejsca. Przez całą drogę Es była świadoma spojrzeń, jakimi obdarzali Tima prawie wszyscy siedzący po stronie pana młodego, ale szybko wytłumaczyła sobie, że ich zainteresowanie bierze się z chęci przyjrzenia się komuś z niższej klasy społecznej. Państwo Harrington-Smythe'owie patrzyli na niego nie wierząc własnym oczom, podczas gdy wszystkie kobiety poniżej dziewięć-dziesiątki natychmiast szaleńczo się w nim zakochały. Es była szczerze zadowolona, że Tim nie będzie obecny na przyjęciu.

W czasie krótkiej ceremonii Tim zachowywał się wspaniale. Potem, kiedy zaczęły błyskać flesze i powstało zamieszanie związane ze składaniem życzeń, Es i Ron wyprowadzili go dyskretnie przed kościół i posadzili na niskim murku.

— A teraz grzecznie poczekasz na Mary i nie ruszysz się stąd na krok — powiedziała Es stanowczo.

Tim skinął głową.

— Dobrze, mamu, poczekam tutaj. Ale mogę się odwrócić i popatrzeć, jak Dawnie będzie wychodziła z kościoła?

— Oczywiście, mój drogi. Tylko nie odchodź z tego miejsca, a gdyby ktoś cię zaczepił, zachowuj się uprzejmie, ale nie wdawaj się w rozmowę. Ja i tata musimy teraz wrócić do kościoła, bo trzeba pozować do zdjęcia, i niech nas Bóg ma w swojej opiece. Zobaczymy się jutro wieczorem, kiedy panna Horton odwiezie cię do domu.

Mary przyjechała w dziesięć minut po odjeździe weselnych gości. Była zła na siebie, bo zabłądziła w plątaninie uliczek przy Darling Point, myśląc, że kościół Świętego Marka jest zupełnie gdzie indziej, bliżej New South Head Road.

Tim siedział na niskim murku przy kościele. Jesienne słońce przenikało przez liście rosnących nie opodal drzew, tworząc świetlisty rysunek i

obsypując wszystko złocistym pyłem. Chłopiec wydawał się zagubiony i samotny, gdy z wyrazem zawiedzenia na twarzy wpatrywał się w ulicę i zastanawiał, co mogło przydarzyć się Mary. Nowy garnitur leżał na nim wspaniale, ale tak odświętnie ubrany, Tim robił wrażenie kogoś obcego, bardzo przystojnego, ale... nierzeczywistego. Jedyne postawa zdradzała, że to on — posłuszny i cichy, dobrze wychowany chłopczyk. Albo pies — pomyślała Mary. Siedziałyby tu jak pies i raczej umarłyby z głodu, niż ruszył z miejsca, i to tylko dlatego, że ci, których kochał, kazali mu tu siedzieć i czekać

Mary ciągle jeszcze brzmiały w uszach słowa Rona o złamanym sercu Tima i o jego śmierci. Było jasne, że Ron uważał ją za równolatkę, a ona — zdziwiona własną niechęcią do ujawnienia swojego wieku — nie wyprowadziła go z błędu. — Dlaczego nie powiedziała mu prawdy? — pytała sama siebie, przecież było to śmieszne i pozbawione sensu.

Czy rzeczywiście złamane serce może zabić? Przydarzało się to tylko bohaterkom starych, niemodnych dziś powieści. Dla Mary taka śmierć była tworem rozpalonej gorączką wyobraźni pisarzy, podobnie jak cała akcja tych powieści. Ale może naprawdę coś takiego się zdarzyło. Co ona zrobiłaby, gdyby rozłączono ją na zawsze z Timem, gdyby rozgniewani rodzice zabronili mu spotykać się z nią albo gdyby — nie daj Boże — Tim umarł? Jakie szare i puste stałoby się jej życie bez niego! Wszystko utraciłoby sens. On był ośrodkiem i motorem zmian w jej życiu wewnętrznym, co już zwróciło uwagę kilku osób.

Kilka dni przed ślubem Dawnie wprosiła się do Mary na krótką pogawędkę pani Emily Parker.

— Od pewnego czasu nie widuję pani w weekendy — wyjaśniła powód swojej wizyty.

Mary mruknęła coś o nawale pracy.

— Cha! Cha! Cha! — zaśmiała się pani Parker i spojrzała na Mary znacząco. — No tak, praca! — mrugnęła i dobrodusznie trąciła ją łokciem w bok. — Zdaje mi się, że bardzo polubiła pani młodego Tima, panno Horton, prawda? Stare plotkary z całej ulicy ostrzą sobie języki wietrząc jakiś skandal.

— Rzeczywiście, polubiłam Tima — odpowiedziała Mary chłodno, odzyskując powoli równowagę. — To bardzo miły, pełen dobrych chęci i samotny człowiek. Na początku zatrudniałam go w ogrodzie, bo wydawało mi się, że potrzebuje pieniędzy, a potem polubiłam go, chociaż wszyscy uważają, że nie jest pełnym funciakiem. Tak o nim mówią. Ale on jest szczerzy, ciepły i

bezwzględnie uczciwy. To niesłychanie ozywczę spotkać nagle kogoś, kim nie kierują żadne ukryte pobudki, prawda? — Mary patrzyła pani Parker prosto w oczy.

Pani Parker straciła trochę na pewności siebie.

— Uhm, tak właśnie myślałam. Przy pani ugruntowanych nawykach i stylu życia on stanowi świetne towarzystwo, prawda?

— Z całą pewnością! Oboje z Timem doskonale się bawimy. Pracujemy w ogrodzie, słuchamy muzyki, pływamy, urządzamy pikniki i robimy masę innych rzeczy. On jest bardzo prosty, a ja uczę się cenić prostotę. Zdaję sobie sprawę, że nie jestem najłatwiejsza we współżyciu, ale z Timem łatwo mi się porozumieć. Przy nim staję się lepsza.

Mimo pewnej rubaszności Emily Parker miała w gruncie rzeczy dobre serce i sporo życzliwości dla ludzi. Serdecznie poklepała Mary po ramieniu.

— Bardzo się z tego cieszę, moja miła, to wspaniale, że znalazłaś kogoś, z kim dobrze się czujesz. Taka byłaś samotna! Zajmę się tymi starymi plotkarami. Powiem im, że nie jesteś z tych, które kupują sobie przyjaciół. A teraz, laleczko, może poczęstujesz mnie herbatką i opowiesz coś więcej o Timie. Jak on sobie radzi?

Mary osłupiała i na chwilę zastygła w bezruchu. Potem spojrzała na panią Parker zdumiona.

— Czy one tak myślą? — spytała smutno. — Czy one naprawdę tak myślą? Jakie to obrzydliwe, jakie podłe! Nie myślę wcale o sobie, chodzi o Tima! O, Boże, co za ohyda!

Kolejną osobą, która zauważyła w Mary zmianę, był jej szef — Archie Johnson, ale ten nie miał pojęcia o przyczynie tej zmiany. Któregoś dnia jedli lunch w bufecie i Archie zagadnął:

— Wiesz, Mary, to oczywiście nie moja sprawa i wiem, że nie powinienem wtykać nosa w cudze życie, ale wydaje mi się, że ostatnio jakoś rozkwitłaś. Czy się nie mylę?

Mary zmieszała się, bo nie była przygotowana na takie pytanie.

— Słucham, panie Johnson?

— Och, daj spokój, Mary! Nie mów do mnie „panie Johnson”! Mamy przerwę na lunch!

Mary odłożyła sztućce i spojrzała na niego zimno. Pracowali razem tyle lat, że żadne z nich nawet nie pamiętało ile, ale ich stosunki zawsze były ściśle służbowe. Mary wciąż miała trudności z nawiązywaniem kontaktu podczas ich rzadkich, choć koniecznych spotkań towarzyskich.

— Jeżeli uważasz, że się ostatnio zmieniłam, czemu nie powiesz mi tego wprost, bez tych podchodów? Nie obrażę się.

— No więc dobrze, uważam, że się zmieniłaś. Oczywiście nadal jesteś straszną babą, przed którą umierają ze strachu młode maszynistki, ale jesteś jakaś inna. O, Boże, zupełnie inna! Zauważyli to także inni mieszkańcy naszego małego światka. Wyglądasz znacznie lepiej niż dawniej, widać, że korzystasz ze słońca, zamiast tkwić w jaskini jak nietoperz. Słyszałem nawet, jak śmiałaś się któregoś dnia z wygłupów tej wariatki Celesty! Mary uśmiechnęła się lekko.

— Może podsumujemy to wszystko jednym zdaniem, Archie: dołączyłam do rasy ludzkiej. Czy to nie ładnie brzmi? Najsolidniejszy i najprawdziwszy komunał, na jaki można się zdobyć.

— Ale co mogło taką zatwardziałą starą pannę po tylu latach przywrócić na łono społeczeństwa? Masz chłopaka?

— Coś w tym rodzaju. Ale to coś zupełnie innego, niż wszyscy myślą. Czasami, drogi Archie, zdarza się coś, co starej panie sprawia znacznie większą przyjemność niż satysfakcja seksualna.

— Zgadzam się z tobą w pełni! Ten cud zdarza się, kiedy jesteśmy kochani. Wiem, Mary, to takie wspaniałe uczucie, gdy ktoś cię potrzebuje i docenia. Seks to tylko lukier na ciastku.

— Trafieś w sedno, Archie! Nie dziwi mnie, że przez tyle lat tak dobrze nam się razem pracowało. Jesteś znacznie bardziej czuły i wrażliwy niż wielu ludzi interesu!

— Przesadzasz, Mary, ale ty rzeczywiście bardzo się zmieniłaś. I to na lepsze, muszę przyznać. Jeśli tak dalej pójdzie, będę musiał zaprosić cię na kolację.

— Obowiązkowo! Bardzo chciałabym znowu zobaczyć się z Tricią.

— A kto powiedział, że Tricia byłaby zaproszona? — uśmiechnął się. — Tak, powinienem wiedzieć, że nie zmieniłaś się aż tak bardzo. Ale mówiąc poważnie, jestem przekonany, że Tricia też chciałaby przekonać się, że jesteś inna niż dawniej, więc może wpadniesz do nas na kolację któregoś dnia?

— Z prawdziwą przyjemnością. Poproś Tricię, żeby do mnie zadzwoniła, to ustalimy termin.

— No dobrze, dość tych uników! Powiedz wreszcie, co takiego zaszło w twoim życiu, kochanie?

— Wydaje mi się, że powinnam powiedzieć: „dziecko”, ale z zastrzeżeniem, że to bardzo szczególne dziecko.

— Dziecko! — Archie, uradowany, odchylił się z krzesłem do tyłu. — Powinienem się domyślić, że chodzi o dziecko. Taka nieprzejednana, twarda baba jak ty znacznie szybciej złagodnieje pod wpływem dziecka niż mężczyzny.

— To nie jest takie proste — odpowiedziała wolno, zdziwiona, a zarazem zadowolona, że czuje się tak swobodnie. Nigdy dotąd nie pozwoliła sobie na taką otwartość w kontaktach z Archiem. — Nazywa się Tini Melville i ma dwadzieścia pięć lat, ale przy tym wszystkim jest małym dzieckiem. Cierpi na niedorozwój umysłowy.

— A niech to wszyscy święci! — krzyknął Archie patrząc na Mary. Przepadał za opowieściami o niezwykłych, ale nieszkodliwych zdarzeniach. — Jakim cudem się w to wpakowałaś?

— Samo się stało, tak myślę. Trudno bronić się przed kimś, kto zupełnie nie rozumie, co to jest obrona, a jeszcze trudniej zranić uczucia kogoś, kto nie pojmuje, dlaczego tak się dzieje.

— Tak, masz rację.

— No właśnie, zabieram go na weekendy do Gosford i mam nadzieję, że pojedziemy razem na wakacje na Wielką Rafę Koralową. On chyba naprawdę woli moje towarzystwo niż innych, prócz rodziców. A oni są wspaniałymi ludźmi.

— A niby dlaczego miałyby nie chcieć z tobą przebywać, stara zaklinaczko węży?! O, do diabła, wiesz, która godzina? Poproszę Tricię, żeby do ciebie zadzwoniła i umówiła się; wtedy opowiesz nam wszystko. A zmieniając temat i wracając na ziemię: powiedz mi, kapitanie, czy miałas jakieś wiadomości od McNaughtona o koncesji na poszukiwania w Dindanga?

Mary była bardzo rada, że pani Parker i Archie tak naturalnie przyjęli wiadomość o jej przyjaźni z Timem. W ciągu dwudziestu minionych lat nigdy jeszcze nie umówiła się na kolację z Archiem i jego wesołą żoną, a teraz czekała na ten wieczór z niecierpliwością, która dziwiła ją samą.

Tim zobaczył nadjeżdżającego ulicą Bentleya i twarz pojaśniała mu radością. Błyskawicznie zeskoczył z murku.

— Och, Mary, tak się cieszę, że wreszcie jesteś! — głośno wyrażał radość sadowiac się na przednim siedzeniu. — Myślałem, że zapomniałaś.

Mary ujęła dłoń Tima i odruchowo dotknęła nią własnego policzka. Dręczona wyrzutami sumienia, że się spóźniła, zupełnie zapomniała o danej sobie obietnicy, że będzie unikała fizycznego kontaktu z Timem.

— Wiesz, Tim, że nigdy nie zrobiłabym czegoś takiego specjalnie. Zabłądziłam. Kościół Świętego Marka pomylił mi się z innym kościołem i dlatego zabłądziłam. A teraz usiądź wygodnie i ciesz się, bo jedziemy do Gosford.

— O, mój Boże! Myślałem, że zostaniemy w Artarmon, bo jest już późno.

— Dlaczego nie mielibyśmy pojechać? Nie jest aż tak późno. Zdążymy jeszcze popływać, chyba woda nie będzie za zimna. Możemy też upiec na plaży coś do jedzenia, choćby było zimno. — Mary spojrzała na niego. Po smutku i osamotnieniu, które jeszcze przed chwilą malowały się na jego twarzy, nie zostało śladu.

— Jak udał się ślub? — spytała Mary.

— Było bardzo pięknie — odpowiedział poważnie. — Dawnie wyglądała jak księżniczka z bajki, a mama jak dobra wróżka. Ubrana była w jasnoniebieską sukienkę, a Dawnie w białą suknię z falbankami. I miała ogromny bukiet kwiatów, a na głowie długi biały welon, lekki jak chmurka.

— Cudownie. Czy wszyscy byli zadowoleni?

— Tak myślę — powiedział z nutką zwątpienia w głosie — ale mama płakała, i tato też płakał. Powiedział, że to przez wiatr, i wściekł się na mnie, bo powiedziałem, że w kościele nie ma żadnego wiatru. Mama powiedziała, że płacze z radości, ze szczęścia Dawnie. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś płakał ze szczęścia. Ja nie płaczę, kiedy jestem szczęśliwy, płaczę tylko, gdy jestem smutny. Dlaczego inni płaczą ze szczęścia, Mary?

Mary uśmiechnęła się, sama bliska płaczu ze szczęścia.

— Nie wiem, Tim. Czasami tak bywa. Ale kiedy jest się tak szczęśliwym, że płyną łzy, to jest zupełnie inne uczucie niż kiedy się płacze normalnie. Jest bardzo przyjemnie.

— Chciałbym być kiedyś tak szczęśliwy, żeby się popłakać! Dlaczego jeszcze nigdy nie płakałem ze szczęścia, Mary?

— To przychodzi z wiekiem, tak myślę. Kiedyś i tobie to się przydarzy, jak będziesz dość mądry i dorosły.

Zadowolony z tego zapewnienia, Tim siedział oglądając widoki, które mijali — było to zajęcie, które nigdy mu się nie znudziło. Przepelniała go typowa dla małych dzieci niezaspokojona ciekawość, która sprawiała, że mógł, nie nudząc się, wykonywać tę samą czynność niezliczoną ilość razy. W czasie każdej podróży do Gosford zachowywał się, jakby jechał tą trasą po raz pierwszy, równie zachwycony krajobrazami, byłem na platformie

ciężarówki, jak i odkryciem, że niektóre rośliny urosły od ostatniego razu, zakwitły lub zostały zerwane.

Tej nocy, gdy Tim położył się do łóżka, Mary zrobiła coś, czego nie robiła nigdy do tej pory. Weszła do jego pokoju, otuliła kołdrą i pocałowała go w czoło.

— Dobranoc, Tim, kochanie, śpij dobrze — powiedziała.

— Dobranoc, Mary, dobranoc — odpowiedział sennie. Senność ogarniała go, gdy tylko przyłożył głowę do poduszki; zasypiał w minutę.

Zaraz potem Mary zamknęła cicho drzwi jego pokoju. Zza drzwi dobiegł ją głos:

— Mary?

— Tak, Tim. O co chodzi? — znowu otworzyła drzwi i weszła.

— Mary, ty nigdy nie odejdziesz i nie wyjdiesz za mąż, jak Dawnie, prawda?

Mary westchnęła.

— Nie, Tim, obiecuję, że tego nie zrobię. Tak długo, jak będziesz zadowolony z tego, że jestem z tobą, zawsze będę z tobą. A teraz już śpij i nie martw się.

Rozdział czternasty

Okazało się, że Mary nie może jechać z Timem na obiecane wakacje. Constable Steel and Mining kupiło na północnym zachodzie terytorium bogate w minerały i Mary, zamiast z Timem na Wielką Rafę Koralową, wyjechała z szefem na inspekcję terenu. Podróż planowana na tydzień przedłużyła się i trwała ponad miesiąc.

Takie wypadki nie zdarzały się często i sprawiały Mary sporo przyjemności. Archie był wspaniałym kompanem, lubił podróżować w dobrym stylu, nie odmawiając sobie żadnych przyjemności, a Mary chętnie z tego korzystała. Tym razem jednak znaleźli się w miejscu pozbawionym dróg, zabudowań i ludzi. Ostatni etap podróży odbyli helikopterem — nie było innego sposobu, by dostać się na miejsce. Rozbili obóz w deszczu, który spadł niespodziewanie. I Wilgoć, upał, muchy, błoto i atak dyzenterii.

Najbardziej dokuczała Mary tęsknota za Timem. Nie mogłam wysłać mu listu, a radiotelefon był zarezerwowany tylko dla rozmów służbowych i nagłych wypadków. Siedząc w przeciekającym namiocie starała się zeszkrobać błoto z butów i ubrania. Chmara brzęczących owadów skupiła się wokół lampy naftowej. Twarz Mary była spuchnięta od ukąszeń moskitów. Tęskniła za domem i Timem. Siłą woli starała się wykrzesać choćby odrobinę entuzjazmu, żeby nie robić przykrości tryskającemu optymizmem i radością Archiemu, który zachwycał się rezultatami badań próbek złóż.

— Było nas tam dwanaścioro — opowiadał Archie Trici, gdy już bezpiecznie wrócili do Sydney.

— Tylko dwanaścioro? — zdziwiła się Mary, puszczając oko do żony Archiego. — Bywały chwile, kiedy mogłabym przysiąc, że jest nas co najmniej pięćdziesięcioro!

— Posłuchaj, ty stara, obrzydliwa żmijo, nie przerywaj mi i pozwól dokończyć! Ledwie wróciliśmy po miesiącu najgorszych męczarni, a ty już chcesz pozbawić mnie całej zasłużonej chwały! Nie musiałem cię zapraszać od razu, pierwszego wieczoru po powrocie do cywilizowanego świata, ale skoro cię zaprosiłem, bądź łaskawa posiedzieć grzecznie, dopóki nie opowiem wszystkiego żonie.

— Tricia, nalej mu jeszcze whisky, bo trafi go apopleksja. Założę się, że właśnie dlatego zachowuje się tak nieznośnie pierwszego wieczoru po powrocie. Już na dwa tygodnie przed końcem wyprawy wysączył ostatnie krople z przywiezionego zapasu i stał się niemożliwy.

— Och, kochanie, ty też nie byłabyś lepsza — zwrócił się Archie do żony. — Ciągłe przemoknięty do szpiku kości, żywcem zjadany przez wszystkie owady świata, oblepiony błockiem i w dodatku z dala od kobiet, jeśli nie liczyć tej obrzydliwej starej małpy! A gdyby ci przyszło jeść tylko gulasz z puszki i patrzeć, jak topnieją zapasy czegoś mocniejszego? O, Boże! To upiorne miejsce! Oddałbym połowę ze znalezionych złóż za jeden duży stek i butelkę glen granta!

— Mnie nie musisz tego mówić! — śmiała się Mary przerywając mu. Potem zwróciła się do Trici. — Niewiele brakowało, a doprowadziłby mnie do szaleństwa! Sama wiesz, jaki jest, kiedy nie ma w zasięgu ręki dobrego jedzenia, butelki dwunastoletniej whisky i hawańskiego cygara!

— Nie wiem, Mary, jaki jest, kiedy brak mu jego przyjemności, ale przez trzydzieści lat małżeństwa sporo się o nim dowiedziałam i aż skóra mi cierpnie na myśl, ile musiałaś znieść!

— Zapewniam się, Tricio, że nie pozwalałam mu wchodzić sobie na głowę — odpowiedziała Mary popijając wyśmienite sherry. — Po kilku dniach, gdy miałam dość jego marudzenia, zabierałam się i wychodziłam. Zawsze udało mi się upolować kilka ptaków gnieźdzących się w okolicznych bagnach, dzięki czemu w naszym jadłospisie pojawiło się coś innego niż gulasz.

— Co w takim razie stało się z waszym zaopatrzeniem, Archie? — dopytywała się zaciekawiona Tricia. — To do ciebie niepodobne, żebyś nie kazał zabrać kilku drobiazgów „na wszelki wypadek”!

— Wszystko przez naszego przewodnika. Z zarządu w Sydney było nas tylko kilkoro, reszta, w tym przewodnik, to geolodzy, którzy dołączyli do nas w Wyndham. Pan przewodnik! Pierwszy Jim Barton! Myślał, że zrobi nam cholerną frajdę pokazując, jak żyją prawdziwi buszmeni. Zapewnił mnie, że zamówił wszystko, co jest niezbędne podczas takich wypraw — czyli gulasz, gulasz, gulasz i jeszcze raz gulasz!

— Jesteś niesprawiedliwy, Archie — protestowała Mary.

— W końcu to my byliśmy tam obcy, a on — on był u siebie. Gdyby na przykład przyjechał do miasta, czy nie starałbyś się pokazać mu wszystkich uroków życia w metropolii?

— Co za przewrotność! Mary, to przecież ty doprowadziłaś go do rozpaczy! Ach, kochanie — zwrócił się do żony. — Szkoda, że nie widziałaś Mary, jak wracała do obozu z polowania. Wyobraź sobie: w tym swoim angielskim uniformie starej panny, po pas utyłana w błocie, ciągnęła za sobą dwadzieścia ociekających krwią ptaków. Związane za głowy kawałkiem

sznurka, wlokła za sobą po ziemi jak na smyczy! Myślałem, że naszego wspaniałego Jima Bartona na miejscu szlag trafi, taki był wściekły!

— To prawda, strasznie się złościł — zgodziła się Mary.

— Szczerze mówiąc, nie chciał, żeby Mary z nami jechała, zaprzysiężony wróg kobiet. Zakładał, że będzie opóźniała wyprawę; dodatkowy ciężar i zawada. A tymczasem ona ratowała nas w kulinarnych opresjach, właśnie kiedy chciał nam, mięczakom z miasta, udowodnić, jacy jesteśmy beznadziejni! Mary, stara spryciara, pokazała mu, gdzie jest jego miejsce.

— A jakie to były ptaki? — spytała Tricia, z trudem zachowując powagę.

— Och, Boże, nie mam pojęcia — odpowiedziała Mary. — Po prostu ptaki, duże, dziwne. Nieźle utuczone, a tylko to mnie interesowało.

— Przecież ich mięso mogło być trujące! Mary wybuchnęła śmiechem.

— Bzdura! Z tego, co wiem, tylko nieliczne organizmy żywe są trujące. Gdyby zrobić dokładne obliczenia na komputerze, okazałoby się zapewne, że groźba otrucia się jest minimalna.

— Nasz buszmen Barton też zwracał nam na to uwagę — odezwał się Archie, uśmiechając się do wspomnień. — Mary posmarowała ptaszyska tłuszczem z kilku konserw gulaszu i posypała jakimś zielskiem, które zerwała w buszu, bo miało ładny zapach. Barton aż podskoczył, kiedy to usłyszał, i znowu wyjechał z trucizną, ale Mary spojrzała na niego w znany ci, mrozący krew w żyłach sposób i powiedziała, że jej zdaniem natura po to obdarzyła nas węchem, byśmy mogli odróżnić to, co jadalne, od tego, co niejadalne. A w tym konkretnym przypadku jej nos mówił, że zielsko jest poza wszelkim podejrzeniem. Nie muszę dodawać, że miała rację. Zrobiła mu potem długi wykład o clostridium botulinum czy o czymś takim, czego pełno jest w konserwach z gulaszem a co jest dziesięć razy bardziej toksyczne niż jakakolwiek roślina w buszu. Ale się uśmieiałem!

— Czy smakował im owoc twoich zabiegów kulinarnych, Mary? — spytała Tricia.

— Jak ambrozja i nektar razem wzięte — z entuzjazmem wykrzyknął Archie, zanim Mary zdążyła się odezwać. — Niech mnie drzwi ścisną! Co to było za żarcie! Objadaliśmy się, podczas gdy Mary siedziała z gracją, ogryzając skrzydełko, jakby nigdy nic, nawet cień uśmiechu nie zakłócił jej zwykłego spokoju. Założę się, że jesteś teraz w Wyndham żywą legendą. Nasi geolodzy nie mówią pewnie o niczym innym. Zagrałaś panu Bartonowi, buszmenowi, na nosie, nie ma co!

Tricia nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

— Oj, Mary, powinnam być o ciebie zazdrosna, ale dzięki Bogu, nie muszę! Czy jest jeszcze gdzieś taka żona, która nie dość, że nie musi być zazdrosna o mężowską sekretarkę, ale jeszcze może na niej polegać, że przywiezie męża do domu całego i zdrowego, choćby nie wiem gdzie razem wyjechali!

— Znacznie łatwiej rozstać się z nim po długiej podróży — powiedziała Mary siląc się na powagę. — Jednej tylko rzeczy nie zniosłabym na pewno — nowego szefa!

Tricia poderwała się z miejsca i sięgnęła po kieliszek Mary.

— Napij się jeszcze, Mary, proszę! Nawet nie przypuszczałam, że w twoim towarzystwie można się tak znakomicie bawić, nie miałam pojęcia, że masz takie poczucie humoru! — przerwała i szybko zasłoniła ręką usta. — Och, Boże, to fatalnie zabrzmiało, prawda? Nie to chciałam powiedzieć, w każdym razie nie w ten sposób. Miałam na myśli, że bardzo się zmieniłaś, wyszłaś ze swojej skorupy, o to mi chodziło.

— Pogarszasz tylko sprawę, kochanie — przerwał jej rozbawiony Archie. — Biedna Mary!

— Tylko nie „biedna Mary”, Archie Johnsonie! Wiem doskonale, co Tricia chciała powiedzieć, i w pełni się z nią zgadzam.

Rozdział piętnasty

W pierwszą sobotę po powrocie do Sydney, kiedy Tim zapukał do kuchennych drzwi, Mary otwierała mu z lekkim niepokojem, jakie będzie to spotkanie po ich pierwszej rozłące. Energicznie otworzyła drzwi. Tysiące słów cisnęło się jej na usta, ale żadne z nich nie zostało wypowiedziane. Coś ścisnęło ją w gardle nie pozwalając dobyć głosu. Tim stał w drzwiach uśmiechając się do niej. W jego pięknych niebieskich oczach widać było radość ze spotkania i oddanie. Bez słowa wyciągnęła ręce i ujęła jego dłonie, mocno zaciskając na nich palce. Po twarzy popłynęły jej łzy. Tym razem to on otoczył Mary ramieniem i przycisnął jej głowę do piersi.

— Nie płacz, Mary — mówił cicho, niezręcznie gładząc ją po włosach. — Ja cię pocieszę, więc nie musisz płakać. Dobrze już, dobrze.

Po chwili Mary odsunęła się od niego i zaczęła szukać chusteczki do nosa.

— Zaraz mi przejdzie, Tim, nie gniewaj się na mnie — wyszeptała ocierając oczy znalezioną chustką. Uśmiechnęła się i pogłaskała go po policzku — nie mogła się powstrzymać od tego gestu. — Tak bardzo za tobą tęskniłam, że teraz płaczę ze szczęścia na twój widok.

— Ja też strasznie się cieszę, że cię widzę, ale nie popłakałem się. Ja też, Mary, tęskniłem za tobą aż strach. Mama mówi, że od twojego wyjazdu źle się zachowuję!

— Jadłeś już śniadanie? — spytała Mary starając się zapanować nad sobą.

— Jeszcze nie.

— W takim razie wchodź i siadaj, zaraz ci coś przygotuję — powiedziała Mary i spojrzała na niego zachłannie, ciągle nie mogąc uwierzyć, że jest tutaj z nią, że o niej nie zapomniał. — Tim, och, Tim, jak to przyjemnie znowu Cię widzieć!

Tim siedział przy stole nawet na sekundę nie spuszczać wzroku z krzątającej się po kuchni Mary.

— Przez cały czas, gdy ciebie nie było, czułem się tak, jakbym był chory. To było aż śmieszne! Nie miałem ochoty na jedzenie, a od telewizji bolała mnie głowa. Nawet w Seaside nie było tak przyjemnie jak zawsze, piwo już mi tak nie smakowało. Tato mówił, że cholernie go męczę, bo nie mogłem usiedzieć w jednym miejscu.

— Brak ci było również Dawnie, musiałeś czuć się bardzo samotny bez niej i beze mnie.

— Dawnie? — powtórzył Tim wolno, jakby zastanawiając się, co znaczy to imię. — Niiieee! Chyba już o niej prawie zapomniałem. To o tobie nie mogłem zapomnieć. Przez cały czas myślałem tylko o tobie, przez cały czas!

— Dzięki Bogu już wróciłam, mamy to za sobą! — powiedziała zadowolona Mary. — A co będziemy robić w ten weekend? Może pojechalibyśmy do Gosford, choć jest trochę za zimno na pływanie?

Twarz Tima rozjaśniła się radością.

— Och, Mary, to byłoby wspaniałe! Jedźmy od razu!

Mary spojrzała na Tima i uśmiechnęła się bardzo czule. Archie Johnson nie poznałby jej w tej chwili na pewno.

— Przedtem musimy jednak zjeść śniadanie, młody przyjacielu. Schudłeś w czasie mojej nieobecności i trzeba cię teraz odkarmić.

Przeżuwając ostatni kawałek drugiego kotleta Tim wpatrywał się w Mary zafrasowany i zadziwiony.

— O co chodzi? — spytała Mary przyglądając mu się uważnie.

— Nie wiem... tak jakoś dziwnie się czułem, kiedy cię pocieszałem... — z trudem szukał słów, starając się wyrazić to, co czuje.

— To było naprawdę bardzo dziwne — podsumował nieporadnie, niezdolny wyrazić swojej myśli inaczej, świadomy, że nie udało mu się przekazać tego, co naprawdę czuje.

— Może czułeś się tak dorosły jak twój tato, nie sądzisz? Pocieszać kogoś potrafią w zasadzie tylko dorośli.

Frasunek zniknął z jego twarzy. Tim uśmiechnął się szeroko.

— Właśnie tak, Mary! Czułem się jak dorosły!

— Skończyłeś jeść? W takim razie pozbierajmy rzeczy i ruszamy! Teraz dość wcześnie robi się ciemno, a chciałabym, żebyśmy jeszcze trochę popracowali w ogrodzie.

Zima w okolicach Sydney z trudem zasługiwała na to miano. Była zimą może tylko dla najwrażliwszych mieszkańców. Eukaliptusy nie traciły zieleni, cały dzień grzało słońce, rośliny rozwijały się i kwitły — życie nie zamierało tak jak w chłodnym klimacie o tej porze roku. Ogród przy letniskowym domku Mary pełen był kwiatów. Dalie i powoje, margerytki i nasturcje — wszystko to rozsiewało swoje wonie w promieniu kilkudziesięciu metrów. Trawnik wyglądał znacznie lepiej — zimą był bardziej zielony niż w innych porach roku. Niedawno cały dom został pomalowany na biało, a wszystkie okna i drzwi na czarno, dach zaś błyszczał odnowioną srebrzystą blachą.

Wjeżdżając na polanę, Mary nie mogła się oprzeć uczuciu dumy i zadowolenia. Sześć miesięcy temu wszystko tutaj wyglądało nieporównanie gorzej. Spojrzała na Tima.

— Wiesz, Tim, jesteś wspaniałym krytykiem. Widzisz, o ile ładniej jest tu teraz? A wszystko dzięki tobie, że nie podobał ci się brązowy kolor domu i zmusiłeś mnie do pomalowania go i zajęcia się ogrodem! Miałaś absolutną rację — teraz wszystko jest sto razy ładniejsze. Przyjeżdżać tu to prawdziwa przyjemność. Musimy pomyśleć, co jeszcze dałoby się udoskonalić.

Policzki Tima zakwitły rumieńcem.

— Bardzo lubię ci pomagać, Mary, bo przy tobie czuję się, jakbym był pełnym funciakiem. Czy słyszysz, co mówię? Czuję się wtedy taki dorosły jak tato, jak prawdziwy mężczyzna.

Mary wyłączyła silnik i spojrzała na Tima z czułością.

— Ale przecież ty jesteś dorosłym mężczyzną, Tim, i nigdy nie myślałam o tobie inaczej. Dlaczego miałabym akurat teraz zwrócić większą uwagę na to, co mówisz? Wszystkie twoje sugestie czy słowa krytyki zawsze brałam pod uwagę i okazywało się, że za każdym razem były słuszne i bardzo pomocne. Tim, nieważne, co inni mówią o tobie, bo ja zawsze uważałam cię i uważam za pełnego funciaka.

Tim potrząsnął głową i roześmiał się. Spojrzał na Mary oczami błyszczącymi od łez.

— Och, Mary, jestem taki szczęśliwy, że prawie płacę! Widzisz?! Prawie płacę!

Mary żwawo wysiadła z samochodu.

— Ruszaj się, leniuchu! Przestań obnosić się ze swoimi sentymentami! Dość wzruszeń na dzisiaj. Zdejmuj ubranie i przebieraj się w kombinezon. Do lunchu mamy przed sobą kawał roboty!

Rozdział szesnasty

Wkrótce po powrocie z podróży Mary natknęła się w „Sydney Morning Herald” na artykuł zatytułowany „Nauczyciel roku”. Traktował on o osiągnięciach młodego nauczyciela pracującego z dziećmi upośledzonymi umysłowo. Zmobilizowało ją to do przeczytania na ten temat czegoś więcej. Już przedtem przeczytała wszystko, co znajdowało się w miejscowej bibliotece, ale nie szukała już nowych informacji. Dopiero po lekturze tego artykułu zdała sobie sprawę, że chciałaby dowiedzieć się czegoś więcej.

Nie było to łatwe zadanie. Ślęczała nad słownikiem medycznym, lecz chociaż bardzo się starała, takie trudne dla laika terminy jak porencephaly, lipidosis, phenyloketonuria i hepatolenticular degeneration nie stawały się dla niej bardziej zrozumiałe. Niektóre terminy w książkach były tak specjalistyczne, że nawet słownik ich nie zawierał. Przedzierała się przez gąszcz trudnych nazw i określeń, coraz bardziej tracąc nadzieję i coraz mniej rozumiejąc. Wreszcie postanowiła spotkać się z opisanym w artykule młodym nauczycielem — Johnem Martinsonem.

— Kiedyś pracowałem w zwyczajnej szkole podstawowej, a potem wyjechałem do Anglii i tam przypadkiem zetknąłem się ze szkołą dla dzieci opóźnionych w rozwoju — mówił John Martinson prowadząc Mary do szkoły. — Byłem zafascynowany, ale nie miałem żadnego fachowego przygotowania w zakresie technik czy teorii pracy z takimi dziećmi, dlatego musiałem uczyć je tak, jak uczyłem normalne dzieci. Mówię oczywiście o dzieciach z niewielkimi opóźnieniami, bo są i takie, które nie poddają się procesowi nauczania. Byłem zaskoczony, kiedy stwierdziłem, ile informacji potrafią sobie przyswoić i jak reagują na normalne traktowanie. To była bardzo ciężka praca. Musiałem nauczyć się cierpliwości, ba! gigantycznej cierpliwości, ale byłem wytrwały, nie poddawałem się i nie pozwalałem, żeby one rezygnowały z wysiłków. I, oczywiście, zacząłem studiować. Jednym słowem, sam też wróciłem do szkoły. Robiłem badania, jeździłem wszędzie, gdzie uczono takie dzieci, i bacznie przyglądałem się stosowanym metodom. Była to wielka satysfakcja.

Gdy mówił o tym, jego głęboko osadzone, ciemnoniebieskie oczy patrzyły na Mary z uwagą, ale bez szczególnej ciekawości, była po prostu jeszcze jedną osobą znającą „przypadek”, o którym opowie mu we właściwym czasie.

— Zatem uważa pan, że lekko upośledzeni mogą się uczyć? — zapytała Mary.

— Co do tego nie mam żadnych wątpliwości. Wielu nie zorientowanych rodziców traktuje swoje dzieci jak bardziej upośledzone, niż są w rzeczywistości, bo na dłuższą metę łatwiej jest się z tym pogodzić niż tracić mnóstwo czasu na wywołanie u dziecka reakcji, na którą w normalnej sytuacji trzeba kilku chwil.

— Może wielu z tych ludzi uważa, że nie ma odpowiednich kwalifikacji — podsunęła mu Mary, myśląc o rodzicach Tima.

— Być może. Te dzieciaki pragną pochwał, zachęty i uczestnictwa w normalnym życiu rodzinnym, a tymczasem najczęściej nie daje im się możliwości wzniesienia się ponad pewien poziom, i chociaż czasami są bardzo kochane, to zarazem w pewien sposób ignorowane. Miłość nie załatwia wszystkiego, chociaż jest integralną częścią wszelkich więzi, musi jej jednak towarzyszyć cierpliwość, zrozumienie, mądrość i zdolność patrzenia w przyszłość, zwłaszcza gdy ma się do czynienia z kimś tak skomplikowanym wewnątrz jak umysłowo niedorozwinięte dziecko.

— Pan stara się połączyć to wszystko w jedną całość?

— Tak. Oczywiście nie zawsze mi się udaje, ale w porównaniu z innymi tego rodzaju szkołami więcej mam sukcesów niż porażek. Często nie można ocenić zdolności dziecka na podstawie badań neurologicznych czy psychologicznych. Trzeba pamiętać, że takie dziecko jest upośledzone organicznie, niezależnie od mniejszych lub większych zaburzeń psychicznych. Coś w ich mózgach nie pracuje tak, jak powinno. Wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

— Bardzo przepraszam, panno Horton! Nie dopuściłem pani do głosu! To moje brzydkie przyzwyczajenie, zagaduję gości na śmierć, nie pozwalając im wyjaśnić celu wizyty.

Mary chrząknęła.

— Prawdę mówiąc, panie Martinson, sprowadza mnie do pana ciekawość, problem dzieci opóźnionych w rozwoju nie dotyczy mnie osobiście. Jestem zaprzyjaźniona z dwudziestopięcioletnim mężczyzną cierpiącym na łagodne opóźnienie w rozwoju i chciałabym dowiedzieć się o jego naturze czegoś więcej. Próbowałam czytać na ten temat, ale nie zawsze radziłam sobie ze specjalistycznym słownictwem.

— Rozumiem. Jest na ten temat mnóstwo literatury fachowej, ale bardzo trudno znaleźć dobrą książkę popularną.

— Interesuję się nim od około dziewięciu miesięcy i zauważyłam, że wykazuje oznaki rozwoju. Zabrało to sporo czasu, ale nauczyłam go trochę

czytać i dodawać proste liczby. Jego rodzice zauważyli te zmiany i są bardzo zadowoleni. Niemniej w dalszym ciągu nie wiem, jakich postępów mogę się spodziewać, jak mocno mogę go „przyciskać”?

Martinson poklepał ją po ramieniu i ująwszy za łokieć dał do zrozumienia, że powinni ruszyć.

— Pozwolę sobie wziąć panią na wycieczkę po naszych klasach i chciałbym, żeby pani bardzo uważnie przyjrzała się dzieciom. Niech pani spróbuje odnaleźć dziecko, które będzie najbardziej przypominać pani przyjaciela postawą i zachowaniem. Ażeby nasi goście nie przeszkadzali w zajęciach, w klasach zamontowane są jednostronnie przejrzyste szyby, przez które będziemy wszystko oglądać. Proszę za mną. Ciekaw jestem pani wrażeń.

Mary nigdy przedtem nie widziała dzieci opóźnionych w rozwoju. Spotkała ich w życiu zaledwie kilkoro i jak większość ludzi nie przyglądała im się, aby nie być uznaną za natrętną. Zaskoczyło ją ogromne zróżnicowanie wyglądu dzieci, nie mówiąc o ich możliwościach umysłowych. Niektóre wyglądały zupełnie normalnie, inne miały tak zniekształcone rysy, że z trudem panowała nad sobą, by nie odwracać od nich oczu.

— Uczyłem kiedyś w klasie geniuszy — mówił John Martinson rozmarzonym głosem. — Ich iloraz inteligencji nie spadał poniżej stu pięćdziesięciu punktów w starej skali, ale czy uwierzy pani, że miałem znacznie większą satysfakcję, kiedy po miesiącach pracy udało mi się nauczyć jedno z tych dzieci zawiązywać sznurowadła. Te dzieciaki nigdy się nie zniechęcają, nauka nigdy ich nie nudzi, może dlatego, że kosztuje je tyle wysiłku. Im trudniej coś osiągnąć, tym większa satysfakcja i przyjemność — odnosi się to także do dzieci opóźnionych w rozwoju.

Po zakończeniu obchodu John Martinson zaprosił Mary do swojego niewielkiego biura i poczęstował kawą.

— Czy zauważyła pani kogoś, kto by przypominał Tima? — zapytał.

— Nawet kilkoro dzieci. — Mary opisała je szczegółowo.

— Czasami chce mi się płakać nad Timem, tak bardzo mi go żal. On jest świadomy swoich braków! To okropne słuchać, jak ten biedak przeprasza, że nie jest pełnym funciakiem. „Wiem, że nie jestem pełnym funciakiem, Mary” — mówi, a mnie serce się kraje, kiedy tego słucham.

— Wygląda na to, że wiele go można nauczyć. Czy pracuje?

— Tak, jako robotnik budowlany. Wydaje się, że jego koledzy z pracy są dla niego dobrzy na swój sposób, ale często są też bezmyślnie okrutni. Bawią

się jego kosztem, zwłaszcza gdy uda im się nabrać go na coś, kiedyś na przykład dali mu do zjedzenia kanapkę z ekskrementami. Tim płakał nie dlatego, że stał się ofiarą tak paskudnego dowcipu, ale dlatego, że nie mógł zrozumieć, na czym cały dowcip polegał. Chciał śmiać się z innymi! — Mary z trudem powstrzymała łzy.

John Martinson z sympatią i zrozumieniem pokiwał głową.

— To typowe zachowanie — powiedział. — A jak jego rodzice? Jak oni go traktują?

— Bardzo dobrze, starają się, jak mogą — odpowiedziała Mary i opisała życie rodzinne Tima. Zaskoczyła ją łatwość i swoboda, z jaką o tym mówiła. — Martwię się o niego — dodała smutno na zakończenie — zwłaszcza o to, co się z nim stanie, kiedy ich zabraknie. Jego ojciec twierdzi, że chłopak umrze z powodu samotności, że zabije go, jak to nazywa, złamane serce. Początkowo nie wierzyłam w to, ale z biegiem czasu nabieram przekonania, że to bardzo prawdopodobne.

— Myślę, że to prawdopodobne. Takie wypadki się zdarzają, nawet dość często. Tacy ludzie jak Tim bardzo potrzebują domu, w którym obdarza się ich uczuciem, bardziej niż normalne osoby. Oni bez domu nie potrafią przystosować się do życia w świecie, w którym wszystko oprócz tego jednego miejsca jest obce. Nasz świat jest dla nich przerażający. — Przerwał na chwilę i spojrzał na Mary poważnie. — Z tego, co powiedziała pani o dzieciach, do których jest podobny, domyślam się, że wygląda zupełnie normalnie.

— Normalnie?! — Mary westchnęła. — Gdyby tylko to! Nie, Tim nie wygląda normalnie. Bez wątplenia jest najprzystojniejszym młodym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek widziałam. Przypomina greckiego boga, jest nawet doskonalszy, bo potrafi się uśmiechać.

— Och! — John Martinson przeniósł wzrok na własne ręce.

— Dobrze, panno Horton, podam pani kilka tytułów książek, nie powinna pani mieć problemów z ich zrozumieniem. Przekona się pani, jak bardzo okażą się pomocne.

John odprowadził Mary do głównej bramy.

— Mam nadzieję, że odwiedzi mnie pani jeszcze, razem z Timem — mówił kłaniając się z kurtuazją. — Bardzo chciałbym go poznać. Dobrze byłoby, gdyby pani zadzwoniła, by uzgodnić termin wizyty, przyjąłbym was wtedy w domu. Moim zdaniem dla Tima będzie to znacznie przyjemniejsze.

Mary wyciągnęła rękę na pożegnanie.

— Bardzo mi się podoba ten pomysł. Do widzenia, panie Martinson, i bardzo dziękuję za życzliwość.

Odchodząc Mary zamyśliła się i posmutniała. Uświadomiła sobie, że najtrudniejsze są te problemy, w których z samej ich natury nie ma miejsca na marzenia.

RS

Rozdział siedemnasty

Wiosna w Sydney nigdy nie była tak wspaniała, nie wybuchała takim bogactwem przyrody jak na północy Australii. Sprowadzane z północy drzewa podczas krótkiej i łagodnej zimy traciły liście, a teraz okrywały się jasnozielonymi płaszczami. W ogrodach przez cały rok kwitły kwiaty. Najwyraźniej czuło się wiosnę w powietrzu, która nabierając łagodnej rzeźkości wypełniała serca nową radością i nadzieją.

Gdyby Mary w swoim domku letniskowym przyjmowała gości, to miejsce z pewnością zostałoby uznane za najpiękniejsze w okolicy. Przez całą zimę oboje z Timem ciężko pracowali w ogrodzie. Mary posunęła się nawet do tego, że za pośrednictwem wyspecjalizowanej firmy kupiła i zasadziła duże drzewa. Kiedy przyszedł październik, ogród tonął w kwiatach. Ogromne kępy kolorowych roślin otulały werandę i otaczały każde drzewo. Maki, goździki, astry, bratki, floksy, groszek pachnący, tulipany, wistaria, dalie, hiacynty, azalie, i gladiole — kwiaty różnych rodzajów i kolorów, rozmiarów i kształtów prezentowały swoje piękno, a wiatr przenosił ich zapach aż do lasu i na drugą stronę rzeki.

Cztery drzewka wiśni pochylały ciężkie od różowych kwiatów gałęzie nad wyrastającymi z zielonej trawy hiacyntami i tulipanami, a sześć rozkwitających migdałów aż trzeszczało pod brzemieniem białych pąków. Trawa wokół nich usiana była konwaliami i narcyzami.

Podczas pierwszego weekendu, kiedy zakwitły wszystkie kwiaty, Tim szalał z radości. Biegał od wiśni do migdałów zachwalając pomysł Mary, by posadzić różowe kwiaty dookoła wiśni, a białe i żółte dookoła migdałów. Wyglądały jak samosiejki, co wprawiło Tima w zachwyt. Mary patrzyła na niego uśmiechając się, chociaż obiecała sobie, że zachowa powagę bez względu na jego nastroje. Ale jego radość była tak żywiołowa, tak prawdziwa i świeża! Wyglądał jak Parys błędzący po okrytej wiosennym płaszczem górze Idy przed powrotem do ponurej Troi.

Ogród stał się rzeczywiście bardzo piękny — Mary przyznawała to, wodząc wzrokiem za biegającym Timem. Jakże inaczej go widział, jak inny był ogród w jego oczach, skoro zachwycił aż tak bardzo — pomyślała. Owady, a także zwierzęta mają inaczej zbudowane oczy i stąd ich odmienne postrzeganie świata, kolorów i kształtów. Dla nich świat wygląda inaczej niż dla człowieka. Jaki kolor ma ultrafiolet? Jak wygląda świat w podczerwieni? — zastanawiała się Mary. Może również dla Tima świat jest inny niż dla niej?

Może na skutek zaburzeń w mózgu postrzegane przez niego spektrum jest większe? Może słyszy częstotliwości dla niej niedostępne? Czy słyszy muzykę sfer niebieskich, czy potrafi zobaczyć duszę i kolor księżyca? Gdyby można było to wiedzieć! Ale jego świat pozostawał dla niej zamknięty, nie mogła się do niego dostać, a Tim nie potrafił o nim opowiedzieć.

— Tim? — odezwała się Mary, kiedy siedzieli już w salonie pograżonym w mroku. Przez otwarte szklane drzwi swobodnie wpływało przesycone zapachem kwiatów powietrze. — Tim, co czujesz teraz, w tej chwili? Jak pachną kwiaty? Jak wygląda moja twarz?

Tim niechętnie oderwał się od muzyki i spojrzał na Mary swoimi rozmarzonymi, jakby zasnutymi mgłą oczami, uśmiechając się niedostrzegalnie. Mary rozczuliła się pod tym jego spojrzeniem, przepełniona jakimś nieokreślonym uczuciem i wszechogarniającym smutkiem, który sprawił, że z trudem hamowała łzy.

Tim zmarszczył czoło, zastanawiając się nad pytaniem, a potem odpowiedział wolno, z wahaniem:

— Czuję? Czuję? A niech to! Nie wiem! Chyba jestem szczęśliwy. Jest mi dobrze. Tak, jest mi bardzo dobrze!

— A jak pachną kwiaty? Uśmiechnął się, myśląc, że Mary żartuje.

— Pachną jak kwiaty, to jasne!

— A moja twarz?

— Twoja twarz jest piękna, jak twarz mamy czy Dawnie, wygląda jak twarz świętej Teresy na moim obrazku.

Mary westchnęła.

— To ładnie powiedziane, Tim. Nigdy nie pomyślałam, że mam twarz podobną do świętej Teresy.

— Ale tak jest — zapewniał ją Tim. — Ten obrazek wisi nad moim łóżkiem w domu, mama powiesiła go tam, bo wiedziała, że bardzo mi się podoba. Lubię ją. Patrzy na mnie codziennie rano i wieczorem, zupełnie jakby myślała, że jestem pełnym funciakiem. Ty patrzysz na mnie tak samo. — Wstrząsnął nim dreszcz jakiejś bolesnej radości. — Lubię cię, Mary, lubię cię bardziej niż Dawnie, lubię cię tak jak tatę i mamę. — Pięknie ukształtowane ręce poruszały się przy każdym słowie, a ich ruchy mówiły więcej niż ubogi, ograniczony język Tima. — Ale ciebie lubię inaczej, Mary, inaczej niż tatę i mamę. Czasami ich lubię bardziej niż ciebie, a czasem ciebie bardziej niż ich. Mary wstała raptownie i podeszła do drzwi.

— Mam ochotę na krótki spacer, ale chciałabym, żebyś ty został tutaj i grzecznie słuchał muzyki. Niedługo wrócę.

Kiwnął głową na znak zgody i odwrócił się do gramofonu. Wpatrywał się w urządzenie jak urzeczony, jak gdyby to pomagało mu w słuchaniu muzyki.

Zapach ogrodu był dusząco silny. Mary, jak cień minąwszy żółte narcyzy, skierowała się ku plaży. Na dalekim końcu piaskowej łachy znajdowała się skała, na tyle duża, że mogła służyć za oparcie. Mary uklękła na piasku, położyła ręce na twardej powierzchni kamienia i ukryła w nich twarz. Ciałem wstrząsnął spazm żalu, tak głęboki i wszechogarniający, że ocalała cząstka jej świadomości napełniła ją przerażeniem. Żal nie dał się już dłużej tłumić, musiała mu się poddać. Zaniosła się głośnym płaczem.

Mary i Tim byli jak ćma i światło. Ona była ćmą, wyposażoną w świadomość i dostojeństwo życia, on — światłem, wypełniającym jej świat jasnym, migotliwym płomieniem. On nie miał pojęcia, jak desperacko tłucze w oddzielające go od niej ściany. Nigdy nie zrozumie głębi jej pragnienia, by spłonąć w ogniu fascynacji jego osobą. Walcząc z beznadziejnością swego pragnienia, świadoma, że on nie jest w stanie uciszyć szalejącej w niej burzy, zagryzając zęby w gniewie i bólu, szlochała niepokieszona.

Minęło zapewne kilka godzin, kiedy Mary poczuła na ramieniu dłoń Tima.

— Mary, co ci jest! — w jego głosie wibrował strach. — Może jesteś chora? Och, Mary, proszę, powiedz, że wszystko jest w porządku, powiedz!

Mary z trudem powstrzymała drżenie rąk.

— Wszystko w porządku, Tim — odpowiedziała słabym głosem, opuszczając głowę, aby w ciemności nie mógł zobaczyć jej twarzy. — Trochę źle się poczułam, musiałam zaczerpnąć świeżego powietrza. Nie chciałam cię niepokoić.

— Czy jeszcze źle się czujesz? — pytał Tim przyklękając obok niej. Delikatnie głaskał jej ramiona starając się spojrzeć jej w oczy.

— Było ci niedobrze?

Mary potrząsnęła głową odsuwając się od niego.

— Nie, nie, już dobrze się czuję, naprawdę. Wszystko przeszło.

— Oparła się jedną ręką o skałę próbując wstać, ale zdrętwiałe i osłabione nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

— Och, Tim, jestem taka stara i zmęczona — wyszeptała.

— Jestem stara i zmęczona.

Tim wstał i patrzył na nią zaniepokojony, kręcąc się nerwowo.

— Kiedyś mama była chora i pamiętam, że tato kazał mi zanieść ją do łóżka. Zaniose cię do łóżka, Mary.

Pochylił się nad nią i uniósł bez najmniejszego wysiłku. Przez chwilę układał ją sobie wygodnie w ramionach, jedną ręką trzymając pod kolanami, drugą obejmując plecy. Zbyt zmęczona i wyczerpana, by protestować, Mary pozwoliła się nieść przez ogród, a gdy weszli na werandę, przytuliła się mocniej do jego piersi, nie chciała, żeby widział jej twarz w świetle. Tim zatrzymał się na chwilę, mrugając oślepiionymi blaskiem oczami, i czule przytulił policzek do jej głowy.

— Jesteś taka mała, Mary — mówił pocierając policzkiem o jej włosy. — Taka miła i ciepła jak kociak. — Westchnął i przeszedł przez salon.

Nie mógł znaleźć kontaktu, by zapalić światło w jej sypialni, a gdy w końcu mu się to udało, Mary, delikatnie dotykając jego szyi, powstrzymała go.

— Nie przejmuj się światłem, Tim — powiedziała. — Jest dość widno, żebyś mógł położyć mnie do łóżka. Chcę poleżeć przez chwilę w ciemności, od razu lepiej się czuję.

Ostrożnie położył ją na łóżko, ale nie wyprostował się od razu, stał przez chwilę pochylony, a ona wyczuwała, że nie wie, co robić dalej.

— Tim, wiesz, że nigdy nie okłamałabym cię, prawda?

— Tak, wiem — skinął głową.

— W takim razie powinieneś mi wierzyć, kiedy mówię, że nie musisz martwić się o mnie, że już zupełnie dobrze się czuję. Czy nigdy nie było ci niedobrze, kiedy zjadłeś coś, co ci nie smakowało?

— Tak, raz, zjadłem kiedyś owoce kandyzowane — odpowiedział poważnie.

— W takim razie powinieneś wiedzieć, jak ja się teraz czuję.

Wiesz, prawda? Więc przestań martwić się o mnie i idź do łóżka, połóż się i śpij spokojnie. Czuję się dużo lepiej i chce mi się spać, ale nie usnę, jeśli będę widziała, że ty czymś się martwisz albo czegoś boisz. Obiecuj mi, że pójdziesz prosto do łóżka i zaśniesz spokojnie.

— Obiecuję, Mary — odpowiedział z wyczuwalną ulgą.

— Dobranoc, Tim, i bardzo ci dziękuję za pomoc, to bardzo przyjemne, kiedy ktoś się nami opiekuje, a ty bardzo dobrze się mną opiekujesz. Okazuje się, że jeśli jestem z tobą, zupełnie nic mi nie grozi, o nic nie muszę się martwić, prawda?

— Zawsze będę się tobą opiekował, Mary — Tim nachylił się i pocałował ją w czoło, tak samo jak ona kilkakrotnie całowała go na dobranoc. — Dobrej nocy, Mary.

RS

Rozdział osiemnasty

Wracając do domu po czwartkowej partii tenisa, Esme Melville z trudem otworzyła kuchenne drzwi i ostatkiem sił dowlokła się do fotela w salonie. Nogi ugiwały się pod nią. Trzymanie formy przez całą drogę z kortu do domu kosztowało ją wiele wysiłku.

Poczuła mdłości. Po kilku minutach musiała wstać z fotela i pójść do łazienki. Klęczała z głową pochyloną nad miską sedesową, ale choć było jej bardzo niedobrze, nie mogła zwymiotować, a ból umiejscowiony pod lewą łopatką nie pozwalał na najmniejszy ruch. Łapiąc ciężko powietrze, klęczała w łazience jeszcze kilka minut, potem wolno, zbierając wszystkie siły, podniosła się, przytrzymując się szafki i klamki w kabinie prysznicowej. Przeraził ją widok własnej twarzy w lustrze — szarej, pokrytej kroplami potu. Oderwała wzrok od lustra. Powłócząc nogami dotarła do salonu i opadła na fotel. Oddychała z trudem. Ręce bezwładnie zwisały z poręczy fotela.

Po chwili chwycił ją straszliwy ból, szarpiąc ciało niczym rozwścieczona bestia. Es zgięła się wpół, skrzyżowała ręce na piersi, wpiła paznokcie w zaciśnięte dłonie. Przy każdym ataku wydawała z siebie ciche, zawodzące jęki. Nie mogła myśleć o niczym, tylko o bólu. Minęła wieczność, zanim dolegliwości nieco złagodniały.

Wyczerpana, wyciągnęła się w fotelu. Jej ciało drżało. Miała wrażenie, że jakiś ciężar uciska jej pierś, wypychając powietrze z płuc i nie pozwalając złapać tchu. Była mokra od potu, biały dres kleił się do ciała, po twarzy płynęły łzy, a fotel nasiąknął moczem — w chwili ataku Es nie kontrolowała odruchów. Głośno łapiąc powietrze zsiniałymi ustami, prosiła Boga, żeby Ron wrócił wcześniej. Telefon w hallu był odległy o lata świetlne, całkowicie niedostępny.

Dochodziła siódma wieczorem, kiedy Ron z Timem otworzyli drzwi domu przy Surf Street. Zaskoczyła ich dziwna cisza i spokój. Stół w jadalni był pusty, w powietrzu nie unosiły się smakowite zapachy kolacji.

— Hej, mamusiu, gdzie jesteś? — zawołał wesoło Ron od progu. — Es, kochanie, gdzie jesteś? — Pokiwał głową i powiedział do Tima: — Mama postanowiła zostać trochę dłużej w klubie.

Kiedy Ron zapalał światła w kuchni i jadalni, Tim poszedł do salonu. W chwilę potem rozległ się przeraźliwy krzyk. Ron wypuścił z ręki czajnik i z bijącym sercem pobiegł do pokoju. Tim stał ze splecionymi dłońmi, zanosił się od płaczu i wpatrywał się w Esme leżącą na fotelu.

— O, Boże! — wyszeptał Ron.

Kiedy podszedł do fotela i pochylił się nad żoną, do oczu napłynęły mu łzy. Drżącą ręką dotknął jej ciała. Było ciepłe. Dopiero teraz zauważył, że pierś Esme powoli opada i unosi się. Zerwał się na równe nogi.

— Tim, nie płacz — powiedział drżącym głosem. — Zatelefonuję do doktora Perkinsa i Dawnie. I zaraz wrócę. Ty zostań, a jak tylko zauważysz, że mama się poruszyła, zawołaj mnie. Dobrze, synku?

Doktor Perkins jadł właśnie kolację. Obiecał Ronowi, że wezwie karetkę i spotka się z nim w izbie przyjęć Szpitala im. Księcia Walii.

Ocierając łzy wierzchem dłoni, Ron nakręcił numer do Dawnie. Telefon odebrał Mick. Jego głos zdradzał zniecierpliwienie. Była akurat pora kolacji, a Mick bardzo nie lubił, żeby mu wtedy przeszkadzano.

— Dobry wieczór, Mick — powiedział Ron, starannie wymawiając słowa. — Nie prosz Dawnie, choć sprawa dotyczy jej matki. Chyba miała atak serca. Wysyłamy ją teraz do Szpitala im. Księcia Walii, nie ma więc potrzeby, żebyście przyjeżdżali tutaj. Spotkajmy się w szpitalu.

— Tak mi przykro, Ron — wymamrotał Mick. — Już jedziemy. Bądź dobrej myśli.

Kiedy Ron wrócił do salonu, Tim wciąż stał wpatrzony w matkę i szlochał. Otoczył go ramieniem i przytulił.

— Nie płacz, synku — szeptał. — Mama wyzdrowieje, zabierzemy ją do szpitala, karetka już jest w drodze. Nawet się nie obejrzysz, jak będzie zdrowa. Bądź dzielny i nie maż się, zrób to dla mamy. Gdyby się obudziła i zobaczyła, że płaczesz jak mały dzidziuś, nie byłaby z ciebie zadowolona.

Pociągając nosem i spazmatycznie łapiąc powietrze, Tim starał się powstrzymać płacz. Ron podszedł do fotela, na którym leżała Esme, ukląkł, wziął zaciśnięte dłonie żony, siłą je rozgiął i położył na kolanach.

— Es! — powiedział. — Es, kochanie, słyszysz mnie? To ja, Ron, to ja, Ron!

Twarz Esme była zszarzała i skurczona, ale gdy Ron klęknął przy niej, w otwartych oczach dostrzegł jakieś ożywienie, Esme słabo odwzajemniła uścisk dłoni.

— Ron... Boże, tak się cieszę, że wróciliście do domu... Gdzie jest Tim?

— Jest tutaj, kochanie. Nie martw się o niego, w ogóle o nic się nie martw. Karetka już jedzie, zabierzemy cię do szpitala. Jak się czujesz?

— Jakby mnie ktoś przekręcił przez maszynkę. O, Boże, Ron... Boli... Strasznie boli... Chyba zrobiłam pod siebie... Fotel jest cały mokry...

— Nie przejmuj się tym cholernym fotelem, Es, wyschnie. To nie ma żadnego znaczenia. — Ron starał się uśmiechnąć, ale zdołał jedynie wywołać na twarzy niewyraźny grymas, stracił panowanie nad sobą i rozplakał się. — Och, Es, nie pozwól, żeby coś ci się stało! Kochanie. O, Boże, co ja bym bez ciebie zrobił? Poczekaj, poczekaj, zaraz zabierzemy cię do szpitala!

— Poczekam... Ron... poczekam, nie można zostawić... Tima samego... nie... można... Tima... samego...

Po upływie pięciu minut przyjechała karetka. Ron wprowadził pielęgniarzy przez kuchenne drzwi — przed frontowym wejściem było dwadzieścia schodków, które mogły utrudnić wyniesienie noszy. Obaj pielęgniarze byli rośli, spokojni i pogodni — dobrze wyszkoleni fachowcy w udzielaniu pierwszej pomocy. Świadomy ich kwalifikacji, podobnie jak wszystkich wykształconych sydneyczyków, Ron nie miał nic przeciwko temu, aby doktor Perkinson czekał w szpitalu. Sprawnie zbadali Es, a potem położyli ją na noszach. Ron z Timem szli w ślad za niebieskimi uniformami aż do kuchennych drzwi. Czuli się zagubieni i niepotrzebni.

Ron jechał z tyłu karetki, Tim usiadł obok kierowcy. Obaj sanitariusze zachowywali się tak, jakby wiedzieli o kalectwie chłopca. Kierowca karetki wesoło do niego zagadał, co odniosło lepszy skutek niż wszystkie słowa pocieszenia wypowiedziane przez Rona.

Syreny nie włączono. Siedzący z tyłu sanitariusz nałożył na twarz Esme plastikową maskę, podłączając ją do butli z tlenem, a potem usiadł obok i badał chorej puls.

— Dlaczego nie włączacie syreny? — spytał Ron. Butla z tlenem i maska na twarzy Es napawały go przerażeniem.

— Proszę się nie martwić — powiedział spokojnie sanitariusz poklepując Rona po ramieniu. — Syrenę włączamy tylko wtedy, gdy jedziemy do wypadku, bardzo rzadko, gdy wieziemy pacjenta. To źle wpływa na chorych i robi więcej szkody niż pożytku. Stan pańskiej żony nie jest taki zły, a o tej porze nie będziemy jechać dłużej niż z syreną. To przecież tylko kilka kilometrów.

Karetka jechała szybko, sprawnie wyprzedzając z rzadka pojawiające się na jej drodze samochody. Po pięciu minutach od wyjazdu z Surf Street dotarła do jasno oświetlonej izby przyjęć Szpitala im. Księcia Walii. Kiedy ambulans łagodnie zahamował, Es otworzyła oczy. Kaszląc zrzuciła maskę tlenową. Sanitariusz zaniechał nakładania jej z powrotem, widocznie uznając, że nie

jest to konieczne, skoro chora się nie dusi. Może chciała coś powiedzieć i to było ważniejsze. Nie należało ograniczać pacjenta i narażać na go stres.

— Ron...

— Jestem tutaj, kochanie. Jesteś już w szpitalu, zaraz wszystko będzie dobrze.

— Nie wiem... Ron...

— Tak, kochanie? — Po jego twarzy płynęły łzy.

— Chodzi o Tima... Zawsze się... martwiliśmy... Co się z nim... stanie... kiedy mnie zabraknie... Ron...

— Jestem przy tobie, kochanie.

— Opiekuj się... Timem... Bądź... dla niego... dobry... Biedny Tim... Biedny... Tim...

To były jej ostatnie słowa. Ron i Tim snuli się po izbie przyjęć bez celu. Nosze z Es zniknęły za wahadłowymi drzwiami. Obaj odprowadzali je wzrokiem, aż grzecznie, lecz stanowczo, poproszono ich o przejście do poczekalni. Wkrótce ktoś przyniósł im herbatę i ciasteczka, z uśmiechem odmawiając udzielenia jakichkolwiek informacji.

W pół godziny potem przyjechała Dawnie z mężem. Była w zaawansowanej ciąży. Mick wyraźnie niepokoił się o nią. Podeszła do ojca i usiadła na ławce między nim a Timem. Płakała.

— Nie płacz, kochanie, nie płacz — pocieszał ją Ron. — Z naszą staruszką wszystko będzie dobrze, przywieźliśmy ją w niezłym stanie. Teraz gdzieś ją zabrali i jak tylko będzie coś wiadomo, dadzą nam znać. Usiądź i przestań płakać. Myśl o dziecku, kochanie, nie wolno ci się denerwować.

— Co się właściwie stało? — spytał Mick zapalając papierosa i starając się nie patrzeć na Tima.

— Nie wiem. Kiedy wróciliśmy z Timem do domu, znaleźliśmy mamę nieprzytomną na fotelu w salonie. Nie wiem, jak długo leżała. Chryste, dlaczego nie przyszedłem do domu od razu po pracy, po jakie licha poszedłem do Seaside? Właśnie dziś mogłem wrócić wcześniej!

Dawnie wytarła nos.

— Tato, nie rób sobie wyrzutów. Przecież zawsze wracasz do domu o tej samej porze. Skąd mogłeś wiedzieć, że akurat dzisiaj będziesz mamie potrzebny? Nie miała nic przeciwko temu, żebyś chodził do baru po pracy! Lubiała widzieć cię w dobrym humorze, a poza tym miała wtedy trochę czasu dla siebie. Wiele razy słyszałam, jak mówiła, że skoro nie wrócisz do domu

przed siódmą, będzie mogła spokojnie do szóstej pograć w tenisa i zdąży przygotować kolację przed twoim i Tima powrotem.

— Powinienem był zauważyć, że nie czuła się ostatnio najlepiej.

— Tato, nie obwiniaj się, bo nie masz powodu! Co się stało, to się nie odstanie. Mama nie chce żyć z tobą inaczej, niż żyje, i dobrze o tym wiesz. Szkoda czasu na wyrzuty, to i tak niczego nie zmieni. Zamiast tego myśl o niej i o Timie.

— O, Boże, przecież o nich myślę! — Jego głos pełen był desperacji.

Oboje, Ron i Dawnie, spojrzeli na Tima siedzącego cicho ze złożonymi dłońmi. Ramiona miał zgarbione — jak zawsze, gdy się czymś martwił. Przestał już płakać. Wzrok miał utkwiony w przestrzeń. Dawnie przysunęła się do brata.

— Tim! — powiedziała cicho, głaszcząc go po ramieniu. Ocknął się z odrętwienia i dopiero wtedy uświadomił sobie

obecność siostry. Spojrzał na nią ze smutkiem.

— Dawnie! — powiedział, jakby zdziwiony jej obecnością.

— Jestem tutaj, Tim. Nie martw się o mamę, wszystko będzie dobrze, obiecuję.

Pokiwał głową.

— Mary mówi, że nie powinno się dawać obietnic, których nie można spełnić.

Twarz Dawnie zastygła w nieprzyjemnym grymasie.

Była już bardzo późna noc, kiedy doktor Perkins zjawił się w poczekalni. Na jego twarzy malowało się zmęczenie. Wszyscy wstali jak na komendę, czekając na wyrok.

— Ron, czy możemy porozmawiać na zewnątrz? — spytał cicho. Korytarz nie był pusty. Umieszczone pod sufitem jarzeniówki rzucały jasne światło, które odbijało się w kafelkach podłogi. Doktor Perkins objął Rona ramieniem.

— Ona odeszła na zawsze, przyjacielu.

Ron poczuł na piersi ogromny ciężar. Spojrzał na starego doktora błagalnym wzrokiem.

— Nie mówisz tego poważnie?!

— Nic nie mogliśmy zrobić. To był bardzo rozległy zawał. W kilka minut po przyjeździe do szpitala miała drugi atak. Jej serce stanęło. Chcieliśmy zmusić je do bicia, ale na próżno, na próżno. Musiała ostatnio czymś się przejmować, a to nagłe ochłodzenie, no i oczywiście gra w tenisa na pewno nie pomogły.

— Nigdy mi nie mówiła, że źle się czuje, nic nie wiedziałem. Ale taka właśnie jest Es, nigdy nie narzeka. — Ron nieco doszedł do siebie. — Och, doktorze, nie wiem, co robić! W poczekalni siedzą Dawnie i Tim i myślą, że mama będzie zdrowa.

— Chcesz, żebym ja im o tym powiedział, Ron? Ron potrząsnął głową.

— Nie, sam to zrobię, ale potrzebuję trochę czasu. Czy mógłbym ją zobaczyć?

— Tak, ale wolałbym, żeby Tim i Dawnie nie oglądali zwłok.

— W takim razie zaprowadź mnie do niej, zanim im powiem. Ciało Es przewieziono z oddziału intensywnej terapii do małego pomieszczenia.

Wszystkie rurki i kable do niedawna oplatające ręce i piersi Es zostały usunięte. Ciało było przykryte prześcieradłem. Ten widok zrobił na Ronie straszne wrażenie. Pod prześcieradłem leżała Es, która już nigdy się nie poruszy. Dla niej wszystko się skończyło — słońce i śmiech, łzy i deszcz. Wszystko. Zupełnie wszystko. Jej rola w życiu dobiegła końca właśnie tutaj, w szpitalu, w słabo oświetlonym pokoiku, pod przykryciem z białego jak śnieg płótna. Bez ostrzeżenia. Bez fanfar. Bez możliwości przygotowania się, bez pożegnania. Ron podszedł do łóżka. Niespodziewanie owionął go słodki, duszący zapach żonkili stojących w ogromnym wazonie na stoliku. Już nigdy potem nie mógł znieść tego zapachu.

Doktor Perkins stanął przy wąskim łóżku i szybkim ruchem odsłonił prześcieradło. W chwilę potem odwrócił głowę. Choć był lekarzem, nigdy nie przywykł do bólu malującego się na twarzach, nigdy też nie pogodził się ze śmiercią.

Es miała zamknięte oczy i skrzyżowane na piersi ręce. Ron długo się jej przyglądał, a potem nachylił się i pocałował w usta. Ale pocałunek nie przybliżył go do Es, to nie był ich zwykły pocałunek. Blade, zimne usta były obce. Westchnął i odwrócił się.

Gdy Ron wszedł do poczekalni, powitało go spojrzenie trzech par oczu.

— Ona nie żyje — powiedział, rozkładając ręce.

Dawnie rozplakała się i pozwoliła objąć się Mickowi. Tim siedział wpatrzony w ojca niczym zagubione, zrozczone dziecko.

— Chodźmy na spacer, synu — odezwał się Ron.

Wyszli z poczekalni i zostawiając za sobą korytarz znaleźli się na powietrzu. Świtało. Wschodnia strona nieba przybrała perłoworóżowy kolor, gdzieniegdzie przechodzący w złoto i purpurę. Słaby wiatr owiewał im twarze.

— Tim, chyba nie ma sensu, abyś myślał, że mama niedługo wróci — odezwał się Ron zmęczonym głosem. — Mama umarła kilka minut temu. Odeszła od nas na zawsze, synku. I nigdy już nie wróci. Odeszła na zawsze do lepszego świata, gdzie nie ma bólu i smutku. Musimy teraz nauczyć się żyć bez niej. Wiem, że to będzie strasznie, strasznie trudne... Ale ona bardzo chciała, żebyśmy poradzili sobie bez niej, to była ostatnia rzecz, jaką powiedziała, żebyśmy sobie poradzili i nie tęsknili. Na początku będziemy tęsknić, ale później, kiedy się przyzwyczaimy, nie będzie tak bardzo źle.

— Czy mógłbym ją zobaczyć, tato? — spytał Tim smutno. Ojciec pokręcił głową, głośno przełykając ślinę.

— Nie, synu. Nigdy już jej nie zobaczysz. Ale nie wiń jej za to. Nie chciała odejść tak nagle, bez pożegnania. Niekiedy sprawy wymykają się spod kontroli, dzieją się za szybko i nie możemy za nimi nadążyć. Tak właśnie umarła mama, zbyt szybko... zbyt szybko. Przyszedł jej czas i nic już nie mogła zrobić, żeby to zmienić, rozumiesz, synu?

— Czy ona naprawdę umarła, tato?

— Tak, ona naprawdę umarła, Tim.

Tim uniósł głowę i patrzył na bezchmurne niebo. Skrzecząc szybowała po nim mewa, oddalała się od obcego lądu w poszukiwaniu domu, jakim była dla niej woda.

— Mary mówiła mi, co to jest śmierć, tato. Wiem, co to jest. Mama usnęła, usnęła w ziemi pod kołdrą z trawy i będzie tam odpoczywała, aż i my tam pójdziemy, prawda?

— Mniej więcej, synu, mniej więcej.

Kiedy wrócili do izby przyjęć, czekał tam na nich doktor Perkins. Poprosił Tima, żeby dołączył do Dawnie i Micka. Rona zatrzymał.

— Ron, trzeba jeszcze załatwić kilka spraw. Rona przeszedł dreszcz.

— Co mam zrobić, doktorze? Nie mam najmniejszego pojęcia, co robi się w takich sytuacjach.

Doktor Perkins powiedział Ronowi, żeby zawiadomił zakład pogrzebowy i nawet zaofiarował się zadzwonić w jego imieniu do jednego z nich.

— Właściciel zna swoją robotę i jest uprzejmy — wyjaśniał doktor. — Nie wystawi ci rachunku, którego nie mógłbyś zapłacić. Ceremonię przeprowadza w ciszy i bez zbędnego zamieszania. Es powinna być pochowana najpóźniej jutro, bo pojutrze jest niedziela, a w naszym gorącym klimacie nie powinno się z tym zwlekać dłużej niż czterdzieści osiem godzin. I nie każ jej balsamować, to nie ma sensu. Powiem Mortimerowi, że należysz do mojej

rodziny, a on się wszystkim zajmie. Teraz radzę ci wezwać taksówkę i zabrać wszystkich do domu.

Kiedy wrócili do opustoszałego domu, Dawnie jakby powoli wracała do życia. Zajęła się przygotowaniem śniadania, Ron zaś zadzwonił do Mary Horton.

— Panna Horton? Dzwoni Ron Melville. Wiem, że to, o co teraz chcę panią poprosić, to bardzo wiele, ale jestem zupełnie załamany. Moja żona umarła dziś rano, zupełnie nagle... Tak, dziękuję pani, panno Horton... Tak, jestem zupełnie przybity... Oczywiście będę się starał jakoś pozbierać... Ale dzwonię do pani w sprawie Tima... Tak, on wie... Uważałem, że nie ma sensu ukrywać tego przed nim, czasami musi zetknąć się z rzeczywistością, to akurat taki moment... Dziękuję, panno Horton... Cieszę się, że się pani ze mną zgadza. Jestem pani bardzo wdzięczny za wytłumaczenie mu, co to jest śmierć. To mi bardzo, bardzo pomogło... Nie, nawet łatwo to zrozumiał. Bałem się, że będę musiał tłumaczyć mu przez cały dzień, ale on przyjął to jak każdy normalny dzieciak... Tak, z nim wszystko w porządku, pogodził się, nie płacze, nie rozpacza. To właśnie on ją znalazł, to było straszne... Panno Horton, wiem, że pani pracuje w ciągu tygodnia, ale wiem też, że pani bardzo lubi Tima, dlatego odważam się prosić, żeby przyjechała pani dzisiaj do nas i ewentualnie zabrała Tima do siebie aż do niedzieli. Pogrzeb odbędzie się jutro, bo pojutrze jest niedziela. Nie chcę, żeby Tim był na pogrzebie... Dobrze, będziemy czekali... Jestem bardzo wdzięczny. Postaram się, panno Horton. Do zobaczenia. Jeszcze raz dziękuję.

W czasie rozmowy Rona z panem Mortimerem, właścicielem zakładu pogrzebowego, Dawnie zaprowadziła Tima do ogrodu. Wszystko, co doktor Perkins mówił, sprawdziło się co do joty. Koszty pogrzebu nie przekraczały w Australii możliwości robotnika, a załatwienie wszystkich formalności nie zabierało zbyt dużo czasu. Surowe prawo skutecznie utrudniało nadmierne wykorzystywanie sytuacji przez nieuczciwych przedsiębiorców pogrzebowych. Prości, zwykli ludzie nie odczuwali potrzeby przedłużania pożegnania zmarłych. Żadnych przeładowanych ozdobami trumien, czuwania przy zwłokach czy wystawiania ciała. Ceremonia odbywała się szybko, w ciszy i bez niepotrzebnego rozgłosu. Czasami nawet bliscy przyjaciele czy sąsiedzi dowiadywali się o wszystkim już po fakcie.

W chwilę po wyjściu pana Mortimera Mary Horton zaparkowała bentleya przed domem Melville'ów i weszła po schodach prowadzących do frontowych drzwi. Ponieważ prawie cała ulica wiedziała, co się stało, wiele zasłoniętych

okien kryło za sobą ciekawskie spojrzenia miejscowych plotkarek, pilnie obserwujących Mary wchodzącą na werandę i cierpliwie czekającą na otwarciu drzwi.

Drzwi otworzył Mick, mąż Dawnie. Przyglądał się Mary kompletnie zdezorientowany. Przez moment myślał, że Mary to pracownica zakładu pogrzebowego, i powiedział:

— Och, rozminęła się pani z panem Mortimerem, wyszedł dosłownie pięć minut temu.

Mary popatrzyła na niego taksująco.

— Pan zapewne jest mężem Dawnie. Nazywam się Mary Horton i przyjechałam po Tima. Czy mógłby pan dyskretnie zawiadomić pana Melville'a, że już jestem? Zaczekam tutaj.

Mick zamknął drzwi i ruszył przed siebie długim korytarzem, mocno zdziwiony. Z tego, co mówili Melville'owie, Mary Horton powinna być staruszką, a kobieta stojąca przy drzwiach ma wprawdzie siwe włosy, ale daleko jej do starości. Ron próbował zainteresować Tima programem telewizyjnym. Mick dał mu głową znak, wskazując na drzwi. Melville poderwał się z miejsca. Wychodząc z salonu zamknął za sobą drzwi.

— Dawn, panna Horton przyjechała — wyszeptał Mick, siadając obok żony.

Dawnie spojrzała na niego z zaciekawieniem.

— I co?

— Ona nie jest stara, Dawn! Dlaczego mówiliście o niej tak, jakby była w wieku Rona? Nie wierzyłem własnym oczom, kiedy otworzyłem drzwi. Nie może mieć więcej niż czterdzieści pięć lat!

— Co ty wygadujesz, Mick?! Oczywiście, że ona jest stara! Przyznaję, że nie przyjrzałam się jej dobrze, kiedy widziałam ją któregoś wieczoru w samochodzie, ale byłam na tyle blisko, żeby zauważyć, że jest stara! Jest bardziej siwa od taty!

— Wiesz przecież, że czasem ludzie siwieją mając dwadzieścia lat. Uwierz mi, ona jest całkiem młoda!

Przez chwilę Dawnie siedziała cicho, potem pokiwała głową i uśmiechnęła się kwaśno:

— Podstępne babsko! A więc na tym polega jej gierka!

— Jaka gierka?

— Oczywiście chodzi o Tima! Ona z nim śpi! Mick aż gwizdnął:

— Jasne! Ale czyżby twoi rodzice nie zorientowali się? Bardzo uważnie go obserwują!

— Mama nie dałaby powiedzieć złego słowa na „kochaną” pannę Horton, a tato złapał się na jej lep, od kiedy Tim zaczął przynosić do domu dodatkowe pieniądze. Panna Horton płaci mu za prace w ogrodzie! Ha! W ogrodzie!

Mick spojrzał na Tima.

— Mów ciszej, Dawn!

— Och! Zabiłabym ojca za takie zaślepienie! — powiedziała Dawnie, zaciskając zęby ze złości. — Przez cały czas czułam, że coś jest nie w porządku, ale tato nie chciał w ogóle o tym słyszeć. Mogę zrozumieć, że mama niczego nie podejrzewała, ale tato powinien mnie wysłuchać! Zanadto był zajęty przeliczaniem dodatkowych pieniędzy!

Ron patrzył na Mary zupełnie zaskoczony.

— Czy panna Horton? — zapytał zachrypniętym głosem. Mówił bardzo powoli, bo nie otrząsnął się jeszcze z pierwszego wrażenia.

— Tak, to ja. Czy pan też uważał mnie za staruszkę? — zapytała Mary.

— Tak, rzeczywiście, to prawda. — Ron opanował się na tyle, żeby otworzyć drzwi na oścież. — Proszę wejść, panno Horton. Nie obrazi się pani, jeśli przejdziemy na chwilę do sypialni, zanim zaprowadzę panią do Tima?

— Oczywiście, że nie.

Mary weszła za Ronem do pokoju. Czuła się niezręcznie. Była to bowiem małżeńska sypialnia Melville'ów. Mary zastanawiała się, ile musi go kosztować zachowanie spokoju, bo przecież właśnie tutaj przez wiele lat spał u boku żony. Ale Ron robił wrażenie, jakby zupełnie nie zwracał uwagi na otoczenie. Nie mógł oderwać oczu od twarzy Mary. Nie tak ją sobie wyobrażał. Miała młodą, pozbawioną zmarszczek twarz. Nie mogła mieć więcej niż czterdzieści pięć lat. Nie było w niej nic z drapieżnej kobiecości, przeciwnie, jej wygląd wskazywał na łagodność, choć rysy twarzy mówiły o stanowczości, a w żywych brązowych oczach i kształcie ust widać było cierpienie. Włosy miała białe jak śnieg. Pomimo że okazała się znacznie młodsza, niż się spodziewał, Ron od razu poczuł do niej zaufanie. Powierzchność pasowała do jego wyobrażenia o Mary Horton jako najlepszym, najszlachetniejszym człowieku ze wszystkich, jacy przewinęli się przez jego życie.

— Panie Melville, brak mi słów. Bardzo współczuję panu, Timowi i Dawnie...

— Dziękuję, panno Horton, dziękuję. To był straszny cios, ale jakoś musimy sobie z tym poradzić. Żałuję tylko, że Es pani nie poznała. Jakoś tak się zawsze składało...

— Istotnie. Ja też bardzo żałuję. Jak się czuje Tim?

— Jest nieco oszołomiony. Poza tym, że mama nie żyje, niewiele więcej rozumie. Bardzo panią przepraszam, że wciągam panią w nasze rodzinne sprawy, ale tak naprawdę nie bardzo wiem, co robić. Nie chciałbym, żeby Tim był na pogrzebie, a przecież nie zostawię go samego w domu.

— Zgadzam się z panem. Cieszę się, że zadzwonił pan do mnie, i zapewniam, że zajmę się Timem. Chciałabym także zaproponować panu kilkudniowy wyjazd z Timem do mojego domku letniskowego. Zmiana otoczenia dobrze by wam zrobiła. Tim byłby ze mną w Sydney dzisiaj i w sobotę, a w niedzielę po południu przyjechalibyśmy po pana i razem pojechali za miasto. Co pan o tym sądzi?

Przez twarz Rona przemknął niezauważalny grymas.

— To naprawdę bardzo miło z pani strony, panno Horton, to będzie dobre dla Tima, chętnie skorzystamy z pani propozycji. Myślę, że ani mój, ani jego szef nie będzie robił trudności z tygodniowym urlopem.

— W takim razie jesteśmy umówieni. Dla Dawnie będzie znacznie lepiej, jeśli zostanie z mężem, prawda? Nie będzie się musiała martwić, że siedzicie sami w pustym domu.

— Oczywiście, tak będzie dla niej lepiej. Jest przecież w ósmym miesiącu ciąży.

— Och, nie wiedziałam! — Mary zwilżyła usta językiem, starając się nie spoglądać w stronę podwójnego łóżka ustawionego przy ścianie. — Może poszlibyśmy przywitać się z Timem?

W salonie zastali przedziwną grupę. Dawnie i Mick siedzieli przytuleni do siebie na sofie, a Tim w swoim fotelu oglądał telewizję. Mary cichutko stanęła w drzwiach i spojrzała na niego. Wyglądał na zagubionego i bezbronno.

— Dzień dobry, Tim — powiedziała.

Tim zerwał się z fotela, ucieszony jej widokiem. Wyciągnął do niej rękę. Mary ujęła jego dłonie i uśmiechnęła się z czułością.

— Przyjechałam, żeby cię na jakiś czas zabrać do siebie — powiedziała łagodnie.

Wyrwał rękę z jej dłoni. Zaczerwienił się. Po raz pierwszy w czasie ich znajomości czuł się zakłopotany i świadomy tego zakłopotania. Jego wzrok

odruchowo powędrował ku Dawnie. Widział, że jest wściekła. Jakaś część jego osobowości była już dojrzała na tyle, aby odczuł, że w przekonaniu Dawnie robi coś niewybaczalnego, dotykając rąk kochanej kobiety. Jego ręce wisiały teraz bezwolne, a on patrzył prosząco na siostrę. Dawnie zacisnęła usta i zerwała się z miejsca niczym rozwścieczona kotka. Przepęłnione gniewem oczy wędrowały od Tima do Mary. Mary wyciągnęła rękę i ruszyła w stronę Dawnie.

— Dzień dobry, Dawnie, jestem Mary Horton — powiedziała uprzejmie.

Dawnie zignorowała wyciągniętą rękę.

— Co pani tu robi?! — wysyczała.

Mary starała się nie zwracać uwagi na ton jej głosu.

— Przyjechałam po Tima — odpowiedziała spokojnie.

— Oczywiście, że po niego! — kpiła Dawnie. — Niech pani na siebie spojrzy! Moja matka jeszcze dobrze nie ostygła, a pani już tu jest z wywalonym jęzorem, żeby zabrać biednego, głupiego Tima! Dlaczego oszukiwała nas pani? Dlaczego nie powiedziała, ile naprawdę ma lat?! Zrobiła z nas pani idiotów, na dodatek przy moim mężu!

— Na rany Chrystusa, Dawnie, zamknij się! — przerwał jej Ron zdenerwowany.

Dawnie z furią odwróciła się od niego.

— Zamknę się dopiero wtedy, kiedy powiem wszystko, co mam do powiedzenia, ty stary, chciwy głupcze! Za kilka parszywych dolarów kupczysz w każdy weekend swoim przygłupim synem! Przyjemnie ci, że możesz za te pieniądze nachlać się więcej piwa w Seaside? A czy pomyślałeś kiedyś o wstydzie? Spójrz na nią, jak się kryguje i stara wmówić nam, że jej zainteresowanie Timem jest czysto duchowe i zupełnie bezinteresowne. Tak, panno Horton! — syczała ze złością. — Przejrzałam pani gierki! Wszyscy mieszkańcy

tej ulicy śmieją się z nas, od kiedy wyszło na jaw, ile lat ma opiekunka Tima! Zrobiłaś z nas pośmiewisko na całą dzielnicę, ty... ty stara, sfrustrowana krowo! Jeśli tak bardzo potrzebujesz chłopca, dlaczego, do cholery, nie kupisz sobie jakiegoś żigolaka, zamiast zalecać się do tego bezmózgiego chłopca? Jesteś ohydną, wstrętną, złą babą! A teraz zabieraj stąd swoją paskudną gębę i wynoś się!

Mary stała na środku salonu z opuszczonymi rękami. Jej policzki płonęły mocnym rumieńcem. Łzy spływały po twarzy w cichym proteście przeciwko spadającym na nią zarzutom. Była tak zaskoczona i przybita, że nie mogła

zdobyć się na jakąkolwiek odpowiedź. Nie miała siły, żeby się bronić. Ron trząsał się cały, zaciskał dłonie, aż zbieleły mu kostki. Tim podszedł do fotela. Usiadł, nie odrywając wzroku od obydwu kobiet. Był zmieszany, zawstydzony i zmartwiony, choć nie bardzo wiedział dlaczego. Nie mógł po prostu tego zrozumieć. Wszystko wskazywało na to, że Dawnie uważa przyjaźń z Mary za coś niewłaściwego, ale nie wiedział dlaczego. Jak może być w tym coś złego? Co takiego zrobiła Mary? Nie podobało mu się, że Dawnie krzyczy na nią, ale nie wiedział, jak temu zaradzić, bo nie mógł pojąć, o co w tym wszystkim chodzi. Wiedział tylko, że ma straszną ochotę uciec z pokoju i schować się gdzieś w ciemnym kącie, jak wtedy, gdy zjadł ciasto, które mama upiekła dla koleżanek z klubu.

Ron starał się zdusić ogarniającą go złość.

— Dawnie, nie chcę, żebyś mówiła takie rzeczy! Słyszysz? O co ci chodzi, na rany boskie?! Przecież panna Horton to kobieta godna szacunku! Nie musi wysłuchiwać wyzwisk od takiej gówniary jak ty! O, Boże, Dawnie, dlaczego to wszystko mówisz?

— Mówię, bo tak myślę! — odparowała Dawnie siadając na sofie i przytulając się do męża. — Jej pieprzona forsa zupełnie zamydliła ci oczy!

Mary drżącymi rękami otarła łzy z twarzy. Spojrzała na Dawnie i Micka.

— Bardzo, bardzo się mylisz, moja droga — z trudem zaczęła mówić. — Rozumiem, że przeżycia ostatnich godzin rozstroiły cię zupełnie, i myślę, że tak naprawdę nie wierzysz w to, co powiedziałaś przed chwilą. — Mary przerwała, żeby zaczerpnąć powietrza. — Nie ukrywałam mojego wieku, bo nie wydawało mi się to ważne. Nigdy nie przyszło mi nawet do głowy, że ktoś może oceniać mój związek z Timem biorąc pod uwagę mój wiek. Jestem bardzo przywiązana do Tima, ale nie tak, jak to sugerowałaś. Przyznaję, że nie jest to dla mnie przyjemne. Mam wystarczająco dużo lat, żeby być waszą matką. I mam dość pieniędzy, żeby kupić sobie najdroższego żigolaka. Dlaczego więc miałabym wykorzystywać do tego Tima? Czy możesz z całą uczciwością powiedzieć, że zauważyłaś u Tima jakiegokolwiek oznaki podniecenia seksualnego, od kiedy się ze mną spotyka? Gdyby tak było, spostrzegłabyś to od razu. Tim jest zbyt naiwny i szczery, by potrafił ukryć takie sprawy. Obecność Tima sprawia mi przyjemność, może to nie najszcześniejsze słowo, ale jest to przyjemność zupełnie niewinna i naprawdę czysta. Tim jest niewinny i czysty — to jedna z jego zalet. Nie chciałabym tego zmienić, nawet gdyby szarpały mną nie wiem jak silne pokusy. A ty zepsułaś wszystko, zepsułaś i dla mnie, i dla niego, bo jeśli nawet Tim nie

rozumie tego, na pewno wyczuwa, że coś jest nie tak, jak było. To w pewien sposób był doskonały układ. Celowo użyłam czasu przeszłego. I nigdy już taki nie będzie. Uświadomiłaś mi coś, czego w ogóle nie brałam pod uwagę. Sprawiałaś, że Tim czuje się teraz zakłopotany, a do tej pory okazywanie mi sympatii było dla niego czymś naturalnym.

— Panno Horton. — Mick odchrząknął. — Przyzna pani jednak, że coś musiało przyciągnąć panią do Tima, coś, o czym inni doskonale wiedzą. Nie mogę uwierzyć, żeby dorosła i odpowiedzialna kobieta, spędzając każdą wolną chwilę w towarzystwie młodego, bardzo przystojnego mężczyzny, nie zdawała sobie sprawy z jego fizycznej atrakcyjności i nie zastanowiła się, co inni ludzie mogą o tym pomyśleć.

— A więc o to chodzi! — krzyknął Ron. Złapał Micka za klapy marynarki i gwałtownie poderwał z sofy. — Powinienem od razu się domyślić, że moja kochana córeczka sama by na to nie wpadła, musiał jej ktoś w tym pomóc. Szybko działasz, kolego! Ledwie panna Horton przyszła, a ty już zdążyłeś zarazić moją córkę swoimi obrzydliwymi domysłami. Udało ci się to cholernie dobrze! Przyniosła mi wstyd i obraziła wszystkich! Ty pieprzony wymoczku! Jak Dawnie mogła wyjść za takiego gnojka, a nie wzięła sobie męża z prawdziwego zdarzenia, mężczyzny, a nie pętaka! Powinienem wybić ci wszystkie zęby, ty mały, pieprzony, wstrętny gnojku!

— Tato, och, tato! — Dawnie próbowała krzyczeć, ale tylko złapała się za brzuch i rozplakała.

Tim wstał z fotela tak niespodziewanie, że dopiero po kilku sekundach wszyscy zdali sobie sprawę, co zaszło. Bez słowa chwycił Micka i pchnął na sofę, a ojca na fotel. Znacznie delikatniej, ale stanowczo posadził Dawnie w jej fotelu.

— Tato! — Tim odwrócił się do ojca. — Nie pozwól mu załazić ci za skórę! — powiedział poważnie. — Ja też go nie lubię, ale mama prosiła, żeby mu nie dokuczać, nawet jeśli go nie lubimy. Teraz Dawnie jest jego żoną i to jest ważne, tak mówiła mama.

Mary zaczęła się śmiać. Tim podszedł do niej i objął ramieniem.

— Mary, ty płaczesz czy się śmiejesz? — spytał patrząc jej w oczy. — Nie zwracaj uwagi ani na Dawnie, ani na Micka, oni są okropni. Czy możemy już iść? Mam spakować walizkę?

Ron patrzył na syna zaskoczony i dumny.

— Idź i spakuj walizkę, synu. Idź i spakuj od razu. Za chwilę Mary przyjdzie ci pomóc. Wiesz co, synu? Jesteś w porządku! Jak jasna cholera! Okazało się, że ty jeden masz dobrze w głowie! Kocham cię bardzo, synu!

Oczy Tima zalśniły. Od śmierci mamy po raz pierwszy się uśmiechnął.

— Ja też cię kocham, tato — powiedział i poszedł zapakować rzeczy.

Po jego wyjściu w salonie zaległa pełna napięcia cisza. Dawnie starannie unikała patrzenia na Mary, a ona wciąż stała na środku pokoju nie wiedząc, co powinna teraz zrobić.

— Dawnie, wydaje mi się, że powinnaś przeprosić pannę Horton — powiedział Ron patrząc na córkę surowo.

Dawnie zeszywniała, spłotła palce i mocno je zacisnęła.

— Niech mnie szlag trafi, jeśli ją przeproszę! — znowu zasyczała z nienawiścią. — Po tym, co nas tu spotkało, to chyba nam należą się przeprosiny! Jak mogłeś potraktować w ten sposób mojego męża?!

Ron popatrzył ze smutkiem na córkę.

— Wiesz, Dawnie, cieszę się, że mama tego nie doczekała — powiedział. — Zawsze powtarzała, że wcześniej czy później się zmienisz, że będziemy musieli usunąć się z twojego życia, ale na pewno nigdy nie przyszło jej do głowy, że posuniesz się aż tak daleko. Nie dorosłaś jeszcze, dziecko, mogłabyś więc i ty, i ten twój zasmarkany mężuś wziąć przykład z manier panny Horton.

— Och, proszę! — wtrąciła Mary słabym głosem. — Bardzo mi przykro z powodu tego całego zajścia, w końcu to wszystko przeze mnie. Gdybym wiedziała, że moja wizyta może wywołać taką burzę, nigdy bym nie przyjechała. Proszę, nie kłóćcie się o mnie, nie chciałabym być powodem nieszczęść w waszej rodzinie. Gdyby nie świadomość, że Tim mnie teraz potrzebuje, wycofałabym się z waszego życia natychmiast. I daję słowo, że jak tylko Tim dojdzie do siebie po śmierci matki, usunę się też z jego życia. Przeszanę się z nim widywać, bo nie chcę być powodem nieporozumień i kłopotów.

— To nie ma znaczenia! — Ron wstał z fotela, na którym posadził go Tim. — Wcześniej czy później doszłoby do tej rozmowy. Ale na razie ja decyduję o Timie, on jest najważniejszy. A Tim, panno Horton, zawsze będzie pani potrzebował. Biedna Es przed śmiercią prosiła, żebym głównie dbał o niego. I to właśnie mam zamiar zrobić, panno Horton, a jeśli ta parka przyjemniaczków nie zgadza się ze mną w tej sprawie, to cholernie niedobrze, ale dla nich! Będę liczył się tylko z ostatnią wolą matki, bo ona już nic więcej

nie powie! — głos mu się załamał. Przełknął ślinę parę razy, zanim znowu zaczął mówić. — Może ja i mama nie byliśmy dla siebie zbyt uprzejmi, wiecie, jak to jest, ale się kochaliśmy. Przeżyliśmy razem sporo szczęśliwych lat i nie mam zamiaru o tym zapominać. Będę pamiętał i za każdym razem, kiedy sobie o tym przypomnę, będę się uśmiechał i wychylał piwo. On tego nie zrozumie — Ron wskazał głową w kierunku Micka — ale mama byłaby niezadowolona, gdybym nie wypił za nas w każdą sobotę w Seaside!

Mary siłą powstrzymała się od podejścia do Rona i uściskania go, choć wiedziała, ile musi kosztować go opanowanie się w takiej chwili. Stała w miejscu z opuszczonymi rękami i prawie niewidocznym uśmiechem dawała mu znać, że doskonale go rozumie.

RS

Rozdział dziewiętnasty

Przez całą drogę do Artarmon Tim nie odezwał się nawet jednym słowem. Bardzo rzadko nocował w domu Mary w Sydney. Pokój, który zwykle tam zajmował, różnił się bardzo od tego, w którym spał w domku letniskowym, i dlatego czuł się w nim obco. Kiedy Mary chciała zostawić go samego, żeby przebrał się i odpoczął, Tim nie bardzo wiedział, co ze sobą zrobić. Stał na środku pokoju, bawiąc się dłońmi, i patrzył błagalnie na Mary. Nigdy nie mogła oprzeć się temu spojrzeniu, więc i teraz z westchnieniem podeszła.

— Może przebierzesz się w piżamę i spróbujesz trochę się przespać?

— Ale przecież nie ma jeszcze nocy! Jest środek dnia! — protestował.

— Nie martw się, kochanie — powiedziała Mary. — Wydaje mi się, że zaśniesz, jeśli tylko zamkniesz oczy. Zasłonę okna, żeby w pokoju było ciemno.

— Niedobrze mi, Mary — powiedział Tim, głośno przełykając ślinę.

— Och, biedaku — Mary przypomniała sobie, jak bardzo boi się nabrudzić w pokoju, bo zawsze był za to besztany.

— Chodź, Tim, będę cię trzymała za głowę.

Zaczął wymiotować, jak tylko weszli do łazienki. Mary trzymała dłoń na jego czole, szepcząc uspokajające słowa. Drugą ręką delikatnie głaskała go po plecach.

— Już dobrze? — spytała cicho, a kiedy pokiwał twierdząco głową, posadziła go na stojącym w łazience krześle. Odkręciła nad wanną gorącą wodę. — Trochę się pobrudziłeś, Tim. Powinieneś teraz ściągnąć z siebie ubranie i wskoczyć do wanny. Od razu lepiej się poczujesz! — Mokrym ręcznikiem wytarła mu twarz i ręce. Zdjęła koszulę i złożyła starannie, a potem wytarła pochłapaną podłogę. Tim patrzył na to apatycznie, ale ze strachem.

— Przepraszam, prze-pra-sz-am, Mmmary — wyszeptał drżącym głosem — na-na-paskudziłem i teraz b-będziesz na m-mnie zła.

Mary uśmiechnęła się.

— Nie będę, Tim! Nigdy nie będę na ciebie krzyczała! Przecież to nie twoja wina, a poza tym tak dzielnie wytrzymałeś, aż doszliśmy do łazienki, a to najważniejsze, maleńki.

Spojrzała na Tima, wciąż był osłabiony i blady. Wcale się więc nie zdziwiła, kiedy chłopak ukląkł przed muszlą klozetową i znowu zaczął wymiotować.

— No, myślę, że tym razem to już naprawdę koniec — powiedziała, kiedy Tim uspokoił się. — A co teraz powiesz na kąpiel?

— Jestem taki strasznie zmęczony, Mary — wyszeptał Tim, próbując podnieść się za pomocą krzesła, ale ciężko opadł na nie z powrotem.

Mary nie mogła go teraz zostawić samego. Gdyby zemdłał, spadłby na twardą posadzkę. Najlepszym wyjściem byłoby ułożenie go w wannie z gorącą wodą. Woda złagodziłaby napięcie i uciszyła dreszcze. Starając się nie myśleć o ostrych słowach Dawnie i modląc się w duchu, żeby Tim nigdy nie wspominał o tym w domu, Mary pomogła mu się rozebrać i wejść do wanny. Jedną ręką trzymała go w pasie, drugą za rękę oplecioną dookoła jej szyi. Tim zanurzył się w wodzie z głośnym westchnieniem. Jego policzki powoli nabierały naturalnej barwy, a z twarzy ustępował ból. Gdy odpoczywał w wannie, Mary dokończyła sprzątaną podłogi i muszli klozetowej. Zapach wymiotów był tak silny, że otworzyła drzwi i okno. Do środka wtargnęło chłodne jesienne powietrze.

Tim siedział w wannie i lekko uśmiechając się patrzył na smużki pary unoszące się nad wodą. Wilgotne włosy skreśliły się w ciężkie pukle. Jakiż on piękny, jaki piękny! Biorąc do ręki mydło Mary pomyślała, że powinna traktować go jak małe dziecko. Nie może patrzeć na niego jak na mężczyznę, nie może widzieć w nim mężczyzny! Ale kiedy spojrzała na jego smukłe ciało, nie była w stanie tak naprawdę uwierzyć w to, co sobie wmawiała. Nagość, z jaką spotykała się w książkach, była zupełnie inna niż ta, którą widziała teraz w rzeczywistości. Ciało na fotografii, pozbawione ruchu, nie wywierało na niej żadnego wrażenia. To, które widziała teraz, przyciągało jej wzrok jak magnes. Nie chciała jednak, żeby Tim zauważył jej spojrzenia, ale stwierdziwszy, że chłopak z ukontentowaniem zamknął oczy, patrzyła spragniona i jednocześnie zawstydzona.

Po chwili stwierdziła, że Tim się jej przygląda, ale w jego spojrzeniu nie było ciekawości, raczej zmęczenie. Mary poczuła, jak krew pulsuje jej pod skórą, czekała na jego reakcję, ale on nie odezwał się ani słowem. Usiadła na brzegu wanny i zaczęła go myć. Namydliła plecy i piersi, jej zwinne palce poruszały się sprawnie po nieskazitelnej skórze, gładkiej i delikatnej jak jedwab. Co kilka chwil badała puls, ale widać było, że chłopak czuje się już znacznie lepiej. Roześmiał się jednak dopiero wtedy, gdy Mary nalała mu wody na głowę i zmusiła do pochylecia się, by umyć włosy. Nie pozwoliła mu zostać w wannie dłużej, niż to było konieczne.

Wypuściła wodę zaraz po skończonym myciu, a potem splukała go dokładnie pod prysznicem. Rozbawiła ją naiwna radość, jaką sprawiło mu wielkie prześcieradło kąpielowe, bo — jak zapewniał — nigdy przedtem nie widział takiego dużego ręcznika.

— To było wspaniałe, Mary — zwierzał się jej leżąc już w łóżku, przykryty aż po samą brodę. — Chyba tak myślała mnie mama, kiedy byłem mały, ale nie pamiętam tego dokładnie. Bardzo lubię, kiedy ktoś mnie myje, to o wiele przyjemniejsze niż myć się samemu.

— W takim razie bardzo się cieszę — Mary uśmiechnęła się.

— A teraz chciałabym, żebyś wygodnie się ułożył i przespał trochę, dobrze?

— Dobrze — roześmiał się. — Nie mogę powiedzieć ci dobranoc, bo jest przecież środek dnia.

— Jak się czujesz, Tim? — zapytała Mary zaciągając zasłony i pogrążając pokój w półmroku.

— Dobrze się czuję, ale jestem strasznie zmęczony.

— To śpij, kochanie. Jak się obudzisz, przyjdź do mnie, cały czas będę w domu.

Weekend minął właściwie bez żadnych wrażeń. Tim był bardzo cichy, ciągle nieswój i zagubiony. Mary zauważyła prawie niedostrzegalne oznaki tęsknoty za matką. W niedzielne popołudnie posadziła go na przednim siedzeniu bentleya i pojechali razem na Surf Street po Rona. Ron siedział na frontowej werandzie i od razu zauważył nadjeżdżający samochód. Wstał szybko i zszedł po schodach, przeskakując po dwa stopnie. W rękę trzymał walizkę.

Ma już swoje lata — pomyślała Mary, wysiadając z samochodu, żeby otworzyć drzwiczki. — Mimo czerstwego wyglądu i sprężystych ruchów nie jest już młodym człowiekiem. Widok Rona zaniepokoił ją — bezwiednie pomyślała, że nie tylko matka, ale i ojciec może opuścić Tima. Po piątkowym wybuchu Dawnie nie można się spodziewać, że ona i Mick zechcą ich zastąpić. Teraz mąż jest dla niej najważniejszy. Być może jest to szczęście dla Dawnie, ale nie dla rodziny. A w jaki sposób Mary mogłaby zająć się Timem, gdyby coś stało się z Ronem? Już teraz strzepiono sobie języki, a co stałoby się, gdyby Tim zamieszkał u niej na stałe? Uświadomienie sobie tego wszystkiego nie było dla Mary przyjemne. Jedynie Ron, Archie Johnson, Emily Parker i sam Tim nie widzieli nic złego w jej przyjaźni z młodym mężczyzną. Nie ulegało jednak wątpliwości, że wybuchłby skandal, może

Dawnie podałyby ją nawet do sądu. Ale niezależnie od tego, co się wydarzy, Tim nie może odczuć żadnej krzywdy ani nie może być narażony na śmieszność. Nieważne, co stanie się z Mary czy Dawnie, tylko Tim się liczy.

Mimo wyczerpania i bólu Ron był rozbawiony zachowaniem Tima w czasie ich podróży do Gosford. Jak zwykle, siedział z nosem przylepionym do szyby i wpatrywał się w szybko zmieniające się pejzaże. We wstecznym lusterku Mary zauważyła wyraz oczu ojca i uśmiechnęła się.

— Podróż nigdy go nie nudzi, panie Melville. Czy to nie wspaniałe? Za każdym razem cieszy go równie mocno, jakby jechał pierwszy raz.

— To widać, panno Horton. — Ron pokiwał głową. — Nie wiedziałem, że Tim tak bardzo lubi podróżować. Pamiętam, że kiedy zabieraliśmy go na wycieczkę, zaledwie trzy czy cztery razy, zaraz po wejściu do samochodu rzygał jak opętany! Zapaskudzał wszystko! Nie mamy własnego samochodu, więc było to okropnie kłopotliwe! Gdybym wiedział, że z tego wyrośnie, kupiłbym samochód i zabierał go na przejażdżki. Jestem strasznie zły na siebie, że nie pomyślałem o tym.

— Niech się pan nie martwi, panie Melville. Tim jest zadowolony, jeśli wszystko jest w porządku. Dla niego to po prostu jest szczęście.

Ron nie odpowiedział. Oczy wypełniły mu się łzami. Odwrócił głowę w stronę okna i wpatrywał się w mijane krajobrazy.

Po rozlokowaniu gości w domku letniskowym Mary zaczęła zbierać się do powrotu do Sydney. Ron był bardzo rozczarowany, gdy to zauważył.

— Pani wyjeżdża, panno Horton? Myślałem, że będzie pani razem z nami.

Mary zaprzeczyła ruchem głowy.

— Niestety, nie mogę. Jutro muszę być w pracy. Mój szef ma w tym tygodniu kilka bardzo ważnych spotkań i muszę być w pobliżu, żeby mu pomagać. Myślę, że znajdziecie tu wszystko, co będzie wam potrzebne. Tim wie, gdzie co leży. W razie czego pomoże panu. Chciałabym, żeby czuł się pan tutaj jak u siebie w domu i robił to, na co przyjdzie panu ochota. Jedzenia nie powinno wam zabraknąć. Gdyby jednak chciał pan pojechać do Gosford, w notatniku obok telefonu znajdzie pan numer przedsiębiorstwa taksówkowego. Proszę korzystać z jego usług na mój rachunek.

Ron wstał, widząc, że Mary nakłada rękawiczki, i pożegnał się z nią ciepłym uśmiechem.

— Dlaczego nie mówi pani do mnie po prostu Ron, panno Horton? Wtedy ja będę mógł mówić do pani Mary. Trochę głupio tak bez przerwy mówić do siebie pan i pani.

Mary położyła mu rękę na ramieniu i pogłaskała.

— Oczywiście, zgadzam się, Ron. Mówmy sobie po imieniu!

— Kiedy przyjedziesz do nas, Mary? — spytał Ron, który nie bardzo wiedział, czy powinien odprowadzić ją do samochodu, czy też usiąść z powrotem w fotelu.

— W piątek wieczorem, ale nie czekajcie na mnie z kolacją. Być może będę musiała zjeść coś wcześniej z szefem.

Ron został na werandzie. Tim odprowadził Mary do samochodu. Chłopak wpadł między ojca i Mary niczym rozbawiony psiak, zazdrosny, że zupełnie o nim zapomniano. Zachowanie Tima zaskoczyło Rona, ale zareagował tak jak trzeba: usiadł w fotelu i wziął do ręki gazetę. Przez chwilę patrzył na Tima i Mary.

— Wolałbym, żebyś z nami została — powiedział Tim zaglądając jej w oczy. Nigdy przedtem tak na nią nie patrzył, dlatego nie bardzo wiedziała, co się za tym kryje. Uśmiechnęła się i poklepała go po ramieniu.

— Muszę jechać, Tim, naprawdę muszę. Ale całkowicie polegam na tobie. Mam nadzieję, że zajmiesz się ojcem, bo przecież on zupełnie nie zna tego miejsca, a dla ciebie nie ma tu żadnych tajemnic. Bądź dobry dla niego, dobrze?

Tim twierdząco pokiwał głową. Przesunął ręce do przodu i złączył dłonie.

— Zajmę się nim, Mary, obiecuję, że będę się nim opiekował. Jeszcze długo po tym, jak samochód zniknął za drzewami, Tim stał przy drodze i patrzył przed siebie, a potem odwrócił się i ruszył w stronę domu.

Rozdział dwudziesty

Tydzień okazał się tak wyczerpujący, jak się spodziewała. Z kilku niezwykle ważnych spotkań Rady Nadzorczej Constable Steel and

Mining, jakie odbyły się w ciągu roku, to było najważniejsze. Przybyło na nie trzech przedstawicieli macierzystej firmy z Nowego Jorku. I jak zwykle, pojawiły się kłopoty organizacyjne — złe warunki w hotelu, posiłki nie dostarczone na czas, nudne żony, przeładowane terminarze spotkań...

Mary i Archie Johnson odetchnęli z ogromną ulgą dopiero w piątek. Usiedli, rozluźnieni, w jego gabinecie na ostatnim piętrze wieżowca należącego do firmy i patrzyli na roztaczający się za panoramicznymi szybami widok.

— Och, Mary, nie wiesz, jak się cieszę, że mamy to już za sobą, że wszystko się skończyło! — powiedział Archie, odstawiając pusty talerz. — To był dobry pomysł, żeby zamówić chińskie żarcie do firmy, naprawdę świetny pomysł.

— Pomyślałam, że może sprawi ci przyjemność — z ulgą ruszała palcami stóp. — Czuję się tak, jakbym miała gigantyczne nogi, przez cały dzień marzyłam tylko o jednym — żeby zdjąć wreszcie buty! Bałam się, że pani Hiram Schwartz nie znajdzie swego paszportu i nie polecą, a wtedy musiałabym się nią zająć w czasie weekendu.

Archie wykrzywił twarz w kwaśnym grymasie. Buty jego pedantycznej sekretarki leżały odrzucone w najdalszy kąt pokoju, a ona sama utonęła w obszernym fotelu — widać było tylko oparte o kanapę stopy w pończochach.

— Wiesz co, Mary? Uważam, że powinnaś adoptować to niedorozwinięte dziecko już kilka lat temu. Na ząb mądrości mojej teściowej! Przecież to zmieniło cię zupełnie. Oczywiście, nigdy nie mogłem sobie poradzić bez ciebie, ale teraz praca z tobą jest znacznie przyjemniejsza. Nawet w najśmielszych marzeniach nie przyszłoby mi do głowy, że twoje towarzystwo będzie mi sprawiało frajdę, ty stara, wściekła babo, ale tak jest naprawdę! Żałuję tylko, że przez wszystkie lata tak skrzętnie ukrywałaś swoje uczucia.

— Może masz rację, Archie, ale sam wiesz najlepiej, że bardzo rzadko coś ważnego zdarza się we właściwym czasie. Gdybym spotkała Tima kilka lat temu, pewnie nie zwróciłabym na niego uwagi. Niektórzy potrzebują połowy życia, zanim się przebudzą.

Archie zapalił cygaro i rozkoszował się dymem.

— Byliśmy tak zajęci, że nawet nie miałem kiedy zapytać, co właściwie wydarzyło się w zeszły piątek. Umarła jego matka?

— Tak. To było straszne! Zabrałam Tima i jego ojca do mego domku letniskowego i zostawiłam ich. Dzisiaj tam jadę. Mam nadzieję, że u nich wszystko w porządku, bo gdyby coś się wydarzyło, daliby mi znać. Tim nie bardzo zdaje sobie sprawy, co naprawdę się stało. Tak mi się przynajmniej wydaje. Och, wie oczywiście, że jego mama nie żyje, i wie, co to znaczy, ale wynikające z tego konsekwencje są mu obce. Nawet nie tęskni za nią. Ron twierdzi, że Tim bardzo szybko zapomni o śmierci matki, i mam nadzieję, że tak będzie. Bardzo współczuję Ronowi. Kiedy przyjechałam po Tima, Dawnie, jego siostra, urządziła mi niezłą scenę.

— Tak?

Mary wstała i podeszła do baru.

— Masz ochotę na brandy albo na coś innego?

— Po chińskim jedzeniu?! Nie, dzięki. Napiję się herbaty. Archie patrzył na Mary krzątającą się przy niewielkiej kuchence elektrycznej.

— Jaką scenę? — zapytał.

Mary pochyliła się właśnie nad czajnikiem.

— Szczerze mówiąc, mówienie o tym jest dla mnie trochę kłopotliwe. W każdym razie to było okropne... Lepiej nie mówmy. Ona... Nie, dajmy spokój! Zabrzęczały filiżanki.

— Daj spokój, Mary, wyrzuć to z siebie!

Jej oczy wyrażały zranioną dumę. Błyszczały zawziętością.

— Ona sugerowała, że Tim jest moim kochankiem!

— A niech to diabli! — Archie odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się głośno. — Trafiała kulą w płot! Kulą w płot! Powiedziałbym jej, gdyby mnie o to zapytała! — Wstał z fotela, podszedł do barku i nachylił się nad blatem. — Mary, nie przejmuj się tym! Swoją drogą, ta dziewczucha to podła baba!

— Nie, ona nie jest podła! Wyszła za męża za bydlaka, a on dokłada wszelkich starań, żeby przerobić ją na swoje kopyto. Jestem przekonana, że mówiąc mi to powtarzała wiernie wszystko, co mąż naszeptał jej do ucha. Ona go bardzo kocha i stara się we wszystkim podporządkować. — Mary pochyliła się jeszcze niżej, mówiła głosem mocno wyciszonym. — Chodzi o to, że oni wcześniej myśleli, że jestem znacznie starsza, a kiedy mnie wreszcie zobaczyli, przeżyli rodzaj szoku.

— Ale dlaczego myśleli, że jesteś starsza?

— Tim powiedział im, że mam siwe włosy, a w jego oczach z takimi włosami musiałam wydawać się bardzo stara, więc łatwo przekonał ich, że jestem staruszką.

— Nie spotkałaś się z nimi przed śmiercią matki? To nie w twoim stylu, Mary, takie ukrywanie się. Dlaczego od razu nie wyjaśniłaś wszystkiego?

Mary zaczerwieniła się.

— Słowo daję, nie wiem dlaczego. Nie wiem nawet, dlaczego nie dążyłam do poznania rodziców Tima. Jeśli kryła się za tym obawa, że poznawszy mój prawdziwy wiek nie pozwolą mi na przyjaźń z ich dzieckiem, była to obawa zupełnie podświadoma. Wiedziałam, że Tim jest ze mną zupełnie bezpieczny. Lubiłam słuchać jego opowieści o rodzinie i być może nie chciałam spotkać się z nimi z obawy, że stworzony przez niego obraz okaże się nieprawdziwy.

Archie przechylił się nad barkiem i poklepał Mary po ramieniu.

— Nie martw się, Mary. Odniosłem wrażenie, że siostra Tima jest do niego bardzo przywiązana, prawda?

— Tak. Zresztą Tim kocha ją równie mocno jak ona jego. Ale po jej ślubie jakby oddalił się trochę od niej. Pewnie uznał jej zamążpójście za zdradę, chociaż starałam się wytłumaczyć mu, że tak nie jest. Z tego, co o niej mówił, odniosłam wrażenie, że to mądra, wrażliwa i uczuciowa dziewczyna. Bardzo inteligentna. Czy to nie dziwne?

— Nie mam pojęcia. A jest dziwne? A jak ty zareagowałaś na to wszystko?

— Byłam zupełnie rozbita. Chyba płakałam. Wyobraź sobie: ja płakałam!

— Spojrzała na Archiego starając się uśmiechnąć. — Nie wszystko można pojąć, prawda? — westchnęła, a na jej twarzy pojawiło się rozgoryczenie. — Ostatnio wypłakałam się za całe życie, odrobiłam zaległości z całego życia.

— To rzeczywiście przekracza moją wyobraźnię, Mary, ale wierzę ci. Uważam, że wszyscy powinni czasami trochę popłakać. Mnie też zdarzyło się to kilkakrotnie — przyznał smutno.

Mary uśmiechnęła się z ulgą.

— Używając twego języka, Archie, jesteś w porządku — powiedziała.

Archie patrzył na Mary, jak nalewa herbatę do filiżanek. W jego oczach pojawiła się litość. Pomyślał, że ostatnie przeżycia musiały być ciosem dla jej dumy. Posądzenie tak krzywdzące, sprowadzające wyidealizowane uczucia do poziomu fizjologii, musiały sprawić jej ogromny ból. Dla niej sama myśl o fizycznym zbliżeniu profanowałaby uczucie, ponieważ postrzegала życie z perspektywy mniszki, do tej pory przecież wiodła życie pustelniczki!

Jesteśmy, jacy jesteśmy — pomyślał Archie — i nigdy nie będziemy nikim innym. O wszystkim decyduje przypadek.

— Dzięki, małeńka — powiedział biorąc filiżankę. Usiadł w fotelu i patrzył w okno. Przez chwilę milczał, a potem powiedział: — Jeśli nie miałabyś nic przeciwko temu, chciałbym kiedyś poznać Tima.

Przez długą chwilę panowała cisza. Wreszcie Mary odpowiedziała cicho:

— Może któregoś dnia... — jej głos zabrzmiał, jakby była nieobecna.

RS

Rozdział dwudziesty pierwszy

Było już po północy, kiedy Mary zaparkowała bentleya przed domkiem letniskowym. Światła w salonie jeszcze się paliły. Zanim otworzyła drzwiczki samochodu, pojawił się przy nich Tim. Uradowany, chwycił ją i prawie uniósł do góry, gdy witając obejmował ją mocno. Pierwszy raz emocje związane ze spotkaniem wzięły górę nad wpajanymi w rodzinnym domu zasadami dobrego wychowania. Mary zdała sobie sprawę, jak bardzo musiał cierpieć przez ten cały tydzień i jak bardzo tęsknił.

— Och, Mary, tak się cieszę, że przyjechałaś! Mary wysliznęła się z jego objęć.

— Mój Boże, Tim, ty chyba nie masz zielonego pojęcia, jaki jesteś silny! Sądziłam, że już będziesz spał, jak przyjadę.

— Nie mogłem się położyć do łóżka przed twoim przyjazdem! Musiałem na ciebie poczekać. Och, Mary, tak bardzo się cieszę, że już jesteś. Lubię cię, lubię!

— Ja też cię lubię, Tim, i też bardzo się cieszę, że cię widzę. A gdzie jest tato?

— W środku. Nie pozwoliłbym mu wyjść, nawet gdyby chciał. Chciałem pierwszy cię zobaczyć, i to sam.

Tim biegał dokoła niej, zadowolony, ale Mary wyczuła, że nie wszystko jest w porządku, że ta cała radość jest czymś przytłumiona. Wydawało jej się, że zawiodła w jakiś sposób jego oczekiwania, ale nie wiedziała, o co chodzi.

— Nie podoba mi się tutaj, kiedy ciebie nie ma, Mary — mówił. — Lubię tu być tylko wtedy, kiedy jesteśmy razem.

Gdy doszli do domu, Tim uspokoił się nieco. Mary z wyciągniętą ręką podeszła do Rona.

— Jak się masz? — zapytała łagodnie.

— Dobrze, dobrze, Mary. Cieszę się, że już jesteś. ' — I ja się cieszę, że przyjechałam.

— Jadłaś kolację?

— Tak, jadłam, ale mam ochotę na filiżankę herbaty. Napijesz się ze mną?

— Chętnie.

Mary odwróciła się do Tima, który w czasie jej rozmowy z ojcem stał w niewielkim oddaleniu. Znowu wyglądał na zagubionego. Co takiego zrobiłam? — zastanawiała się. — O czym zapomniałam, że tak na mnie patrzy?

— O co chodzi, Tim? — zapytała podchodząc do niego.

— O nic — potrząsnął głową.

— Jesteś pewny?

— Tak, naprawdę o nic nie chodzi.

— W takim razie, mój przyjacielu, już najwyższa pora iść do łóżka. Tim smutno przytaknął jej głową.

— Tak, wiem.

Już przy drzwiach zatrzymał się i spojrzał na Mary. W jego oczach widać było niemą prośbę.

— Przyjdiesz do mnie, żeby mnie dobrze przykryć?

— Nawet gdyby się zdarzyło trzęsienie ziemi, przysłabym. A teraz pospiesz się, no, raz-dwa, szybciotko, do łóżka! Przyjdę do ciebie za pięć minut.

Po wyjściu Tima Mary spojrzała na Rona.

— Jak wam minął ten tydzień?

— I dobrze, i źle. Tim tęsknił za matką. Ale nie płakał, tak jak płacze dziecko, tylko siedział zapatrzony w jeden punkt, a łzy cichutko płynęły mu po twarzy. I nie mogłem go pocieszyć w żaden sposób.

— Chodźmy do kuchni. To musiało być dla ciebie bardzo trudne. Tak mi przykro, że nie mogłam chociaż trochę ci pomóc. — Mary napełniła czajnik i, zaniepokojona, spojrzała na zegarek. — Muszę powiedzieć Timowi dobranoc. Zaraz wracam.

Tim leżał już w łóżku i wpatrywał się w drzwi. Mary podeszła i starannie okryła go kołdrą aż pod brodę. Potem pochyliła się i pocałowała w czoło. Tim przez chwilę walczył z kołdrą, potem wyciągnął ręce, objął Mary za szyję i przyciągnął do siebie. Zmusił ją w ten sposób, by usiadła na brzegu łóżka.

— Och, Mary, tak bardzo mi ciebie brakowało — powiedział cicho. Jego oddech muskał jej policzek.

— Ale już jestem i wszystko jest w porządku. Jestem przy tobie i będę tak długo, jak tylko to będzie możliwe. Nigdzie na świecie nie będzie mi tak dobrze jak z tobą. Tęsknisz za mamą, prawda, Tim?

— Tak, Mary. Jakie to straszne wiedzieć, że ona już nigdy nie wróci! Zapominam o tym, ale zaraz znów przypominam i wtedy tak okropnie chcę, żeby wróciła, chociaż wiem, że ona nie wróci. To wszystko jest takie trudne. Ale chciałbym, żeby wróciła, bardzo, bardzo chciałbym, żeby wróciła!

— Wiem... wiem, Tim. Za jakiś czas będzie ci łatwiej, zobaczysz, kochanie. Nie będziesz czuł się tak źle, kiedy to minie. Najpierw będziesz mniej o niej

myślał, a potem przyzwyczaisz się, że jej nie ma, i przestanie ci to sprawiać przykrość.

— Ale tak mi smutno, że ciągle płacę, Mary! Straszliwie mi przykro i chyba zawsze tak będzie.

— Tak, znam to uczucie. To tak, jakby ktoś wyrywał ci z piersi serce, prawda?

— Tak, tak, właśnie tak! — przesunął ręce na jej plecy. — Och, Mary, tak się cieszę, że już jesteś! Ty zawsze wszystko wiesz i jak tylko mi wytłumaczysz, od razu jest lepiej. Bez ciebie było bardzo źle!

Noga oparta o brzeg łóżka zdrętwiała i Mary, na ile to było możliwe, delikatnie wyzwoliła się z jego objęć.

— Ale już przyjechałam i zostanę przez cały weekend. W niedzielę razem wrócimy do Sydney, bo przecież nie zostawię cię tu samego. A teraz, proszę, przyłóż głowę do poduszki i zaśnij. Zrób to dla mnie, jutro czeka nas sporo pracy w ogrodzie.

Tim posłusznie położył głowę na poduszce.

— Dobranoc, dobranoc, Mary. Lubię cię, lubię cię bardziej niż kogokolwiek poza tatą.

Mary wymknęła się z pokoju i wróciła do kuchni. Ron już zaparzył herbatę i ukroił po kawałku ciasta. Usiedli przy stole naprzeciwko siebie. Choć Mary poznała Rona dopiero po śmierci Es, zdawała sobie sprawę, że się postarzał i zmizerniał od tego czasu. Gdy podnosił filiżankę do ust, drżały mu ręce. Widać było wyraźnie, że jego siła, jego wola życia znacznie osłabły. Mary wyciągnęła rękę i położyła na jego dłoni.

— To musi być dla ciebie bardzo trudne: ukrywać własny ból i patrzeć na cierpienie Tima. Och, Ron, tak bardzo chciałabym ci pomóc. Dlaczego ludzie muszą umierać?

Ron potrząsnął głową.

— Nie wiem. To jedno z najtrudniejszych pytań, prawda? Nigdy jednak nie umiałem znaleźć odpowiedzi, która by mnie zadowoliła. To okrutne ze strony Boga, że pozwala nam łączyć się z tymi, których kochamy, a potem ich od nas zabiera. Powinien pomyśleć o jakimś innym sposobie. Wiem, że nie jesteśmy aniołami, ale przecież wielu z nas stara się żyć jak najlepiej, i nie jesteśmy tacy źli. Dlaczego więc musimy cierpieć tak bardzo? To takie trudne, Mary, bardzo, bardzo trudne.

Delikatnie wysunął rękę spod jej dłoni i podniósł do oczu. Rozpłakał się jak dziecko. Mary siedziała, nie wiedząc, co zrobić, choć widok ten ścisnął jej

serce. Gdyby tylko mogła mu jakoś ulżyć! To okropne uczucie — patrzeć na czyjś ból i nie móc przyjść z pomocą! Ron zanosił się płaczem, a Mary zdawało się, że ten płacz dobywa się z głębi duszy i wyraża całą jego samotność i bezsilność. Kiedy opanował się trochę, wytarł oczy i nos.

— Napijesz się jeszcze herbaty? — spytała.

Przez króciutką chwilę na jego ustach zagościł uśmiech przypominający uśmiech Tima.

— Chętnie — westchnął. — Nigdy nie przyszło mi do głowy, że tak się to wszystko skończy. Nie przypuszczałem, że Es odchodząc zostawi po sobie tyle pustki, że będę bez niej taki samotny. Nawet troska o Tima przestała być ważna. Bez przerwy myślę tylko o niej i o tym, że ją straciłem. Bez mojej staruszki wszystko jest takie inne. Brak mi nawet jej ciągłego narzekania i utyskiwania, że za długo siedzę w Seaside i że za dużo piję piwa. Byliśmy razem naprawdę szczęśliwi. Ludzie z upływem lat starzeją się razem, poznają, dopasowują do siebie i są jak para starych butów — wygodnych i ciepłych. Kiedy nagle to wszystko się kończy, wydaje się, że stracili połowę samych siebie. Podobnie chyba odczuwają ci, którym amputowano rękę lub nogę. Ciągłe myślą, że ręka albo noga jest na miejscu, i przeżywają straszny szok, kiedy próbują się podrapać i napotykają pustkę. Myślę bez przerwy, co mógłbym jej powiedzieć, przyłapuję się na tym, że chciałbym opowiedzieć jej dowcip, żebyśmy razem się pośmiali... To wszystko jest takie trudne, takie trudne! I nawet nie wiem, czy warto próbować jakoś z tym walczyć.

— Rozumiem się, Ron — powiedziała Mary wolno. — To taka amputacja duchowa...

— Mary, gdyby mi się coś przytrafiło, czy zaopiekujesz się Timem? Mary nie próbowała nawet go pocieszać ani tłumaczyć, że jego nastrój wynika z chwilowego przygnębienia, pokiwała tylko głową i powiedziała:

— Tak, oczywiście, zajmę się Timem. Nie musisz martwić się o Tima.

Rozdział dwudziesty drugi

W czasie długiej, smutnej zimy po śmierci matki Tim bardzo się zmienił. Zachowywał się jak zwierzątko, które straciło kogoś bliskiego — chodził z kąta w kąt szukając czegoś, co w rzeczywistości nie istniało. Wpatrywał się bezmyślnie w jakiś przypadkowy przedmiot. W chwilę potem odwracał się i znowu czegoś szukał nieobecny wzrokiem. Sprawiał wrażenie rozczarowanego i zawiedzionego, że nie odnajduje tego, co chciałby zobaczyć, i nie rozumiał, dlaczego tak się dzieje.

— Nawet Harry Markham i jego robotnicy nie mogą sobie z nim poradzić — skarżył się zdesperowany Ron.

Tim chodził do pracy każdego dnia, ale bezmyślnie i okrutne dowcipy, których kiedyś tak często padał ofiarą, teraz spotykały się z jego obojętnością. Znosił tortury zadawane przez kumpli tak samo cierpliwie i obojętnie jak wszystko inne. Wyglądało na to, że rzeczywistość przestała go obchodzić. Żył we własnym świecie, do którego nikt nie miał dostępu.

Mary i Ron prowadzili nie kończące się rozmowy na ten temat, gdy siedzieli w długie deszczowe wieczory w salonie letniskowego domku. Tim zwykle już spał w swoim pokoju. Przez całe dni przepadał gdzieś i ani Mary, ani Ron nie mieli z nim żadnego kontaktu. Od śmierci Esme Mary nalegała na Rona, żeby towarzyszył jej i Timowi w weekendowych wyjazdach. Kiedy w piątkowe wieczory przyjeżdżała po Tima, nie mogła znieść widoku siedzącego samotnie przy kominku starego mężczyzny. Właściwie wszyscy troje pogrążeni byli w ogromnym smutku. Mary nie mogła już dzielić przyjemności tylko z Timem, Ron odczuwał jedynie pustkę codzienności, a Tim... Tego nikt nie wiedział. Mary po raz pierwszy w życiu zetknęła się z żalem i bólem po stracie kogoś bliskiego. Do tej pory nie wyobrażała sobie, że może to być tak silne uczucie. Najbardziej martwiła ją jej własna bezsilność, brak możliwości ułożenia wszystkiego w dawnym, właściwym porządku. Nic, cokolwiek powiedziała czy zrobiła, nie miało teraz znaczenia. Musiała więc radzić sobie sama z długotrwałą ciszą — wymykała się do odległych zakątków i pozwalała łzom, by płynęły nie zwracając niczyjej uwagi.

Zajmowała się teraz także Ronem, bo był przecież ojcem Tima, a z upływem czasu myślała o nim coraz częściej. Przy końcu zimy, zaniepokojona, zauważyła, iż Ron bardzo zmizerniał. Czasami, gdy siedzieli w słabych, ale jeszcze ciepłych promieniach słońca, widziała wyraźnie, jak

światło przechodzi przez jego żylastą dłoń obrysowując kości. Chód Rona, niegdyś pewny i swobodny, teraz był pełen wahania, nawet jeśli na ścieżce nie było żadnych przeszkód do pokonania. Mary starała się go odżywiać jak najlepiej, ale chudł bez przerwy i nikał w oczach.

Kłopoty spadły na Mary niczym niewidzialny cios. Poruszała się w świecie, gdzie nie było żadnych drogowskazów, jedynie praca z Archiem Johnsonem była nicią łączącą ją z dotychczasowym życiem. W Constable Steel and Mining mogła być sobą, odrywała na chwilę myśli od Rona i Tima i zajmowała się konkretnymi. To koło jej nerwy i przywracało kontakt ze światem. Zaczęła bać się piątek, a z radością witała poniedziałki. Ron i Tim stali się koszmarem ze złego snu, bo nie wiedziała, jak zaradzić wiszącemu w powietrzu nieszczęściu.

Nadeszła wiosna. W sobotni poranek Mary siedziała na frontowej werandzie i spoglądała w stronę plaży. Stał tam Tim i wpatrywał się w przeciwny brzeg. Na co patrzył? Czy wypatrywał tam matki, czy może szukał odpowiedzi na dręczące go pytanie, na które nie zdążyła mu odpowiedzieć? Mary zdawała sobie sprawę, że w jakiś sposób zawiodła Tima, wyczuwała, że to ona jest główną przyczyną jego zachowania. Przez cały czas miała wrażenie, że czegoś zaniedbała. A rozmowa nic tu nie mogła zmienić — równie dobrze mogłaby mówić do ściany. Tim robił wrażenie, jakby nie chciał jej słuchać. Próbowwała zwrócić jego uwagę niezawodnymi jeszcze do niedawna sposobami, ale on nie zwracał na to uwagi. Był, jak zawsze, miły, chętnie pracował w ogrodzie i przy domu, nie okazywał też w żaden sposób, że jest niezadowolony, ale jednocześnie był nieobecny.

Ron wyszedł na werandę niosąc tacę z poranną herbatą i postawił ją na stoliku obok fotela, na którym siedziała Mary. Jego spojrzenie podążyło za jej wzrokiem. Zobaczył stojącego nieruchomo Tima i westchnął.

— Napij się herbaty, Mary. Zauważyłem, że nic nie zjadłaś na śniadanie, maleńka. Wczoraj upiekłem bardzo dobre ciasto z makiem, może zjesz kawałek?

— Słowo daję, Ron, w ciągu kilku miesięcy zrobił się z ciebie znakomity kucharz.

— Es bardzo lubiła ciasto z makiem, to było jej ulubione ciasto. Przeczytałem w „Heraldzie”, że w Ameryce jedzą chleb posypany makiem, ale nie używają maku do ciasta. Kurczaki! Nie mogę sobie wyobrazić czegoś gorszego niż posypany makiem chleb. Przecież mak jest najsmaczniejszy w żółciutkim, pachnącym cieście.

— Co kto lubi, Ron. Założę się, że oni powiedzieliby to samo o cieście z makiem, gdyby przeczytali artykuł o zwyczajach w Australii. Ale muszę ci powiedzieć, że w Sydney, w piekarniach z europejskim pieczywem, też można kupić chleb posypany makiem.

— To wszystko przez tych cholernych nowych Australijczyków — powiedział Ron z typową dla starych Australijczyków pogardą dla emigrantów z Europy. — W gruncie rzeczy, to wszystko nie ma najmniejszego znaczenia. Zjedz kawałek ciasta, Mary, skuś się.

Mary odstawiła talerzyk z nie dojedzonym kawałkiem ciasta.

— Ron, co się dzieje z Timem? — zapytała.

— Pomór i burza gradowa! Wałkujemy z tobą ten temat od tygodni i do niczego nie doszliśmy! — powiedział ujmując Mary za rękę. — Przepraszam, maleńka, nie chciałem ci zrobić przykrości i nie miałem nic złego na myśli. Wiem, że pytasz tylko dlatego, że martwisz się o Tima. Ale nie wiem, kochana moja, co się stało, i nic nie rozumiem. Nigdy nie przypuszczałem, że tak będzie się zachowywał po śmierci matki, nawet przez myśl mi nie przeszło, że taki stan może trwać aż tak długo. Serce się kraje, gdy na niego patrzę.

— Nie wiem nawet, co powinnam zrobić, chociaż przez cały czas mam świadomość, że muszę, i to szybko. On się od nas coraz bardziej oddala, Ron. Jeśli nie odzyskamy go teraz, możemy stracić na zawsze!

. Ron przysiadł na poręczu fotela i przytulił jej głowę do swojej zapadniętej piersi. Pogłaskał ją.

— Wiele bym dał, żeby wiedzieć, co trzeba robić, maleńka, ale nie mam najmniejszego pojęcia. Najgorsze jest to, że nie przejmuję się tym tak bardzo. Zdaje mi się, że Tim przestał być moim synem, i nie umiem już martwić się o niego. Wiem, że to są straszne słowa, ale mam swoje powody, żeby tak mówić. Poczekaj chwilę.

Raptownie wstał i zniknął we wnętrzu domu. Pojawił się z powrotem w chwilę później z plikiem papierów w ręce. Dość energicznie położył je na stoliku obok tacy. Mary spojrzała zdziwiona i zmartwiona. Ron przysunął sobie fotel i ustawił go dokładnie naprzeciw Mary. Usiadł i spojrzał jej prosto w oczy.

— To są papiery dotyczące Tima — odezwał się. — Jest tu mój testament, książeczki czekowe, polisa ubezpieczeniowa i zaświadczenie o rencie. Wszystko po to, żeby mieć pewność, że jest zabezpieczony do końca życia — odwrócił się i spojrzał w stronę plaży.

— Ja umieram, Mary — powiedział smutnym głosem. — Nie chcę żyć i nawet nie próbuję udawać, że chcę. Ustaję jak nakręcona małpka. Znasz takie zabawki, prawda? Małpka z bębenkiem, maszerująca i waląca w bębenek, porusza się coraz wolniej i wolniej, by po chwili stanąć w miejscu. Zupełnie tak samo jest ze mną i nic na to nie mogę poradzić. W gruncie rzeczy bardzo się z tego cieszę! Gdybym był młodym mężczyzną, być może odejście Es nie zrobiłoby na mnie takiego wrażenia, ale z wiekiem to się zmienia. Zostawiła po sobie tak straszliwą pustkę, że nie mogę jej niczym wypełnić, nawet troską o Tima. Jedyne, o czym marzę, to położyć się obok niej, bo wiem, że jest jej tam bardzo zimno i czuje się samotna. Nie może być inaczej po tylu latach spędzonych ze mną. Nie mogę znieść myśli, że jest tam zmarznięta i samotna. Nie mogę tego wytrzymać! Po jej odejściu wszystko przestało mieć jakikolwiek sens. Nie potrafię nawet martwić się o Tima. To dlatego poszedłem w tym tygodniu do adwokata i kazałem przygotować dokumenty syna.

Wiem, Mary, że obarczam cię strasznym kłopotem, ale od samego początku zdawałem sobie sprawę, że Tim jest ci bardzo bliski i że zgodzisz się wziąć ten kłopot na siebie. To egoizm z mojej strony, wiem o tym, ale nic nie mogę poradzić. Zostawiam ci go. Masz tu wszystkie jego papiery, także upoważnienie do zarządzania majątkiem do czasu twojej śmierci. Dawnie z pewnością nie będzie się sprzeciwiać, ponieważ Mick nie chce, żeby Tim został u nich. Na wszelki wypadek zostawiam też dwa listy —jeden dla Dawnie, drugi dla tego gnojka Micka. Odszedłem z pracy, powiedziałem szefowi, że chcę już przejść na emeryturę. Pragnę pozostać w domu. A jeśli nie będziesz miała nic przeciwko temu, chciałbym bardzo przyjeżdżać z Timem do ciebie na weekendy. To już nie potrwa długo!

— Och, Ron, Ron! — Mary rozplakała się. Jasna plama plaży zamazała się przed jej pełnymi łez oczami. Wyciągnęła ręce.

Wstali oboje i objęli się przepelnieni bólem, choć u każdego z nich inne było źródło tego bólu. Mary zdawała sobie sprawę, że Ron daje jej znacznie więcej, niż ona może dać jemu. Czerpała ukojenie i ciepło z jego objęć. Jego czułość i współczucie uspokajały. Chronił ją, jak mężczyzna chroni kobietę, wiedziała, że może liczyć na niego. Przytuliła się jeszcze mocniej, położyła głowę na jego ramieniu i zamknęła oczy.

Niespodziewanie coś przeszkodziło temu zbliżeniu. Mary poczuła dreszcz biegnący wzdłuż kręgosłupa i przestraszona otworzyła oczy. W niewielkiej odległości stał Tim i wpatrywał się w nich. Po raz pierwszy zauważyła, że jest

zły. Oczy płonęły mu gniewem, zdawały się dużo ciemniejsze niż zwykle. Nerwowo napinał mięśnie ramion. Mary wysunęła się z objęć Rona tak gwałtownie, że straciła równowagę i musiała chwycić się barierki, żeby nie upaść. Ron spojrzął na syna. Przez chwilę patrzyli na siebie bez słowa. Potem Tim odwrócił się i zaczął biec w kierunku plaży.

— Co mu się stało? — wyszeptał Ron zdumiony. Zrobił ruch, jakby chciał pobiec za synem, ale Mary przytrzymała go.

— Nie, nie!

— Mary, muszę przecież sprawdzić, co się z nim dzieje! Dlaczego uciekł? Co go tak przestraszyło? Puść mnie!

— Nie, Ron, proszę! Pozwól, że ja za nim pójdę. Zostań tutaj, proszę! Och, Ron, nie pytaj, dlaczego, po prostu pozwól, że najpierw sama z nim porozmawiam.

Ron zgodził się, choć niechętnie.

— No, dobrze, moja droga, dobrze. Ty sobie z nim świetnie radzisz. On pewnie teraz potrzebuje kobiecej czułości, nie ojca. Gdyby żyła mama, poprosiłbym ją, by się nim zajęła, ale skoro jej nie ma...

Tima nie było na plaży. Mary zeszła ścieżką w dół, przystanęła, osłoniła dłonią oczy i wypatrywała wokół jego sylwetki. Powiodła wzrokiem wzdłuż plaży, ale i tam go nie było. Wróciła między drzewa i ruszyła w stronę małej polanki, na której ostatnio lubił przesiadywać. Był tam. Z westchnieniem ulgi przytuliła się do drzewa i w milczeniu patrzyła. Tim był blady i przepełniony bólem. Całym sobą wyrażał ogromne cierpienie, a ściągnięte przeżyciami rysy podkreślały napięcie wewnętrzne. Mary podeszła do niego bardzo cicho, tak że nie zdawał sobie sprawy z jej obecności, ale gdy go dotknęła, odsunął się gwałtownie, jakby jej palce parzyły. Ręka Mary, odtracona, zawisała w próżni.

— Tim, o co chodzi? Co ja takiego zrobiłam?

— Nic, nic!

— Tim, nie ukrywaj tego przede mną! Co zrobiłam, powiedz.

— Nic! — Tim prawie jęczał.

— Musiało się coś wydarzyć! Och, Tim, wiem, że sprawiłam ci jakiś zawód, ale nie mam najmniejszego pojęcia, co takiego zrobiłam! Powiedz mi, proszę, powiedz!

— Odejdź!

— Nie, nie odejdę! Nie odejdę, dopóki mi nie powiesz! Razem z twoim tatą martwimy się o ciebie, odchodzimy od zmysłów, a ty dzisiaj patrzyłeś tak,

jakbyś nas nienawidził! Nienawidził, Tim! — Mary stanęła przed nim i spojrzała w oczy. Położyła mu ręce na ramionach, mocno zacisnęła palce.

— Nie dotykaj mnie! — odskoczył i odwrócił się do niej plecami.

— Dlaczego, Tim? Goja takiego zrobiłam, że nie wolno mi nawet ciebie dotknąć?

— Nic!

— Nie wierzę, Tim! Nigdy bym nie pomyślała, że możesz mnie oszukiwać, ale teraz czuję, że kłamiesz! Powiedz, o co chodzi, proszę!

— Nie mogę — wyszeptał Tim zrozpaczony.

— Oczywiście, że możesz! Wiesz, że zawsze możesz mi wszystko powiedzieć! Och, Tim! Nie odwracaj się ode mnie i nie odtrącaj. Czuję się rozbita, odchodzę od zmysłów i nie wiem, co robić!

— Mary płakała, co jakiś czas wycierając łzy wierzchem dłoni.

— Nie mogę! Nie mogę! Nie wiem! Różne rzeczy przychodzą mi do głowy, ale mimo to nic nie wiem i niczego nie rozumiem.

Gwałtownie odwrócił się do niej, widać było, że nie panuje nad sobą. Mary cofnęła się o krok — widziała przed sobą zupełnie obcego człowieka, do którego trudno by jej było się zbliżyć.

— Wiem tylko, że mnie już nie lubisz, to wszystko! Teraz bardziej lubisz tatę, a ja się nie liczę! Od czasu kiedy poznałaś tatę, nie jestem już dla ciebie ważny. Wiedziałem, że tak się stanie, wiedziałem! Jak mogłabyś lubić mnie bardziej od niego, skoro on jest prawdziwym funtem, a ja tylko przygłupem! Ja też lubię go bardziej niż siebie!

Mary rozłożyła ręce.

— Och, Tim! Jak możesz tak myśleć?! To nieprawda! Lubię cię tak samo jak zawsze, nie przestałam cię lubić nawet przez chwilę! Jak mogłabym kiedykolwiek przestać cię lubić?

— Przestałaś, kiedy poznałaś tatę!

— Nie, nie! To nieprawda, Tim! Proszę, uwierz mi, że to nieprawda. Lubię twojego tatę, ale nigdy nie lubiłam go bardziej od ciebie, nigdy! I przede wszystkim lubię go dlatego, że jest twoim ojcem! On dał ci życie!

Mary starała się panować nad głosem, mając nadzieję, że łagodny ton ukoi wzburzenie Tima.

— Kłamiesz, Mary! Czuję to! Zawsze myślałem, że uważasz mnie za dorosłego, ale teraz wiem, że tak nie jest, wiem, bo widziałem ciebie i tatę! Nie lubisz mnie już, teraz lubisz tatę! Pozwalasz mi, żeby cię przytulał! Ty też go przytulasz i pocieszasz przez cały czas! A mnie nie pozwalasz, żebym

cię tulił! Mnie nie pocieszasz, tylko okrywasz kołdrą na dobranoc. A ja chciałbym, żebyś mnie przytulała i pocieszała! Ale ty robisz to tylko z tatą! Co ja takiego zrobiłem, Mary, dlaczego mnie już nie lubisz? Dlaczego się zmieniałaś, kiedy tata przyjeżdża tu z nami? Ale ja wiem, dlaczego odsunęłaś się ode mnie. Po prostu teraz wolisz tatę!

Mary stała nieporuszona. Tak bardzo chciała odpowiedzieć na jego rozpaczliwe wołanie o uczucie, na krzyk zdesperowanej samotności, ale przestraszyła się gwałtowności tego wybuchu. To była zazdrość! Wcale nie dziecięca! Tim był wściekle, obłędnie zazdrosny, bo zobaczył w ojcu rywala. I zachował się jak zazdrosny mężczyzna: chciał posiadać wybraną kobietę na wyłączną własność. Łagodne słowa perswazji nic tu nie mogły pomóc. Mary milczała więc, bezradna. Wpatrywała się w Tima, czując drżenie całego ciała. Oparła się o najbliższy pień i osuwając się usiadła na ziemi.

— Tim — odezwała się z wahaniem w głosie. — Wiesz, że nigdy cię nie oszukałam. Nigdy! — Starła się mówić jak najdelikatniej.

— Za bardzo cię lubię, żebym mogła okłamywać. Tego, co teraz zamierzam ci powiedzieć, nie powiedziałabym nigdy małemu dziecku, bo takie rzeczy mówi się tylko mężczyźnie. Przekonałeś mnie, że jesteś dorosły, dlatego musisz zrozumieć to, co ci powiem, jeśli nawet będzie to trudne i bolesne. Nie potrafię ci dokładnie wyjaśnić, dlaczego pozwoliłam, żeby twój tata mnie przytulał, a tobie tego zabraniam. Na pewno nie postępuję tak dlatego, że uważam cię za dziecko, ale dlatego, że on jest bardzo stary. Zrozumiałeś całą sytuację na opak, nie widzisz tego?

Śmierć mamy była dla ciebie ciężkim ciosem, ale niestety musisz przygotować się na jeszcze jeden. Musisz być bardzo silny. To, co powiem, zachowaj koniecznie w tajemnicy, zwłaszcza przed twoim ojcem. On nigdy nie może się dowiedzieć, że ci o tym powiedziałam. Pamiętasz, kiedyś wyjaśniałam ci, czym jest śmierć i dlaczego ludzie umierają. Stają się zbyt starzy i zmęczeni, nie mają już sił, żeby żyć, są niczym zapomniany zegar, który stanął, bo nikt go nie nakręcił. Bywa tak, że zmęczenie dotyka niektórych znacznie szybciej niż innych. Tak właśnie dzieje się z twoim ojcem. Kiedy umarła mama, zaczął się starzeć szybciej niż inni. Każdy dzień przeżyty bez niej jest dla niego męczarnią.

Tim stał nieporuszony. Drżał, ale Mary nie wiedziała, czy to z powodu tego, co mówiła, czy też z napięcia.

— Wiem, że strasznie tęsknisz za mamą — mówiła nie przerywając — ale on tęskni za nią o wiele bardziej, bo jest stary. Tata chce umrzeć, chce

położyć się w grobie obok śpiącej mamy. Tak jak robił to każdej nocy, kiedy jeszcze żyła. Chce być znowu razem z nią. Oni należą do siebie. Bez niej tata nie wyobraża sobie życia. Kiedy zobaczyłeś nas na werandzie, starałam się go pocieszyć, bo powiedział mi, że chce umrzeć. Nie chce chodzić, rozmawiać, nie chce nawet uczyć się żyć bez niej. I dlatego przytuliłam się do niego. Było mi smutno i płakałam. A tata, widząc moje łzy, zaczął mnie pocieszać. Widzisz teraz, że wszystko rozumiałeś na opak. Mary spojrzała na Tima. Wyciągnęła pojednawczo rękę.

— Nie płacz, Tim. Przestań, proszę cię! Musisz być dzielny i silny! On nie może widzieć, że płaczesz. Wiem, że ostatnio poświęciłam twojemu tacie dużo czasu, ale musisz pamiętać, że jemu już tak niewiele zostało, a ty masz przed sobą całe życie! Czy możesz mieć mi za złe, że chciałam być dla niego dobra, skoro tak niewiele dni zostało mu do przeżycia? Podaruj mu te dni, Tim, nie bądź egoistą! On jest taki samotny! Bardzo tęskni za twoją mamą, tęskni w taki sposób, w jaki tęskniłby za tobą, gdybyś umarł. On czuje się tak, jakby umarło pół świata.

Tim nigdy nie nauczył się panować nad mimiką. Wszystkie ogarniające go uczucia natychmiast znajdowały wyraz w jego twarzy. Teraz stał przed Mary i patrzył jej w oczy. Wiedziała, że zrozumiał wiele z tego, o czym mówiła. Trafienie do Tima zależało bowiem w głównej mierze od tego, czy był przyzwyczajony do rozmówcy. Mary była z nim już wystarczająco długo, by wiedzieć, jakie słowa trafiają do niego najłatwiej. Nie pojmował wprawdzie wszystkich niuansów, ale zwykle rozumiał to, co najważniejsze.

Mary westchnęła, zmęczona.

— Mnie też nie było łatwo przez ostatnie miesiące. Musiałam opiekować się nie tylko tobą, ale i tatą. Wiele razy marzyłam o tym, żeby być tylko z tobą. Ale gdy przyłapywałam się na takich marzeniach, wstydziłam się samej siebie. Widzisz, Tim, nie zawsze wszystko układa się tak, jak byśmy chcieli. Bardzo rzadko życie jest łatwe i proste. Musimy przez cały czas godzić się z tym, co ono ze sobą niesie. Teraz właśnie musimy zająć się twoim ojcem. Wiesz przecież, że on jest bardzo dobrym człowiekiem, i musisz się zgodzić, że zasłużył na właściwe traktowanie, choćby dlatego, że zawsze traktował cię poważnie i nie uważał za dziecko. Pozwalał na samodzielne poznawanie świata i chciał, żebyś uczył się na własnych błędach. Cieszył się, kiedy razem piliście piwo w Seaside, i zawsze był twoim najlepszym kumplem. Zastępował twoich rówieśników, bo nigdy nie miałaś nawet okazji, żeby się z nimi zaprzyjaźnić. A teraz musi iść własną drogą, i to nie dlatego, że jest

egoistą, bo przecież zawsze myślał o tobie, mamie i Dawnie. Jego życie skupiało się wokół was, byliście dla niego wszystkim. Jesteś szczęściarzem, Tim, że masz takiego ojca, i dlatego powinieneś postarać się chociaż w części wynagrodzić mu uczucia, jakie żywił do ciebie przez wszystkie lata. Proszę cię, Tim, żebyś był bardzo dobry dla niego i bardzo dobry dla mnie. Nie wolno ci martwić go swoim zachowaniem i nie wolno pod żadnym pozorem dać mu poznać, że wiesz o tym, co ci powiedziałam. Chciałabym, żebyś za każdym razem, kiedy tato pojawi się w pobliżu, śpiewał, śmiał się i rozmawiał, tak jakbyś był szczęśliwy, naprawdę szczęśliwy. Wiem, że trudno ci zrozumieć to wszystko, ale będę siedziała z tobą tak długo i powtarzała tyle razy, aż stanie się to dla ciebie jasne.

W oczach Tima pojawiały się na przemian smutek i radość, cierpienie i szczęście. Wreszcie pochylił głowę i ukrył ją między kolanami. Mary pogłaskała go po włosach. Mówiła łagodnie, a jej palce czule przesuwały się po jego szyi, wędrowały pieszczotliwie po uchu i włosach.

Tim podniósł głowę i spojrzał na Mary starając się uśmiechnąć, ale nie udało mu się, na twarzy ponownie zagościł wyraz zagubienia, ; a przygaszone oczy zasnuły się mgłą smutnej rezygnacji. Na ; lewym policzku wyraźnie widać było rysującą się zmarszczkę. Mógłby z powodzeniem zagrać pajaca lub nie chcianego kochanka. Czuł się jak podrzucone kukułcze pisklę w gnieździe skowronka.

— Och, Tim, nie patrz tak na mnie! — prosiła Mary.

— W pracy nazywają mnie głupi Tim — powiedział — ale jeśli bardzo się staram, mogę trochę myśleć. Od tego czasu, kiedy nie ma mamy, myślę o tym, jak ci pokazać, że bardzo cię lubię, bo wydawało mi się, że wolisz tatę ode mnie. Nie wiem, co się ze mną dzieje, kiedy jesteś blisko, ale czuję, że coś we mnie jest, choć nie umiem tego powiedzieć, bo nie znam słów... W filmach, które j widziałem w telewizji, mężczyzna obejmuje kobietę i potem ją i całuje i w ten sposób ona wie, że on ją lubi. Och, Maryja tak bardzo j cię lubię! Lubilem cię nawet wtedy, kiedy myślałem, że ty mnie już nie lubisz. Lubię cię, Mary! Lubię cię!

Wstał i chwycił Mary za ramiona, zmuszając ją do wstania, a potem przytulił niezręcznie, nie zdając sobie sprawy ze swojej siły. Mary odsunęła głowę, próbując złapać oddech. Tim niepewnie pocałował ją w policzek, a potem powoli dotarł do jej warg. Jego zachowanie było tak niespodziewane, że Mary nie od razu pojęła znaczenie tego, co robił. Próbowwała się uwolnić, ale po chwili wszystko przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie. Czuła jedynie

piękne, młode ciało i niecierpliwe, nieśmiałe usta. Zdawała też sobie sprawę, że nie może zawieść oczekiwań Tima, zbyt mocno zraniłaby go i upokorzyła. Kiedy więc uścisk nieco zelżał, uwolniła ręce i bezwiednie wędrowała po jego ciele, pieściła głowę, głaskała brwi i powieki, rozkoszowała się jedwabistością rzęs i kształtem policzków. Tim całował ją w sposób, jaki wydawał mu się najwłaściwszy — zamkniętymi ustami przywarł do jej warg, ale nie sprawiało mu to spodziewanej przyjemności. Wtedy Mary oderwała się od jego ust i delikatnie dotknęła palcem jego dolnej wargi. Pieściła ją, rozchylając powoli brzegi, a potem znowu głaskała po głowie, lekko, ale stanowczo zmuszając go do pochylenia się. Tim poddawał się bez oporu, a narastające w nim upojenie, fascynacja i drżenie udzieliły się Mary.

Nieraz już trzymała go w ramionach, ale zawsze jak dziecko, teraz odkrywała w nim dorosłego mężczyznę. Z rozkoszą zanurzała się w jego objęciach, dotykała warg, wędrowała dłońmi po jego ciele — od szyi aż do gładkiej, muskularnej piersi. Z rozkoszą uświadamiała sobie pragnienie takiego przeżycia i doznawała niezwyklej przyjemności czując jego dłonie na swoim ciele. Tim instynktownie trafił na jej piersi, więzione pod ubraniem, delikatnie włożył dłoń za kołnierzyk i gładził nagie ramiona.

— Mary! Tim! Mary! Tim! Gdzie jesteście? Słyszycie mnie? Odezwijcie się.

Mary uwolniła się z objęć Tima, chwyciła go za rękę i pociągnęła w gęstwinę drzew. Biegli, aż głos Rona stał się ledwo słyszalny. Serce Mary biło gwałtownie, z trudem łapała oddech. Zdawało jej się, że zemdleje. Głęboko oddychając wsparła się na ramieniu Tima, aż poczuła się lepiej. Potem odsunęła się.

— Widzisz przed sobą starą wariatkę — powiedziała odwracając się do niego.

Tim uśmiechnął się do niej tak jak dawniej. W tym uśmiechu zawarł całe uczucie, jakim ją darzył. Mary dostrzegła jednak, że w wyrazie jego twarzy pojawiły się nowe doznania — fascynacja i zdziwienie — jakby w jego oczach nabrała nowego, nieznanego wymiaru. To ją otrzeźwiło. Przyłożyła dłoń do czoła. Jak to się mogło stać? Co teraz powinna zrobić? Jakim sposobem może z powrotem sprowadzić go na ziemię bez wyrządzenia krzywdy?

— Tim, nie powinniśmy tego robić — powiedziała wolno.

— Dlaczego? — jego twarz promieniała szczęściem. — Och, Mary, nie miałem pojęcia, że można odczuwać coś takiego! Podoba mi się to, podoba znacznie bardziej niż przytulanie czy pocieszanie!

Mary gwałtownie potrząsnęła głową.

— To nie ma znaczenia, Tim! Nie powinniśmy tego robić! To jedna z tych rzeczy, jakich nie wolno nam robić. Bardzo źle, że nam się to spodobało, lecz nie możemy już tego powtarzać, nie wolno nam! I to nie dlatego, że nie chcę, ale dlatego, że nie wolno. Musisz mi uwierzyć. Tim, tego nie powinniśmy robić. Odpowiadam za ciebie. Mam się tobą opiekować, tak jak chcieliby tego twoi rodzice, a to oznacza, że nie możemy się całować, po prostu nie możemy.

— Ale dlaczego, Mary? Co w tym złego? Mnie się podobało! — z jego twarzy powoli zniknęła radość.

— W pocałunku nie ma nic złego, Tim, ale w naszym przypadku całowanie się jest zabronione. To grzech. Czy wiesz, co to jest grzech?

— Oczywiście, że wiem! Grzech jest wtedy, gdy robi się to, co nie podoba się Panu Bogu!

— Zgoda, i Panu Bogu nie podobałoby się nasze całowanie.

— Ale dlaczego miałyby to obchodzić Pana Boga? Mary, nigdy przedtem nie czułem czegoś podobnego! Po raz pierwszy mi się wydawało, że jestem prawdziwym funciakiem. Dlaczego miałyby to przeszkadzać Panu Bogu? To nie w porządku, żeby on się w to mieszał, to nie w porządku!

— Być może, Tim, że to nie jest w porządku, ale nie zawsze człowiek rozumie, o co chodzi Bogu. Bardzo często przecież tak bywa, że robisz coś, nie zastanawiając się dlaczego, prawda?

— Tak, tak bywa — odpowiedział Tim ponuro.

— Widzisz, Tim, jeśli chodzi o rozumienie Boga, okazuje się, że my wszyscy nie jesteśmy pełnymi funciakami — ani ty, ani ja, ani twój tata, ani nawet premier Australii czy królowa. Musisz mi uwierzyć! — prosiła Mary. — Musisz, bo jeśli nie, to przestaniemy być przyjaciółmi. Nie będziemy mogli się widywać. Nie wolno nam przytulać się i całować, bo w oczach Boga to grzech. Ty jesteś jeszcze młody i na dodatek niepełny funciak, a ja jestem starzejącą się, wszystko wiedzącą kobietą i na dodatek mam tyle lat, że mogłabym być twoją matką.

— Ale co to ma wspólnego z tym, co robiliśmy?

— Bóg nie chce, żebyśmy się przytulali i całowali, ponieważ jest między nami duża różnica wieku i duża różnica w sposobie myślenia. To wszystko.

Lubię cię, lubię cię bardziej niż kogokolwiek na świecie, ale nie mogę cię przytulać i całować. Nie wolno mi tego robić. Jeśli będziesz próbował znowu mnie pocałować, Bóg sprawi, że nie będziemy mogli się spotykać, a ja nie chcę przestać spotykać się z tobą!

Tim westchnął, smutny i zrezygnowany.

— Mary, ja naprawdę bardzo to polubiłem, ale wolę spotykać się z tobą, niż raz cię pocałować i już nigdy nie widzieć.

Mary, uspokojona, klasnęła w dłonie.

— Tim, jestem z ciebie taka dumna! Powiedziałeś to jak prawdziwy mężczyzna, jak prawdziwy pełny funciak!

Tim, uszczęśliwiony, roześmiał się.

— Wciąż myślę, że to nie jest w porządku, ale bardzo lubię, kiedy jesteś ze mnie dumna!

— Czy teraz, kiedy wiesz już wszystko, jesteś szczęśliwszy?

— Dużo szczęśliwszy! — usiadł pod drzewem i wskazał miejsce obok siebie. — Usiądź, Mary, obiecuję, że nie będę cię całował.

Mary kucnęła obok i wzięła go za rękę, z uczuciem dotykając jego palców.

— To wszystko, na co możemy sobie pozwolić. Wiem, że nie pocałujesz mnie, i wierzę, że dotrzymasz obietnicy, ale mam do ciebie jeszcze jedną prośbę.

— Jaką? — spytał Tim podkładając sobie wolną rękę pod udo.

— Nie możesz nikomu powiedzieć, co się stało, dobrze? Ten pocałunek musi zostać naszą tajemnicą.

— Dobrze — przytaknął posłusznie.

Znów był małym, grzecznym, chłopcem, zadowolonym, że może coś dla niej zrobić. Ale kiedy spojrzał, w jego ogromnych, niebieskich oczach było tyle oddania i miłości, że Mary poczuła słabość. Tak, on ma rację, to nie jest w porządku! Nie jest w porządku!

— Mary, powiedziałaś mi, że tato chciałby usnąć razem z mamą, tam pod ziemią. Teraz wiem, co to znaczy. Gdybyś ty umarła, ja też chciałbym umrzeć, nie chciałbym chodzić, oddychać, śmiać się i płakać. Chciałbym spać obok ciebie pod ziemią. Nie chciałbym, żeby tato od nas odszedł, ale teraz wiem, dlaczego chce odejść. Mary uniosła jego dłoń i przytuliła do swego policzka.

— Zawsze łatwiej jest zrozumieć innych, jeśli sami znajdziemy się w takiej samej sytuacji. Posłuchaj, Tim, zdaje się, że tato nas woła. Czy będziesz umiał rozmawiać z nim i nie płakać?

Przytaknął energicznie.

— Oczywiście, wszystko będzie w porządku! Strasznie lubię tatę. Zaraz po tobie jego lubię najbardziej. Ale on należy do mamy, prawda? Ja należę do ciebie i dlatego już się tak bardzo nie boję. Teraz jestem twój, Mary. To nie grzech, prawda?

Mary kiwnęła głową.

— Nie, Tim, to nie grzech.

Głos Rona słyhać było coraz bliżej. Mary krzyknęła, dając znać, że go słyszą, po czym wstała i czekała, aż się pojawi.

— Mary?

— Tak?

Tim ciągle siedział na ziemi i patrzył na nią z coraz większym zrozumieniem.

— Pomyślałem o czymś! Pamiętasz ten dzień, kiedy umarła mama? Kiedy przyjechałaś po mnie do domu?

— Tak, oczywiście, pamiętam!

— Wtedy Dawnie mówiła do ciebie coś okropnego, coś przykrego, a ja nie wiedziałem, dlaczego tak się tym przejęłaś. Staralem się zrozumieć, dlaczego jest na ciebie taka zła, ale nic z tego nie wychodziło. Kiedy krzyczała na ciebie, pomyślałem, że ona uważa, że my robimy coś złego. Teraz chyba wiem, o co jej chodziło! Czy ona myślała, że my się całujemy?

— O czymś podobnym, Tim. Tim zamyślił się na chwilę.

— W takim razie wierzę ci, Mary, że nie wolno nam się całować. Nigdy przedtem nie widziałem Dawnie w takim stanie i nigdy przedtem nie była dla mnie i dla taty taka nieprzyjemna. W parę tygodni po tej rozmowie pokłóciła się strasznie z tatą o mój wyjazd do ciebie, a potem przestała do nas przychodzić. Dlatego wierzę ci, że to grzech, i Dawnie też tak myśli. Ale dlaczego ona myśli, że my się przez cały czas całujemy? Ona nie miała racji, Mary, bo ty zawsze byłaś dla mnie taka dobra i nigdy nie zrobiłaś nic złego.

— Tak, ja też uważam, że ona nie miała racji, ale ludzie czasami są zbyt zdenerwowani, żeby mogli właściwie myśleć, a poza tym ona знаła mnie znacznie mniej niż ty i twoi rodzice.

Tim popatrzył na Mary z pewnego rodzaju mądrością w oczach.

— Ale tato poparł ciebie, a przecież on też wcale cię nie znał. Zza drzew wyłonił się zdyszany Ron.

— Wszystko w porządku, Mary?

Uśmiechnęła się i mrugnęła porozumiewawczo do Tima.

— Tak, Ron, wszystko w porządku. Porozmawiałam z Timem i wyjaśniłam mu parę spraw. Wszystko było spowodowane małym nieporozumieniem. Nic się nie stało, daję słowo.

RS

Rozdział dwudziesty trzeci

A jednak coś się stało. Ziarno zostało rzucone. Mary była zadowolona z tego, że Ron przyjmował wszystko z rezygnacją i apatią. Gdyby bowiem było inaczej, z łatwością zauważyłby zmiany, jakie zaszły w Timie. Ale on był szczęśliwy, że jego stosunki z synem wróciły do normy i życie znowu jest wypełnione humorem i zabawą. Nic więcej go nie obchodziło. Mary jednak wiedziała, że Tim cierpi. Nieraz w ciągu dnia patrzył na nią z pożądaniem i złością. Kiedy tylko przyłapywała go na tym, natychmiast wychodził z pokoju, pełen poczucia winy i zmieszania.

Dlaczego wszystko musi się zmienić? — pytała Mary samą siebie. — Dlaczego coś, co jest doskonałe, nie może takie pozostać? Jedyne tego wytłumaczenie znajdowała w charakterze ludzkiej natury — jej słabościach i skomplikowaniu. Tak to już jest, że nic nie trwa w tej samej formie. Wydaje nam się, że się powtarza, ale nigdy przecież nie jest takie samo jak przedtem. A więc nie było już i powrotu do dawnej ich przyjaźni. Teraz mogli albo iść dalej, albo wrócić do przeszłości. Niestety, żadna z tych możliwości nie wydawała się ani dobra, ani wykonalna. Gdyby Tim był normalnym mężczyzną, Mary mogłaby próbować, ale w jego wypadku powrót do przeszłości mógłby jedynie sprawić, że cierpiałby jeszcze bardziej.

Patowa sytuacja — myślała ze zmartwieniem. Nie, nie patowa, to za słabe określenie. Impas — to o wiele właściwsze. Przez chwilę przyszło jej do głowy, żeby porozmawiać z Archie Johnsonem, ale szybko zrezygnowała z tego pomysłu. Archie to bardzo mądry i sympatyczny mężczyzna, ale nie zrozumiałby wszystkich subtelności tej sytuacji. A może Emily Parker? Przecież ona od samego początku wiedziała o związku Tima i Mary. Coś w niej jednak protestowało przeciwko zwierzeniu się tej poczciwej starszej pani, która była uosobieniem matriarchalnej postawy. W końcu zadzwoniła do Johna Martinsona, który uczył dzieci upośledzone umysłowo. John natychmiast przypomniał ją sobie.

— Często zastanawiałem się, co się z panią dzieje, panno Horton — mówił. — Jak pani sprawy?

— Nie najlepiej, panie Martinson. Muszę o nich z kimś porozmawiać, bardzo tego potrzebuję. Pan jest jedyną osobą, której mogłabym o tym opowiedzieć. Bardzo przepraszam, że zaprzętam panu głowę, ale nie wiem, co robić, bardzo potrzebuję fachowej pomocy. Czy mogłabym przyjechać do pana z Timem?

— Oczywiście! Czy możecie przyjechać jutro wieczorem do mnie do domu?

Mary zapisała adres, a potem zadzwoniła do Melville'ów.

— Dobry wieczór, Ron, mówi Mary.

— Dobry wieczór, kochanie, czy coś się stało?

— Nie, po prostu chciałam zapytać, czy nie miałbyś nic przeciwko temu, żebym zabrała Tima na spotkanie z pewnym znajomym. Jutro wieczorem.

— Nie widzę przeszkód, a kto to jest?

— Nauczyciel ze szkoły specjalnej, wspaniały człowiek. Wydaje mi się, że on zdołałby określić, na jakim poziomie jest Tim, i mógłby ustalić mu program nauki.

— Godzę się na wszystko, co uznasz za stosowne, Mary. W takim razie do zobaczenia jutro wieczorem.

— Świetnie, ale proszę cię, nie mów za dużo Timowi o tym spotkaniu. Chciałabym, żeby to była dla niego niespodzianka.

— Oczywiście, Mary. Trzymaj się, kochanie.

John Martinson mieszkał w pobliżu szkoły, w miejscowości położonej u stóp Gór Niebieskich, niedaleko Penrith. Tim, obeznany już z drogą na północ od Sydney, cieszył się z wyprawy w innym kierunku. Post Road, prowadząca do autostrady Great Western, oczarowała go blaskiem i światłami salonów samochodowych, całonocnych barów i moteli.

Dom Martinsona, duży, ale skromny, zbudowany z drewnianych płyt pomalowanych na blad różowy kolor, rozbrzmiewał dziecięcym gwarem.

— Chodźmy od razu na tylną werandę — powiedział John otwierając drzwi. — Przerobiłem ją na gabinet, tam nikt nie będzie nam przeszkadzał.

Przedstawił gości żonie i trojgu najstarszym dzieciom, po czym przeszli do tylnej części domu.

John Martinson patrzył na Tima z zaciekawieniem i życzliwym podziwem. Kiedy weszli do pokoju, poczęstował go piwem, sam też wziął butelkę. Popijali piwo, wygodnie usadowiwszy się w ogromnych fotelach. Mary nie odzywała się ani słowem, podczas gdy mężczyźni rozmawiali swobodnie i bez skrepowania. Tim od razu poczuł sympatię do Johna, odprężył się i chętnie opowiadał o letnim domku, ogrodzie i o pracy u Mary. Oczywiście nie zdawał sobie sprawy, że rozmawia ze znawcą upośledzonych natur.

— Lubisz oglądać westerny w telewizji, Tim? — zapytał John po pewnym czasie.

— O, tak! Przepadam!

— To świetnie, bo chciałbym teraz pogadać z panną Horton, a nie sądzę, by ta rozmowa ciebie interesowała. Za kilka minut w telewizji zaczyna się znakomity western, może więc przejdiesz do pokoju telewizyjnego, a przy okazji poznasz resztę moich dzieciaków.

Tim, zadowolony, ruszył za gospodarzem. A gdy ten wrócił do gabinetu, Mary usłyszała śmiech Tima dochodzący z dalszej części domu.

— Proszę się nie obawiać, panno Horton, moja rodzina jest przyzwyczajona do takich ludzi jak Tim.

— Ja się wcale nie obawiam.

— W takim razie przejdźmy do rzeczy, panno Horton. A czy moglibyśmy mówić sobie po imieniu?

— Tak, oczywiście.

— Teraz rozumiem, dlaczego mówiłaś, że w pewien sposób Tim jest niezwykły. Nawet w filmach nie widziałem przystojniejszego mężczyzny. — John roześmiał się, spoglądając na własne, zbyt chude ciało. — Jego wygląd uświadomił mi, że ważę co najmniej czterdzieści kilo za mało.

— Ale chyba nie powiesz, że to okropne, aby ktoś z takim wyglądem był niedorozwinięty umysłowo.

— Dlaczego miałbym to powiedzieć? — John robił wrażenie zaskoczonego. — Wielu z nas rodzi się z czymś pięknym i czymś brzydkim. Przyznaję, że ciało Tima jest wspaniałe, ale czy nie uważasz, że prawdziwe, zapierające dech w piersiach piękno pochodzi przede wszystkim z duszy?

— Masz rację — odpowiedziała Mary z wdzięcznością.

— Tim jest bardzo dobrym człowiekiem, to mogę powiedzieć od razu — zaczął John. — Jest nawet wzruszająco dobry... Czy chcesz, żebym załatwił mu badania specjalistyczne?

— Nie, nie po to przyjechałam. Sprowadziły mnie tu okoliczności, które stawiają mnie w kłopotliwym położeniu, a ja nie wiem, co powinnam zrobić. Czuję się okropnie, bo bez względu na to, jaką podejmę decyzję, wyrządę Timowi krzywdę, nawet dużą krzywdę.

Ciemnoniebieskie oczy Johna z uwagą wpatrywały się w Mary.

— To brzmi niepokojąco. Co się takiego wydarzyło?

— Wszystko zaczęło się od śmierci matki Tima, dziewięć miesięcy temu. Jego matka miała siedemdziesiąt lat. Ron, ojciec, jest w tym samym wieku.

— Rozumiem, tak mi się przynajmniej wydaje. Tim tęskni za nią?

— Nie, nie za bardzo. To jego ojciec naprawdę tęskni. Bardzo tęskni. Odnoszę wrażenie, że po prostu nie chce żyć. To dobry człowiek, ale ze

śmiercią żony zawałił mu się świat. Widzę, jak się zatracą. On sam zdaje sobie z tego sprawę, powiedział mi to kilka dni temu.

— A kiedy umrze, Tim zostanie zupełnie sam?

— Tak.

— Czy Tim wie o tym?

— Tak, musiałam mu powiedzieć. Przyjął to nad wyraz spokojnie.

— A czy ma jakieś zabezpieczenie finansowe?

— Nawet niemałe! Rodzice odkładali na niego wszystkie oszczędności.

— W takim razie jakim cudem ty jesteś w to zamieszana?

— Ojciec spytał mnie, czy zechcę opiekować się Timem po jego śmierci, a ja się zgodziłam.

— Czy zdajesz sobie sprawę, jaki to kłopot?

— Och, tak. Pojawiły się jednak nieprzewidziane komplikacje. — Mary spuściła wzrok i spojrzała na swoje dłonie. — Jak to będzie, gdy zamieszka u mnie?

— Chodzi o to, co ludzie powiedzą, tak?

— W pewnym stopniu, ale gdyby tylko o to chodziło, poradziłabym sobie z konsekwencjami. Nie mogę Tima adoptować, już od dawna jest pełnoletni, ale Ron przekazał mi całkowite upoważnienie do prowadzenia wszystkich jego spraw... Mam wystarczająco dużo własnych pieniędzy, nie potrzebuję oszczędności Tima.

— O co więc chodzi?

— Tim od razu bardzo się do mnie przywiązał, nie wiem nawet dlaczego... To było dziwne... Polubił mnie od samego początku, jakby zobaczył we mnie coś, z czego ja sama nie zdawałam sobie sprawy. Od naszego poznania minęły prawie dwa lata... Początkowo wszystko było bardzo proste. Byliśmy przyjaciółmi, dobrymi przyjaciółmi. Kiedy umarła jego matka, poznałam resztę rodziny. Siostra Tima, Dawnie, bardzo mądra i bardzo mu oddana, zarzuciła mi zupełnie nieprawdziwe i podle motywy tej przyjaźni. Sugerowała, że jestem kochanką Tima, że wykorzystuję jego niedorozwój umysłowy, płacąc za to ojcu i sprowadzając chłopaka na manowce.

— To musiał być dla ciebie szok, prawda?

— Tak. Byłam przerażona, bo to są same kłamstwa. Tim był przy tym i słyszał każde słowo, ale szczęśliwie niczego nie zrozumiał. Ale ja... Ona zepsuła wszystko. Ojciec Tima trzymał moją stronę. Czy to nie dziwne? Nie uwierzył w ani jedno jej słowo, więc nie powinnam się była przejmować i nie powinnam była dopuścić, żeby te oskarżenia miały wpływ na mój stosunek do

Tima. Ale tak się nie stało. Może podświadomie, a może świadomie coś we mnie pękło. Trudniej mi po tym być sobą w jego obecności. A do tego wszystkiego z ogromnym współczuciem patrzyłam na Rona. I dlatego zaczęłam go zapraszać na wspólne weekendy ze mną i Timem. Trwało to z sześć miesięcy. Tim bardzo się zmienił w tym czasie. Spoważniał, stawał się coraz bardziej zamknięty i żadne z nas nie mogło nawiązać z nim kontaktu. Okropnie się tym martwiliśmy. Aż któregoś ranka wszystko się wyjaśniło. Wybuchła awantura i okazało się, że Tim jest zazdrosny o ojca. Był przekonany, że zajął jego miejsce i odebrał mu moje uczucia. Właśnie dlatego musiałam mu powiedzieć o stanie ojca.

— I co dalej? — z naciskiem zapytał John, widząc, że Mary się waha.

Wychylił się w jej kierunku nie odrywając wzroku. W przedziwny sposób jego szczególne zainteresowanie dodało Mary odwagi do kontynuacji opowiadania.

— Tim był bardzo szczęśliwy, kiedy dowiedział się, że moje uczucia się nie zmieniły, że ciągle bardzo go lubię. „Lubię” to jemu właściwe słowo. Tim powie, że „kocham” ciasto, westerny w telewizji czy pudding owocowy, ale gdy ma na myśli ludzi szczególnie mu bliskich, zawsze mówi „lubię”. Jego umysł jest taki czysty i bezpośredni, że przyjmuje dosłowne znaczenie słów. „Kocham” łączy się dla niego z czymś niezrozumiałym, ale przyjemnym, często słyszy przecież w telewizji: „kocham, kocham”. Ale „lubię” to coś zupełnie innego, lubić można to, co się rozumie, zna i... kocha.

Trzęsły się jej ręce. Chcąc nad tym zapanować, ścisnęła je i położyła na kolanach.

— W tym czasie, kiedy wydawało mu się, że Rona lubię bardziej od niego, pracował jak szalony w ogrodzie, chcąc w ten sposób udowodnić, że jego sympatia do mnie nie zmieniła się ani nie wygasła. Rozwiązanie podsunęła mu telewizja. Z niej się dowiedział, że jeśli mężczyzna lubi kobietę, okazuje to pocałunkiem. Nie bez znaczenia był fakt, że zwykle po takiej scenie następuje happy end... Właściwie to wszystko moja wina. Gdybym bardziej znała życie, nie doszłoby do tego, ale ja, tępa, nie umiałam w porę zareagować. Idiotka! Tim zarzucił mi, że bardziej lubię Rona niż jego. Musiałam mu wyjaśnić, dlaczego tak dużo czasu poświęcam Ronowi. Tim przyjął to załamany. Zresztą oboje byliśmy w nie najlepszej formie, zmartwieni i napięci. Kiedy zrozumiał, że wciąż lubię go bardziej niż Rona, i zanim zdałam sobie sprawę z czegokolwiek, było już za późno. — Mary

patrzyła na Johna z błaganem w oczach. — Nie wiedziałam, co robić, ale podświadomie czułam, że odrzucenie będzie dla niego upokarzające.

— Rozumiem cię, Mary — powiedział John łagodnie. — Domyślam się, że odpowiedziałas na jego pieszczotę.

Mary zaczerwieniła się, zakłopotana, ale zdołała opanować się na tyle, żeby mówić dalej normalnym głosem.

— Tak. Wydawało mi się, że to najlepsze wyjście, musiałam go zapewnić o moich uczuciach, uznałam to za najważniejsze, nie mogłam go odepchnąć. A poza tym... Poza tym sama tego pragnęłam... I nic na to nie mogłam poradzić. Tim pocałował mnie, ale dzięki Bogu usłyszeliśmy zbliżającego się Rona i to pozwoliło mi odsunąć się od niego.

— Jak Tim zareagował na pocałunek?

— Nie tak, jak to sobie wyobrażałam. Był uradowany i bardzo pobudzony. Odnoszę wrażenie, że od tamtej chwili patrzy na mnie zupełnie inaczej, że ma ochotę powtórzyć tamto doznanie. Wyjaśniłam mu, że źle postąpiliśmy, że nie wolno nam było tego robić, że chociaż zdarza się to między ludźmi, między nim a mną nie może tak być, i on zrozumiał to na swój sposób. Z pewnością dotarło do niego, że nie wolno, i pogodził się z tym bez słowa. I to się nigdy więcej nie powtórzyło, i nie powtórzy w przyszłości.

Nagły głośny śmiech, który dobiegł z wnętrza domu, przerwał relację Mary. Siedziała blada, milcząca, zaciskając ręce na torebce i bawiąc się jej zapęciem.

— Mów dalej — odezwał się John. — To nie powtórzyło się więcej i nie powtórzy w przyszłości — pomógł jej nawiązać przerwany wątek.

— Dla Tima było to jakby otwarcie drzwi do zupełnie nowego świata i jednocześnie ich zatrzaśnięcie. Ale on teraz wie, że ten nowy, piękny świat istnieje. A ja nie wiem, jak mu pomóc. On nigdy już nie powtórzy tamtego doświadczenia, ale też nigdy o nim nie zapomni. Ron nie rozmawiał z nim o fizycznych potrzebach człowieka, a Tim, nieświadomy, że one istnieją, nigdy o nie nie pytał. Teraz wie i ta świadomość męczy go bezlitośnie.

— Oczywiście — John westchnął. — To było nie do uniknięcia, Mary.

Mary patrzyła ponad ramieniem Johna na małego pajaka zsuwającego się po ścianie. Nie była w stanie spojrzeć w oczy Johnowi.

— Nie muszę ci chyba mówić, że nie mogłam powiedzieć o tym Ronowi, ale od tamtej pory wszystko się zmieniło. Jak mogłabym mieszkać z Timem, kiedy Ron od nas odejdzie? Gdyby Ron wiedział o wszystkim, nigdy nie poprosiłby mnie o to. Nie mogę zabrać Tima do siebie! Oszalałabym! Teraz

jakoś sobie z nim radzę, ale to tylko dwa dni w tygodniu, a poza tym jest z nami Ron. Nie wiem, jak by się wszystko ułożyło, gdybyśmy zamieszkali razem. Och, John, nie wiem doprawdy, co robić. Gdyby istniała najmniejsza szansa, że Tim zapomni o tym, co się stało, znalazłabym w sobie dość siły, ale on nie zapomni. Czasami widzę, jak na mnie patrzy... Tim nie jest jednym z tych głupiutkich stworzeń, które błyskawicznie zapominają, dokładnie zapamiętuje to, co zrobiło na nim duże wrażenie. Za każdym razem, kiedy patrzy na mnie, wszystko mu się przypomina i nie potrafi tego ukryć. Podświadomie czuje, że to nie może się już powtórzyć. Tak naprawdę nie zrozumie dlaczego, i bez przerwy będzie się czuł pokrzywdzony, będzie nosił w sobie żal, będzie zły z tego powodu.

— Myślałaś już o jakimś rozwiązaniu tego problemu?

— Zastanawiałam się, czy są pensjonaty dla ludzi samotnych, takich jak Tim, fizycznie dojrzałych, ale umysłowo na poziomie dziecka, gdzie mógłby mieszkać i mieć zapewnioną opiekę. Gdyby zamieszkał w takim domu, mogłabym widywać się z nim w weekendy. Wiem, że wtedy poradziłabym sobie.

— Czy nic innego nie przychodzi ci do głowy?

— Przestać się z nim widywać, ale czy mogłabym zdecydować się na coś takiego, John? Poza tym uważam, że to i tak nie pomogłoby mu zbliżyć się znowu do Dawnie. A może tylko mi się wydaje, że tyle dla niego znaczę? Może po prostu oszukuję samą siebie? Przecież to zupełnie prawdopodobne, że gdy zamieszka u Dawnie, zapomni o mnie. Nie mogę jednak pozbyć się uczucia, że w domu Dawnie Tim byłby piątym kołem u wozu. Dawnie ma teraz inne obowiązki i nie mogłaby poświęcić się Timowi w takim stopniu jak ja!

— Jest jeszcze jedno rozwiązanie, Mary.

— Naprawdę? — Mary wychyliła się z fotela. — Nawet nie wiesz, John, jak bardzo chciałabym usłyszeć od ciebie coś takiego!

— Dlaczego po prostu nie wyjdiesz za Tima?

Mary patrzyła na niego zaskoczona. Przez kilka sekund nie mogła wydobyć z siebie głosu.

— Chyba żartujesz! — powiedziała w końcu. Nagle fotel wydał się jej zbyt twardy i niewygodny. Wstała i przeszła się po pokoju.

Zatrzymała się przed Johnem. — Żartujesz?! — powtórzyła smutno. Tym razem zabrzmiało to jak pytanie.

Na biurku leżała fajka. John wziął ją do ręki i zaczął napełniać tytoniem — wolno i systematycznie, w skupieniu i z namysłem, jakby ta czynność pomagała mu w koncentracji i zachowaniu spokoju.

— Nie, nie żartuję, Mary. Moim zdaniem to jedyne sensowne rozwiązanie.

— Sensowne rozwiązanie? Matko Boska, John! To nie jest żadne rozwiązanie. Jak mogłabym poślubić niedorozwiniętego mężczyznę, który w dodatku jest ode mnie o tyle młodszy, że mogłabym być jego matką?! To prawie przestępstwo!

— Bzdury! — John nerwowo zaciągał się dymem z fajki, przygryzając cybuch. — Bądź rozsądna! Co innego możesz zrobić? Potrafię zrozumieć, że sama na to nie wpadłaś, ale skoro podsunąłem ci pomysł, nie możesz tak po prostu przejść nad nim do porządku! Niech to nawet będzie przestępstwo, skoro podoba ci się to określenie! Wyjdź za niego, Mary, wyjdź za niego!

— To w ogóle nie wchodzi w rachubę! — Mary trzęsała się ze złości.

— Dlaczego? Boisz się, co powiedzą ludzie?

— Wiesz, że to nieprawda! Nie mogę wyjść za Tima! To nonsensowny pomysł!

— Oczywiście, że możesz wyjść za niego!

— Nie, nie mogę! Mogłabym być jego matką, jestem starą, zgorzkniałą, wstrętną babą, kobietą dla niego nieodpowiednią!

John wstał, ujął Mary za ramiona i potrząsnął. Mary opanowała się.

— A teraz posłuchaj mnie, panno Horton! Jeżeli ty nie jesteś odpowiednia dla niego, to i on nie jest odpowiedni dla ciebie, rozumiesz?! Co to ma być — szlachetne poświęcenie się? Nie znoszę takiej szlachetności, przez nią ludzie są po prostu nieszczęśliwi! Powiedziałem już, że powinnaś wyjść za Tima, i nadal tak uważam! Chcesz wiedzieć dlaczego?

— Oczywiście!

— Bo oboje nie potraficie żyć bez siebie, dlatego! Dobry Boże, kobieto, przecież to widać na kilometr, że masz bzika na jego punkcie, a on na twoim! To żadna platoniczna przyjaźń i nigdy taka nie była! Co się stanie, jeśli zdecydujesz się go nie widywać?! Tim prawdopodobnie przeżyje ojca o jakieś parę miesięcy, a ty przez resztę życia będziesz cieniem samej siebie. Świat straci dla ciebie urok i każdego dnia po tysiąc razy będziesz się modliła o śmierć. O pensjonacie możesz zapomnieć — jest ich tak mało, że lista oczekujących jest obliczona na kilka lat. Tim nie będzie żył wystarczająco długo, żeby się tam dostać! Czy tego właśnie chcesz — zabić go?!

— Nie, nie! — Mary rozplakała się i sięgnęła do torebki po chustkę do nosa.

— Posłuchaj mnie! Nie wolno ci myśleć o sobie jak o zgorzkniałej staruszce, nawet gdyby to była prawda! Moim zdaniem nikt nie wie, co widzi w nim druga osoba. Cokolwiek o sobie myślisz, Tim widzi cię zupełnie inaczej. Jesteś dla niego osobą godną pożądania. I dziękuj za to Bogu! Dlaczego myślisz o zrezygnowaniu z tego wszystkiego? Z powodu dumy? Chcesz się poświęcić? To nie ma sensu! A może obawiasz się, że on szybko znudzi się tobą, że przestaniesz go interesować? Zastanów się! On nie jest przystojnym, wyrafinowanym światowcem, to biedne, głupiutkie stworzenie, wierne i nieskomplikowane jak pies. Ach! Nie podoba ci się, że tak o nim mówię?! Dobrze, teraz nie ma już powodu, żeby posługiwać się eufemizmami czy tworzyć iluzje. Mary Horton, nadeszła pora na prawdę, nagą, niczym nie zabarwioną prawdę. Nie obchodzi mnie, dlaczego Tim czuje do ciebie to, co czuje, interesuje mnie tylko sam fakt, że on cię kocha. On cię kocha, Mary! Nawet jeśli to nieprawdopodobne, pozornie niemożliwe czy niewytłumaczalne. I nie wiem, jak w ogóle mogłaś wpaść na pomysł odrzucenia jego miłości?!

— Niczego nie rozumiesz! — Mary płakała głośno z twarzą ukrytą w dłoniach.

— Och, rozumiem znacznie więcej, niż ci się wydaje, Mary — powiedział John już łagodniej. — Tim cię kocha, po prostu kocha. Z niewiadomych powodów wybrał właśnie ciebie i nic już tego nie zmieni. Przez najbliższe dziesięć lat nie znudzi się tym uczuciem, nie zubożniejesz mu, nie rzuci cię dla młodszej, ładniejszej. Na twoich pieniądzech zależy mu równie mało jak jego ojcu. Nie masz się czym przejmować, nie zbrzydnie przez ten czas, a poza tym jego urody starczy dla was dwojga.

Mary uniosła głowę i spróbowała się uśmiechnąć.

— Niewielu ludzi potrafi zdobyć się na powiedzenie prawdy.

— Muszę mówić prawdę, ale na razie to dopiero jej połowa. Nie staraj się zaprzeczać i przyznaj, że nieraz myślałaś o tym, że ty też go kochasz.

— Myślałam — przyznała Mary niechętnie.

— Kiedy? Ostatnio?

— Dawno temu, zanim umarła jego matka. Pewnego wieczora powiedział mi, że wyglądam jak święta Teresa z obrazka, a we mnie jakby piorun strzelił. Oczywiście, pokochałam go od pierwszego wejrzenia, ale nie chciałam się przyznać do tego nawet przed samą sobą.

— A teraz boisz się, że on może ci się wkrótce znudzić?

— Tim? Mnie? Nie, absolutnie nie!

— To dlaczego nie chcesz wyjść za niego?

— Bo mogłabym być jego matką, a poza tym on jest taki piękny!

— To za mało, Mary! Te wszystkie bzdury dotyczące wyglądu możesz sobie darować. Nie zamierzam dyskutować z tobą na ten temat. A co do wieku — pamiętaj o jednym — nie jesteś jego matką, Mary! Sama nie czujesz się jak jego matka i on też nie myśli o tobie w tych kategoriach! Przyznaję, nie jest to zwykła sytuacja, bo przecież nie chodzi o dwoje normalnych, dojrzałych ludzi. Różnica wieku może rzucać cień na prawdziwość emocjonalnych więzi. Ale ty i Tim jesteście unikatową parą w historii ludzkości. Mam na myśli nie historyjki o starych pannach po czterdziestce, wychodzących za mąż za znacznie od nich młodszych kawalerów, i to młodszych o tyle lat, że mogłyby być ich matkami, czy sytuacje, kiedy w grę wchodzi ludzie upośledzeni umysłowo. Myślę po prostu, że ty i Tim jesteście nietypową parą z każdego punktu widzenia.

I dlatego właśnie uważam, że powinnaś pogodzić się z tą niezwykłością. Was dwoje łączy tylko miłość. A różni wiek, uroda, inteligencja, status społeczny, zamożność, pochodzenie, temperament i tysiące innych rzeczy. Mam je wymienić? Wasze uczucie jest prawdziwe, wystarczająco prawdziwe, żeby poradzić sobie z tymi wszystkimi różnicami. I nie ma na świecie człowieka, łącznie z tobą, który potrafiłby wytłumaczyć, na jakiej zasadzie tak dobrze do siebie pasujecie. Pogódź się z tym! Dlatego proszę cię, Mary, wyjdź za niego! Oczywiście, będziesz musiała przejść przez piekło plotek, obmowy, drwin, podłości, na jaką stać ludzi, ale to nie ma chyba wielkiego znaczenia, prawda? Zresztą nie byłoby to dla ciebie nic nowego. Dlaczego nie dać plotkarom czegoś, o czym naprawdę mogłyby sobie pogadać? Wyjdź za Tima!

— To... to nie wypada, a poza tym jest nieprzyzwoite!

— I tak właśnie wszyscy myślą już teraz!

— Nie obchodzi mnie, co powiedzą inni ludzie, dla mnie najważniejsze jest, jak zareaguje Tim, jakie to będzie miało znaczenie dla niego, jak ludzie będą go traktowali po ślubie ze mną!

John Martinson wzruszył ramionami.

— Znacznie lepiej zniesie obmowę niż samotność, tego możesz być pewna.

Mary siedziała z rękami złożonymi na kolanach. John ujął jej dłonie w swoje ręce bardzo mocno. Oczy mu błyszczały.

— Zastanów się może nad tym, dlaczego Tim miałby się nie ożenić? Dlaczego? Możesz zaprzeczać, że myślisz o nim jak o normalnym mężczyźnie, ale nie zgodzę się z tobą. Jedyne raz, kiedy był dla ciebie normalnym mężczyzną, śmiertelnie cię przeraził, prawda? A to dlatego, że popełniłaś błąd, zresztą typowy prawie dla wszystkich, którzy mają do czynienia z ludźmi upośledzonymi umysłowo. W twojej świadomości Tim jest zakodowany jako dziecko. Ale on nie jest dzieckiem, Mary! Opóźnieni w rozwoju dojrzejają fizycznie zupełnie tak samo jak ludzie normalni,

1 zmieniają się wraz z osiąganym poziomem dojrzałości. Tim także wychodzi z poziomu dziecięcego, chociaż jest to w dużym stopniu ograniczone jego niedomogami. Jest dorosłym mężczyzną, ma wszystkie atrybuty dojrzałego mężczyzny i normalnie funkcjonujące hormony. Gdyby miał niesprawną nogę, chodziłby używając kul. Jego mózg, nie w pełni sprawny, czyni z niego umysłowego inwalidę, co nie przeszkadza mu być mężczyzną, tak jak nie przeszkadzały mu w tym niezupełnie sprawna noga.

Dlaczego Tim miałby przejść przez życie bez możliwości zaspokojenia jednej z najsilniejszych potrzeb ciała i duszy, której istnienie jego ciało i dusza zaledwie przeczuwają? Dlaczego odmawia mu się prawa do bycia mężczyzną? Dlaczego każe się zapomnieć o potrzebach ciała? Och, Mary, i tak wiele rzeczy jest dla niego nieosiągalnych! Wiele! Dlaczego zatem pozbawiać go jeszcze i tego, w imię czego?! Uszanuj w nim mężczyznę, Mary. Wyjdź za niego!

— Tak, rozumiem. — Mary, zamyślona, zamilkła na chwilę. — Dobrze, skoro uważasz, że to najlepsze rozwiązanie, wyjdę za niego.

— Grzeczna dziewczynka! — na twarzy Johna pojawiła się ulga.

— Oboje zyskacie znacznie więcej, niż mogłabyś się spodziewać. Mary zmarszczyła czoło.

— Nie będzie to jednak takie proste!

— Myślisz o jego ojcu?

— Nie, on chyba będzie zadowolony, ale pewnie tylko on. Tim i ja jesteśmy jednakowo niedoświadczeni w tych sprawach i obawiam się, że nie poradzę sobie ze wszystkimi problemami.

— Niepotrzebnie się martwisz. W ogóle za dużo myślisz. Jesteś przyzwyczajona do radzenia sobie z problemami, które z czasem jakby same się rozwiązują. Wydaje mi się, że i z potrzebami Tima świetnie dasz sobie radę.

Mary siłą woli opanowała się.

— Pewnie nie powinniśmy mieć dzieci. Mam rację?

— Tak, nie powinniście, chociaż niedostatki Tima nie są dziedziczne i prawdopodobieństwo przekazania przez niego zaburzonego genotypu jest niewielkie. Chodzi raczej o ciebie. Jesteś w wieku dużego ryzyka. Szanse na to, że dożyjesz lat, kiedy twoje dzieci będą dorosłe, są niewielkie, a poziom umysłowy Tima wyklucza przecież wypełnianie roli opiekuna, gdyby tobie coś się przydarzyło. Jesteś trochę starsza od jego matki, gdy zaszła w ciążę, więc nie można wykluczyć, że powtórzysz jej błąd, a to byłaby ironia losu. Ujmując rzecz statystycznie: jeśli kobieta po raz pierwszy spodziewa się dziecka w wieku powyżej trzydziestu pięciu lat, jej szanse na urodzenie normalnego potomka znacznie maleją, jeśli i ojciec jest dobrze po trzydziestce, szanse są jeszcze mniejsze.

— Wiem.

— Czy aż tak bardzo zależy ci na posiadaniu dzieci? Czułabyś się rozczarowana, gdybyście ich nie mieli?

— Nie! Jak mogłabym tak do tego podchodzić? Nie spodziewałam się, że w ogóle wyjdę za mąż, i szczerze mówiąc, nie zależało mi na tym. Tim to więcej, niż mogłabym się spodziewać od losu.

— Nie będzie ci łatwo.

— Wiem.

John odłożył fajkę i westchnął.

— Wiesz, że życzę ci jak najlepiej, Mary, chciałbym, żebyś była najszcześniejszą kobietą na świecie, ale wiele zależy od ciebie.

Mary wstała. W rękach trzymała torebkę i rękawiczki.

— Dziękuję ci, John, bardzo dziękuję. Zaciągnęłam u ciebie ogromny dług wdzięczności i daję ci słowo, że będę się starała ze wszystkich sił go spłacić.

— Nie masz za co dziękować. Świadomość, że Tim jest szczęśliwy, wystarczy mi za wszystkie podziękowania. Chciałbym tylko, żebyś zaglądała do mnie od czasu do czasu.

Tym razem, zamiast podrzucić Tima na Surf Street i jechać dalej, Mary weszła z nim do domu. Ron oglądał jakieś sprawozdanie sportowe w telewizji.

— Dobry wieczór, Mary! Nie spodziewałem się, że przyjdiesz, bo jest już dość późno.

Mary usiadła na sofie, podczas gdy Tim zajął się odłożeniem w dogodne miejsce jej torebki i rękawiczek.

— Chciałam z tobą porozmawiać, Ron. To ważna sprawa, a bałam się, że jeśli ją odłożę, zabraknie mi odwagi.

— I masz świętą rację, dziewczyno! Ale może najpierw wypijesz filiżankę herbaty i zjesz kawałek dobrego, świeżego biszkopta?

— Brzmi to zachęcająco — Mary spojrzała na Tima i uśmiechnęła się. — Pracujesz jutro, Tim?

Tim potakująco pokiwał głową.

— W takim razie powinieneś już iść spać. Nie gniewaj się, kochanie, ale chciałabym porozmawiać z twoim tatą. Obiecuję, że dowiesz się o wszystkim w czasie weekendu, dobrze?

— Dobrze. Dobranoc, Mary.

W swoim domu rodzinnym Tim nigdy nie prosił Mary, żeby go okryła.

Ron ustawił filiżanki i talerzyki na kuchennym stole. Nastawił wodę na herbatę i kątem oka spoglądał na Mary.

— Wyglądasz na bardzo zmęczoną — zauważył.

— Bo rzeczywiście jestem zmęczona. To był bardzo wyczerpujący wieczór.

— A co ten nauczyciel powiedział o Timie? Zastanawiając się, w jaki sposób przedstawić sprawę Ronowi,

Mary opuszką palca gładziła wyszczerbiony brzeg filiżanki. Kiedy po chwili spojrzała na Rona, widać było, że czuje się stara i zmęczona.

— Ron, muszę ci się do czegoś przyznać. Powód, dla którego zabrałam Tima do Johna Martinsona, był trochę inny niż ten, o którym ci mówiłam.

— Więc...

— Więc... — Palec Mary poruszał się po brzegu filiżanki. Opuściła wzrok, niezdolna do mówienia, kiedy patrzyły na nią błękitne oczy Rona, tak bardzo przypominające kształtem oczy Tima i jednocześnie tak bardzo różne w wyrazie.

— Strasznie trudno mi o tym mówić, bo zdaje mi się, że nigdy nie spodziewałbyś się czegoś takiego. Ron, czy kiedykolwiek zastanawiałeś się nad tym, co się stanie z Timem, kiedy ciebie zabraknie?

Czajnik, który Ron trzymał w rękach, zadrżał. Musiał postawić go na stole.

— To znaczy, że zmieniłaś zdanie?

— Nie, Ron, tego bym nie zrobiła, ale jeśli nie zaakceptujesz mojego pomysłu, to nie wiem, co będzie. Wiesz, że z Timem łączy mnie bardzo specjalna więź. Nie wiem dlaczego, ale ze wszystkich znanych mu osób mnie polubił najbardziej. Chyba się nie pomylę, jeśli powiem, że on mnie kocha.

— Nie, nie mylisz się, Mary. I dlatego właśnie chcę, żebyś z nim była, kiedy mnie już nie będzie.

— Ja też go kocham. Pokochałam Tima, kiedy go zobaczyłam po raz pierwszy. Stał wpatrzony w betoniarkę wylewającą cement na oleandry Emily Parker. Nie wiedziałam, że jest opóźniony w rozwoju, a kiedy się dowiedziałam, okazało się, że to niczego nie zmienia, przeciwnie, pokochałam go jeszcze mocniej. Przez dłuższy czas nie miało to dla mnie żadnego znaczenia, że on jest mężczyzną, a ja kobietą. Ty starałaś się trzymać go od takich spraw jak najdalej, prawda, Ron?

— Musiałem, Mary. Oboje z Es byliśmy już dość starzy i oboje świetnie wiedzieliśmy, że mamy niewielkie szanse, żeby czuwać nad Timem, kiedy dorośnie, dlatego często zastanawialiśmy się, co zrobić, kiedy był jeszcze mały, żeby ustrzec go przed problemami przyszłości. Bez nas, bez naszej opieki, a przy tym z taką wyjątkową urodą, łatwo mógłby wpakować się w jakieś kłopoty, gdyby wiedział, co można robić z kobietami. Wszystko początkowo było stosunkowo proste. Kiedy jednak zaczął pracować u Harry'ego Markhama, wiedziałem, że zaczęły się kłopoty. Poszedłem do Harry'ego i pogadałem z nim. Wyjaśniłem mu wszystko i prosiłem, żeby powstrzymał swoich robotników od opowiadania Timowi o pszczołkach i kwiatuśkach. Ostrzegłem, że jeśli wpakują go w jakieś kłopoty, zawiadomię policję i oskarżę ich o deprawację nieletniego, na dodatek upośledzonego umysłowo chłopaka. Przypuszczam, że moja prośba odniosła skutek, bo mężczyli chłopaka na różne sposoby, ale nie poruszali przy nim spraw seksu i oczywiście trzymali z dala od kobiet. Niedaleko od nas, na Coogee Bay Road, mieszka Bill Naismith i to zwykle on odprowadzał Tima do domu. Tak więc — lepiej czy gorzej — wszystko jakoś się układało. Mieliśmy sporo szczęścia. I chociaż zawsze istniało niebezpieczeństwo, że coś może się wydarzyć, dzięki Bogu nic takiego się nie stało. Mary poczuła, jak krew napływa jej do twarzy.

— Dlaczego tak bardzo ci na tym zależało, Ron? — spytała Mary starając się odsunąć chwilę, kiedy będzie musiała zacząć swoją opowieść.

— Es i ja nie mieliśmy wątpliwości, że Tim więcej ucierpi, niż skorzysta na zadawaniu się z kobietami i tym wszystkim, co łączy się z seksem. Oboje byliśmy zdania, że dla niego będzie najlepiej, jeśli w tych sprawach pozostanie ignorantem. Zawsze uważałem, że nie tęskni się za czymś, o czym się w ogóle nie wie, a poza tym Tim bardzo ciężko pracował, więc miał się

gdzie wylądować. Komuś z zewnątrz może się to wydawać okrutne, ale naszym zdaniem mieliśmy rację. A co ty o tym myślisz, Mary?

— Jestem przekonana, że chcieliście dla Tima jak najlepiej. Zresztą zawsze tak było.

Ron uznał odpowiedź za zbyt ogólnikową, zaczął więc tłumaczyć wszystko bardziej szczegółowo.

— Tim dorastał. W najbliższym otoczeniu na tej samej ulicy mieszkała dziewczynka też opóźniona w rozwoju. Niestety, jej kalectwo było poważniejsze niż kalectwo Tima i matka miała z nią mnóstwo kłopotów. Nazywaliśmy ją czteropensówką, bo bardzo dużo brakowało jej do pełnego funciaka. Na dodatek była bardzo brzydka. Zdarzyło się, że jakiś menel zainteresował się tym piętnastoletnim, pryszczatym tłustym stworzeniem. Niektórzy faceci są bardzo niewybredni. Dziewczyna zaszła w ciążę i od tamtej pory powtarzało się to rok w rok — rodziła potworki z bielkami na oczach, z zajęczymi wargami, aż w końcu zamknęli ją w zakładzie. Moim zdaniem, nie mamy porządnego prawa. Chodzi mi o aborcję. Nawet w zakładzie mieli z nią problemy, aż w końcu podwiązano jej jajowody. To właśnie jej matka radziła nam trzymać Tima jak najdalej od seksu i związanych z nim problemów.

Nie zwracając uwagi na potakiwania Mary, Ron wstał i zaczął chodzić po kuchni. Było widoczne, że ciągle jeszcze cierpi z powodu podjęcia takiej, a nie innej decyzji.

— Są oczywiście i faceci, i kobiety, dla których to, że dziecko jest opóźnione w rozwoju, nie ma najmniejszego znaczenia. Zależy im wyłącznie na przyjemności i w zasadzie są nawet zadowoleni, że urodziło im się takie dziecko, bo mają pewność, że nie będzie ich ścigało i męczyło, kiedy będą go mieli dość. Dlaczego niby mieliby się przejmować? Są przekonani, że takie dziecko nie czuje jak normalni ludzie. Kopią więc takie stworzenie jak psa, zadowoleni z siebie, bo dziecko, tak jak ten głupi pies, wróci pokornie po kolejne razy. Ale upośledzeni umysłowo, tacy jak Tim czy ta dziewczyna z sąsiedztwa, czują, wcale nie mają tak bardzo poprzestawiane pod sufitem. Zwłaszcza Tim. Dobry Jezu, przecież nawet zwierzęta czują! Nigdy nie zapomnę wydarzenia sprzed lat. Tim miał wtedy siedem czy osiem lat. Właśnie zaczął mówić... Któregoś dnia przyniósł do domu jakiegoś zapchlonego kociaka, a Es powiedziała, że może go zatrzymać. Nie czekaliśmy długo i z kociaka wyrosła spora kocica, która zaczęła podejrzenie tyć. Nie mieliśmy wątpliwości, że będzie miała małe. I tak się stało.

Wściekłem się, ale na szczęście dla mnie — tak wtedy myślałem — okociła się za piecem w naszej sypialni. Postanowiłem pozbyć się kociaków, zanim Tim dowie się o wszystkim. Żeby się do nich dostać, musiałem rozebrać piec bez mała do połowy. Nie mam pojęcia, jak ona tam weszła. Znalazłem ją w końcu całą pokrytą sadzami, zresztą kocięta wyglądały niewiele lepiej. Nade mną stała pochylona Es i zaśmiewała się do rozpuku, powtarzając, że dla czarnego kota to i tak nie ma znaczenia. Zabrałem małe, zaniósłem na podwórze z tyłu domu i utopiłem w wiadrze. I powiem ci szczerze, nigdy w życiu niczego bardziej nie żałowałem. Biedna kotka snuła się potem całymi dniami po domu mruczając i miaucząc. Ile razy mnie spotkała, patrzyła swoimi wielkimi, ufnymi zielonymi ślepiami, jakby prosiła, żebym odnalazł małe. Ona płakała, Mary, płakała prawdziwymi łzami. Płynęły jej po pyszczku, jakby była człowiekiem, rozpaczała jak matka. Nie przypuszczałem, że zwierzęta mogą płakać. Miałem ochotę włożyć własną głowę do piecyka gazowego. Es nie odzywała się do mnie przez tydzień, a Tim płakał razem z kotką, chociaż nie wiedział, dlaczego ona płacze.

Ron przysunął krzesło do stołu i położył ręce na blacie. W domu zapanowała cisza. Mary zamyśliła się. Nie dziwiła się już, że Ron znienawidził ten pusty dom, w którym słychać było jedynie tykanie kuchennego zegara.

— Sama rozumiesz, Mary, że skoro nawet kot potrafi czuć, to ktoś taki jak Tim czuje nieporównanie więcej, nie jest przecież z nim aż tak źle. Oczywiście nie przewróci świata do góry nogami swoimi pomysłami, ale ma serce. Wielkie, gorące serce przepełnione miłością. Gdyby zbliżył się do kobiety, musiałby ją kochać, a czy myślisz, że jakaś kobieta mogłaby pokochać Tima? Byłby tylko jakimś niewielkim dodatkiem do jej życia, a na to nie mógłbym się zgodzić. Tim jest bardzo piękny i ma rzeczywiście znakomicie ukształtowane ciało. Kobiety, ba!, nawet mężczyźni oglądają się za nim, od kiedy skończył dwanaście lat. Łatwo możesz sobie wyobrazić, co by się z nim stało, gdyby znudził się kobiecie. Patrzyłby na mnie zupełnie tak samo jak ta kotka — z wiarą, że mogę odnaleźć jego przyjaciółkę, i ze zdziwieniem, dlaczego tego nie robię.

Zapadła cisza. Gdzieś z oddali dobiegł ich odgłos zamykanych drzwi. Ron spojrział na Mary. Przypomniał sobie, że w domu jest Tim.

— Przepraszam cię na chwilę, Mary — powiedział.

Aż do jego powrotu Mary siedziała wsłuchana w tykanie starego zegara.

— Typowy Australijczyk z tego chłopaka — stwierdził po powrocie Ron. — Nie można go w nic ubrać, co jego zdaniem jest niepotrzebne. Łaził goły, jak go Pan Bóg stworzył. Ma takie przyzwyczajenie, że po wyjściu z łazienki, spod prysznic, chodzi po domu bez niczego, i dlatego pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli upewnię się, że tu nie przyjdzie. — Ron spojrzał ostro na Mary. — Mam nadzieję, że kiedy jest z tobą, zachowuje się przyzwoicie, nie robi takich numerów?

— Zachowuje się bardzo przyzwoicie — odpowiedziała zażenowana Mary. Ron znowu usiadł.

— Wiesz, Mary, moim zdaniem to naprawdę błogosławieństwo, że jesteśmy robociarzami. Znacznie trudniej byłoby go osłonić, gdyby na przykład przyszedł na świat wśród ludzi takich jak mąż Dawnie. Te cholerne snoby nie oszczędziłyby go. Są bardzo bezwzględni, i mężczyźni, i kobiety, chociaż może mężczyźni bardziej. Zamiast siedzieć w Seaside i popijać piwo z równymi facetami, przesiadywałyby w jakiejś eleganckiej knajpie otoczony znudzonymi kobietami, pięknymi jak wróżki z bajki. Dla nas, robotników, wszystko jest znacznie prostsze. I dzięki Bogu. Czarne jest czarne, a białe — białe i nie ma zbyt wiele miejsca na szarość. Mam nadzieję, Mary, że teraz już wszystko rozumiesz. Dlatego właśnie postępowaliśmy z Es tak, a nie inaczej.

— Rozumiem. Problem jednak polega na tym, że Tim został rozbudzony, najprawdopodobniej dzięki telewizji. Oglądał sceny miłosne i zdecydował, że to znakomity sposób okazania mi, jak bardzo mnie lubi.

— O, Boże! — Ron poderwał się gwałtownie. — Myślałem, że wystarczająco wystraszyłem go, że nie odważy się nawet o tym myśleć i nigdy nie spróbuje zbliżyć się do kobiety.

— Prawdopodobnie udało ci się go przestraszyć, ale wszystko wskazuje na to, że on nie widzi żadnego związku pomiędzy tym, co robi, a tym, przed czym go ostrzegałeś. Dla niego nie ma to nic wspólnego ze zmysłowością. Chciał po prostu okazać mi swoje uczucia, to wszystko. Ale, niestety, kiedy powiełał oglądane sceny, spodobało mu się to.

Ron był przerażony.

— Czy on cię zgwałcił, Mary?! Nie mogę w to uwierzyć!

— Oczywiście, że nie. Pocałował mnie, to wszystko. Niemniej, bardzo mu się to spodobało i od tamtej pory wciąż o tym myśli. Zdołałam przekonać go, że między nami coś takiego nie powinno mieć miejsca, ale on został rozbudzony. Ron, on jest rozbudzony! Zdarzyło się to tylko raz i nigdy nie pozwoliłabym, żeby się powtórzyło, ale ani ty, ani ja nie zdołamy wymazać

tego z jego pamięci. Co się stało, to się nie odstanie! Dopóki wszystko, co insynuowali Dawnie, Emily Parker i inni, nie było prawdą, mogłam nie zwracać na to uwagi, ale od kiedy Tim mnie pocałował, odchodzę od zmysłów zastanawiając się, jak sobie z nim poradzę, kiedy ciebie zabraknie?!

Ron odprężył się trochę.

— Wiem, o co ci chodzi — powiedział.

— Nie wiedziałam, do kogo się zwrócić, z kim o tym porozmawiać. I dlatego właśnie pojechaliśmy do Johna Martinsona. Chciałam, żeby poznał Tima, a potem powiedział mi szczerze, co o tym wszystkim myśli.

— Dlaczego po prostu nie porozmawiałaś ze mną, Mary? — spytał Ron urażony.

— Jak mogłam z tobą rozmawiać, Ron, jesteś przecież jego ojcem?! Zbyt mocno jesteś z nim związany, żebyś mógł być obiektywny. Rozmowa z tobą polegałaby na tym, że opowiedziałabym ci o wszystkim, co zaszło między mną a Timem, i ciągle nie wiedziałabym, jak rozwiązać całą sprawę. Ty też nie umiałbyś mi nic poradzić i pewnie oboje doszlibyśmy do wniosku, że najlepsze dla Tima będzie odseparowanie go ode mnie. Pojechałam do Johna Martinsona, bo on ma ogromne doświadczenie w pracy z ludźmi upośledzonymi umysłowo i naprawdę jest im bardzo oddany. Ze wszystkich ludzi, jakich znam, tylko on pomyślał najpierw o Timie, i tego właśnie potrzebowałam: kogoś, kto będzie myślał wyłącznie o Timie.

— W porządku, Mary. I co ci powiedział?

— Zaproponował mi rozwiązanie. I przekonał, że jest to jedyne i najmądrzejsze wyjście w tej sytuacji. Obiecałam mu, że przystanę na nie, ale dopiero po rozmowie z tobą. Ale szczerze mówiąc, teraz nie jestem już tego taka pewna jak wtedy, gdy z nim rozmawiałam.

— Cokolwiek byś powiedziała czy pomyślała, Mary, zapewne ja sam to już powiedziałem lub przemyślałem, wierz mi, i nic nie jest w stanie zaskoczyć mnie czy dotknąć.

Mary wstała, żeby nalać sobie herbaty. Czowała potrzebę zajęcia się czymkolwiek.

— Mam czterdzieści pięć lat, Ron, mogłabym być matką Tima. Jestem zwykłą, zaniedbaną kobietą, którą nie interesują się mężczyźni. Nie wiem, co Tim widzi we mnie, ale rzeczywiście jest mną zajęty. John Martinson uważa, że powinnam wyjść za Tima.

— Naprawdę? — Twarz Rona była pozbawiona jakiegokolwiek wyrazu.

— Naprawdę.

— Dlaczego?

— Dlatego przede wszystkim, że Tim mnie kocha, i dlatego, że jest mężczyzną, a nie dzieckiem. Kiedy John powiedział mi, co jego zdaniem powinnam zrobić, byłam zaskoczona jak nigdy w życiu. I wierz mi, próbowałam go przekonać, że nie ma racji. To jakby połączyć rasowego psa z kundlem — młodość i urodę Tima z moją przeciętnością. I tak też mu powiedziałam. Nie gniewaj się za to, co teraz usłyszysz, ale John uświadomił mi, że można też odwrócić sytuację i wskazać na jego upośledzenie i moją inteligencję. Niezupełnie tak to wyraził. Użył sformułowania: „Jeśli ty nie jesteś odpowiednia dla niego, to i on nie jest odpowiedni dla ciebie”. Jego zdaniem ani Tim, ani ja nie jesteśmy dla siebie nawzajem żadną nagrodą, i dlatego usiłował się dowiedzieć, dlaczego tak bardzo bronię się przed tym rozwiązaniem. Ciągle jeszcze nie jestem do końca przekonana, czy to ma sens, głównie z powodu różnicy wieku, ale John uważa, że wiek jest nieważny. Ważne jest tylko to, że Tim mnie lubi, mnie, a nie jakąś inną dziewczynę czy kobietę.

O tym, że John Martinson ma rację, przekonało mnie dopiero coś, co wtedy nie dotarło do mnie, i chyba nie bardzo dociera do ciebie. Jesteśmy zbyt związani z Timem, żeby to zauważyć. — Mary potrząsnęła głową. — Ron, Tim jest dorosłym mężczyzną i pod tym względem najzupełniej normalnym. John był brutalnie szczery, kiedy to mówił, był strasznie zły, potrząsał mną i krzyczał, że nie czuję niczego do Tima, że wcale go nie rozumiem. Pytał, dlaczego odmawiam Timowi prawa bycia mężczyzną w jedyny dostępny dla niego sposób. Dlaczego Tim nie może otrzymać od życia tego, co może wziąć. Nigdy nie podchodziłam do tego w ten sposób, byłam zbyt zaabsorbowana zastanawianiem się, co też inni sobie pomyślą, czy bardzo będą się z niego śmiali, dokuczali i szydzili tylko dlatego, że jest mężem bogatej starej panny, która mogłaby być jego matką. Zupełnie nie pamiętałam, że należy mu się od życia tyle, ile tylko może otrzymać.

Palce Mary znowu zaczęły gładzić filiżankę. Ron znakomicie ukrywał swoje uczucia. Mary nie potrafiła odgadnąć, o czym myśli w tej chwili. Zmieszała się jeszcze bardziej, kiedy wziął do ręki dzbanek i dolał jej herbaty.

— Odwrotne sytuacje też się zdarzają. Pamiętam, byłam swego czasu zła na dziewczynę z naszego biura, która zakochała się w mężczyźnie z niedowładem kończyn. Nie chciał się z nią ożenić. Archie znał tę dziewczynę wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, że to kobieta, która może być tylko z jednym mężczyzną w życiu, i jeśli nie wyjdzie za tego właśnie człowieka, to

nie wyjdzie za nikogo. Poszedł na spotkanie z tym kaleką, poradził mu, żeby nie odrzucał szczęścia, bo tylko wtedy zachowa się jak mężczyzna. Wszyscy zgodziliśmy się wtedy z Archiem. Nie było powodu, dla którego ta dziewczyna nie miałaby wyjść za mężczyznę na wózku inwalidzkim. Życie nie kończy się na wózku — tak powiedział mu Archie.

Życie nie kończy się na wózku, Ron, ale co Tim ma z tym wspólnego? Co jeszcze może przeżyć, jak można mu w tym pomóc? Teraz istnieje szansa na pełniejsze życie. Czy zatem mamy prawo odmawiać mu tego, co jest zwyczajne dla każdego normalnego człowieka? To główny argument Johna Martinsona!

— Martinson rzeczywiście wyłożył kawę na ławę — Ron zmęczonym gestem przesunął ręką po włosach. — Nigdy nie myślałem o tym w ten sposób.

— Nie miałam wyjścia, musiałam przyznać mu rację, bo taka jest prawda. Ale — pytałam — dlaczego ma to być ze mną? Przecież Tim mógłby być z kimś znacznie ode mnie lepszym! Ale czy rzeczywiście? Zresztą kimkolwiek jestem, Tim mnie kocha. I ja go kocham. Ze mną będzie bezpieczny i jeśli przez ten ślub mogę w jakiś sposób wypełnić jego życie, to wierz mi, wbrew wszystkim, nawet wbrew tobie, wyjdę za niego!

Uczucie, że balansuje na krawędzi przepaści, które towarzyszyło jej na początku tej rozmowy, minęło bezpowrotnie. Ron patrzył na nią zdziwiony i zaniepokojony jednocześnie. Już kilka razy widział ją w sytuacjach, kiedy wyprowadzono ją z równowagi, kiedy nie potrafiła zachować typowego dla niej opanowania, ale nigdy nie było to tak widoczne. Jej dobra twarz nie wyróżniała się niczym szczególnym. Teraz jednak jaśniała wewnętrznym pięknem, ale łatwo było się domyślić, że kiedy zniknie jej ożywienie, zgaśnie też to światło. Ron zaczął się zastanawiać, co Mary zyska wychodząc za Tima. Starszy i bardziej od niej doświadczony, wiedział, że odpowiedź na to pytanie nie jest prosta.

— Kobiety zwykle żyją dłużej niż mężczyźni — mówiła Mary przejęta — i dlatego prawdopodobnie będę z nim jeszcze przez wiele, wiele lat. Nie jestem od niego o tyle starsza, żeby już myśleć o ewentualnej śmierci. Między nami nie ma aż tak dużej różnicy wieku. Prawdopodobieństwo, że po pewnym czasie zaczniesz się rozglądać za młodszymi i ładniejszymi kobietami, też jest niewielkie.

Już teraz jestem stara i brzydka, ale dla niego nie ma to znaczenia.

Początkowo myślałam po prostu o zamieszkaniu z Timem, bo ludzie poczytaliby mi to za mniejszy grzech. Ale teraz uważam, że John Martinson ma rację. Jeśli wyjdę za Tima, będę miała pełne prawo do opieki nad nim, Dawnie nie będzie mogła mi go zabrać. Musisz wiedzieć, Ron, że czasami obawiam się trochę reakcji Dawnie. Nie pomyślałeś zapewne o tym, jak łatwo mogłaby zabrać go ode mnie, kiedy ty nie będziesz już mógł o tym decydować. Właściwie niby dlaczego miałbyś o tym myśleć. Ona jest twoją córką i naprawdę ją kochasz. A mnie nie znosi i nigdy nie pogodzi się z tym, że jestem dla Tima kimś ważniejszym od niej. Twoje listy, do niej i do Micka, a także upoważnienie zostawione u adwokata — wszystko to nie będzie miało znaczenia dla niej, jeśli zechce działać. Po twojej śmierci Dawnie stanie się formalną opiekunką Tima. Tego zdania będzie każdy sąd w tym kraju, niezależnie od tego, jakie zostawisz pełnomocnictwa. Ja nie jestem nawet krewną, nie znam go długo, a na dodatek nasz związek jest bardzo podejrzany.

Kiedy pierwszy raz poprosiłeś mnie o zaopiekowanie się Timem, myślałam tylko o ogromnym zaufaniu, jakie we mnie pokładasz, ale jednocześnie przekonałeś się, jaka naprawdę jest Dawnie. Ona bardzo kocha Tima, a mnie równie silnie nienawidzi, i ta sytuacja skazuje Tima na przegraną. Johna Martinsona nie informowałam o skali jej wrogości, a mimo to zasugerował ślub jako jedyne rozsądne rozwiązanie. Muszę zatem wyjść za Tima.

Ron roześmiał się dziwnie.

— Czy życie nie jest śmieszne? W jednym masz rację, Mary. Ludzie znacznie szybciej zaakceptują twoją decyzję zamieszkania z Timem niż wasze małżeństwo. To jedna z takich pokrętnych sytuacji, kiedy małżeństwo wydaje się przestępstwem, prawda?

— W rozmowie z Johnem użyłam dokładnie tego samego słowa: przestępstwo.

Ron wstał i obszedł stół dookoła. Położył ręce na ramionach Mary, potem nachylił się i pocałował ją.

— Jesteś bardzo dobrym człowiekiem, Mary. Będę szczęśliwy, jeśli poślubisz mojego syna. I ja, i Es nie życzylibyśmy sobie niczego lepszego, i jestem przekonany, że ona was błogosławi. Ale musicie się naprawdę pośpieszyć. Jeśli w testamencie napiszę, że popieram ten ślub, Dawnie niewiele będzie mogła zrobić, ale gdybym umarł, w nikim nie miałabyś oparcia. Sam powinienem o tym wcześniej pomyśleć, ale rodzice zawsze są ślepi na potrzeby swoich dzieci.

— Dlatego właśnie nie chciałam z tym czekać i od razu postanowiłam z tobą porozmawiać. Na kilka dni będę musiała iść do szpitala, żeby zabezpieczyć się przed zajściem w ciążę, ale zgadzam się z tobą, że ślub powinien odbyć się tak szybko, jak to tylko będzie możliwe.

— Masz rację, maleńka! Pojedziemy w poniedziałek do miasta i załatwimy wszystkie sprawy papierkowe. Będziecie się mogli pobrać już w końcu tygodnia.

Mary pogłaskała Rona po zarosniętym policzku.

— Nie mogłabym wymarzyć sobie lepszego teścia, Ron. Dziękuję ci, dziękuję za zrozumienie i... pozwolenie.

RS

Rozdział dwudziesty czwarty

Koniec końców zdecydowali nie mówić Dawnie o ślubie aż do czasu, kiedy małżeństwo będzie faktem dokonany. Jeszcze tego samego dnia, kiedy podjęli taką decyzję, Mary zwierzyła się Archiemu Johnsonowi.

— Niech cię nie znam, Mary, chyba żartujesz?!

Minęła dobra chwila, nim przekonała go, że mówi poważnie. Po krótkim szoku Archie szczerze jej pogratulował.

— Mary, kochanie, jakże się cieszę! To chyba najdziwniejszy związek od czasów Chopina i George Sand, ale jeśli ktokolwiek na tym padole w ogóle wie, co robi, to tą osobą na pewno jesteś ty. Nie mam najmniejszego zamiaru martwić się na zapas, przeciwnie, jestem, niech to licho, przekonany, ba!, święcie przekonany, że przemyślałaś wszystko aż nazbyt dokładnie! Jest mi tylko smutno, że po tych wszystkich latach, kiedy miałem cię tutaj, teraz, jak mi się zdaje, stracę cię, prawda? Chyba się rozplaczę, Mary.

— Dlaczego niby miałbyś mnie stracić?

— Czy opieka nad Timem nie wpłynie na twoją pracę? Nie będziesz już chyba mogła tak długo przebywać w biurze?

— Oczywiście, że będę mogła! Co prawda, wezmę trzy miesiące urlopu, i za to strasznie cię przepraszam, ale nie mam najmniejszego zamiaru zwalniać się z pracy, zresztą Tim wie o tym doskonale. Nawiasem mówiąc, dla nas obojga będzie znacznie lepiej, jeśli będziemy pracowali, mieli kontakt ze światem, z innymi ludźmi. On też nie porzuca pracy. Gdybyśmy byli skazani tylko na siebie, szybko mogłoby się to źle skończyć.

— Chciałbym być na twoim ślubie, Mary. Wiesz, jak cię lubię. Lubię też Tima, chociaż nigdy go nie spotkałem, bo zupełnie odmienił twoje życie.

— Będę rada, jeśli oboje z Tricią przyjdziecie na tę uroczystość.

— Kiedy?

— W następny piątek, po południu, w Urzędzie Stanu Cywilnego.

— W takim razie bierz urlop od zaraz. Skoro i tak przez trzy miesiące będę musiał męczyć się z Celeste Murphy, równie dobrze mogę poddać się tej torturze już dzisiaj.

— Bóg zapłać, ale to nie jest konieczne. Do środy będę wprowadzała Celeste we wszystkie sprawy, nie ma potrzeby, żebym wcześniej brała urlop.

Emily Parker bardzo ucieszyła wiadomość o ślubie. Mary zaprosiła ją na poobiednią herbatę i powiedziała o wszystkim.

— Pan kocha maluczkich, moja miła, to będzie dobre rozwiązanie dla was obojga. Zazdroszczę wam, maleńka, naprawdę zazdroszczę. Jesteś jeszcze kobietą w sile wieku i chciałabym, żebyś cieszyła się szczęściem przez długie lata.

— Czy przyjdzie pani na nasz ślub?

— Jasne, nie przepuściłabym takiej okazji za żadne skarby świata, panno Horton. Jestem z pani naprawdę dumna!

Tego samego wieczora, jak tylko udało jej się wypchnąć Emily na drugą stronę laurwego żywopłotu, Mary udała się do Harry'ego Markhama.

Harry patrzył na nią zaskoczony. Twarz kobiety w drzwiach wydawała mu się znajoma, nie wiedział jednak, gdzie i kiedy ją spotkał.

— Czy pamięta pan remont domu Emily Parker w Artarmon, mniej więcej dwa lata temu?

— Oczywiście, pamiętam.

— Nazywam się Mary Horton, mieszkam po sąsiedzku z panią Parker.

Na twarzy Harry'ego pojawił się wyraz ulgi.

— Jasne, jasne! Wydawało mi się przez cały czas, że skądś panią znam.

— Nie przyszłam do pana w interesach, pani Markham, chciałabym porozmawiać o Timie Melville'u.

— O Timie Melville'u?

— Tak, o Timie. Być może zaszokuje pana ta wiadomość, ale w przyszły piątek wychodzę za niego za mąż.

Przez długą minutę Harry nie mógł wydobyć z siebie głosu. Potem z ogromnym trudem wychrypiał:

— Pani wychodzi za głupiego Tima?

— Właśnie tak, w przyszły piątek. W innych okolicznościach, wiedząc, że ludzie tacy jak pan brzydko zabawiają się jego kosztem — mówiła mi o tym Emily Parker — starałabym się przekonać go do zmiany pracy, ale on lubi i pana, i pana ludzi, dlatego byłabym bardzo zadowolona, gdyby mógł w dalszym ciągu u pana pracować.

Oczy Harry'ego skierowały się ponad ramieniem Mary na ogromnego bentleya zaparkowanego przy krawężniku. Przypomniawszy sobie, że Mary była uważana za najbogatszą mieszkankę Artarmon, dlatego postanowił być miły.

— A niech mnie kule biją, panno Horton! To ci dopiero nowina!

— Jestem podobnego zdania, panie Markham. Nie mam zbyt wiele czasu, dlatego postaram się wyłożyć wszystko jak najkrócej. Jest kilka spraw, które musimy uzgodnić już teraz. Po pierwsze, chciałabym wiedzieć, czy da pan

Timowi trzy miesiące urlopu bezpłatnego, poczynając od przyszłej środy. Po drugie, jeśli zatrzyma go pan w pracy, czy może mi pan obiecać, że dopilnuje, żeby pańscy pracownicy nie kpili sobie z jego ślubu.

Zupełnie skonsternowany, Harry potrząsnął głową.

— Panno Horton, jak Boga kocham, nie wiem, co powiedzieć!

— Proponowałabym jednak panu szybkie podjęcie decyzji, panie Markham, nie mogę siedzieć u pana przez całą noc.

Harry zamyślił się.

— Będę z panią szczerą, panno Horton. Lubię Tima i moje chłopaki też go lubią. W sumie nawet dobrze się składa, już wkrótce zaczynają się wakacje i przez najbliższe trzy miesiące bez trudu będę mógł zatrudniać dorywczo studentów. Wprawdzie trzeba zaangażować od razu kilku, żeby dali sobie radę z robotą

Tima, bo on jest cholernie dobry i pracuje ze mną już od dwunastu lat. Musiałbym szukać znacznie dłużej niż trzy miesiące, żeby znaleźć na jego miejsce kogoś tak wesołego i pracowitego, kogoś, na kim można polegać. W porządku, dam mu wolne i przyjmę potem z powrotem do pracy.

— Świetnie. Wracając do drugiej sprawy, mam nadzieję, że rozumie pan, jak niewłaściwe byłoby naigrawanie się z Tima w związku z małżeństwem. Wszystkie inne dowcipy, lepsze czy gorsze, mogą ujść, on, szczerze mówiąc, nie przywiązuje do nich żadnej wagi, ale małżeństwo to dla niego absolutne tabu. I może mi pan wierzyć, jeśli się dowiem, że robicie sobie dowcipy i naśmiewacie się z niego, dlatego że ożenił się z bogatą starą panną, zniszczy pana i pańskich pracowników, i to zarówno moralnie, jak i finansowo. Nie mogę zabronić wam rozmów o tej sprawie, nawet by mi to nie przyszło do głowy, bo wiem, że nasze małżeństwo jest świetną okazją do plotek, ale kiedy Tim będzie w pobliżu, nie chcę, żeby na ten temat padło choć jedno słowo. Chyba że zechcecie złożyć mu normalne w takiej sytuacji życzenia. Zrozumiał mnie pan?

Harry nie zaoponował słowem, zdawał sobie sprawę, kim jest Mary Horton.

— Oczywiście, jasna sprawa, panno Horton. Zrobimy wszystko, czego sobie pani życzy.

Mary wyciągnęła do niego rękę.

— Dziękuję panu bardzo, panie Markham. I do widzenia. Kolejną sprawą do załatwienia była wizyta u ginekologa. Skoro już raz powzięła decyzję, systematycznie pokonywała wszystkie przeszkody jedną po drugiej. Sprawiało jej to znacznie więcej przyjemności, niż przypuszczała. Załatwianie

spraw to był jej żywioł. Nie zastanawiała się już nad tym, co robi, bo od chwili, gdy podjęła decyzję, nie miała żadnych wątpliwości.

Swoją sytuację przedstawiła ginekologowi rzeczowo i spokojnie.

— Nie mogę sobie pozwolić na ryzyko zajścia w ciążę, doktorze, jestem przekonana, że rozumie pan powody takiej decyzji. Domyślam się, że na kilka dni będę musiała położyć się w szpitalu, żeby przejść zabieg podwiązania jajowodów. A przy okazji, skoro już będę w szpitalu, może będzie pan mógł coś zrobić z moim dziewictwem. Nie chcę, żeby mój pierwszy kontakt z mężem został zagrożony najmniejszą choćby oznaką bólu, a przypuszczam, że utrata dziewictwa jest dla kobiet dość bolesna, zwłaszcza jeśli rozpoczynają życie seksualne w moim wieku.

Ginekolog zakrył ręką twarz, próbując ukryć uśmiech. Świetnie znał ten rodzaj kobiet, wiele podobnych pracowało w australijskich szpitalach. Cholerne stare panny! — pomyślał. — Wszystkie są takie same. Energiczne, praktyczne, nie widzące dalej niż czubek własnego nosa. I nagle okazuje się, że pod tym wszystkim kryje się kobieca duma, wrażliwość i przedziwna delikatność. Lekarz szybko powściągnął uśmiech. Już opanowany, uderzał końcem długopisu w blat biurka. Chrząknął.

— Zgadzam się z panią, panno Horton. Czy mogłaby pani teraz przejść za parawan i rozebrać się? Za chwilę przyjdzie pielęgniarka i przyniesie pani szlafrok.

W sobotni rano Tim był jedynym człowiekiem, który nie wiedział nic o planowanym ślubie. Mary poprosiła Rona, żeby nie wspominał o tym chłopakowi, i nie przyjęła odmowy Rona wspólnego spędzenia z nimi weekendu.

— Oczywiście, że z nami pojedziesz — powiedziała stanowczym tonem. — Twoja obecność niczego nie zmieni. Jeszcze nie jesteśmy małżeństwem. Bez problemu mogę pójść z Timem w jakieś spokojne miejsce i swobodnie z nim porozmawiać.

Okazja do rozmowy nadarzyła się jeszcze tego popołudnia. Ron postanowił uciąć sobie drzemkę. Wychodząc mrugnął znacząco do Mary.

— Tim, może poszlibyśmy na plażę i posiedzieli na słońcu? — zapytała Mary.

— Wspaniały pomysł — rozpromieniony Tim poderwał się na równe nogi. — Myślisz, że jest wystarczająco ciepło, żeby popływać?

— Chyba nie, ale to i tak nie ma znaczenia. Chciałabym z tobą porozmawiać, a nie popływać.

— Lubię z tobą rozmawiać — zwierzył się Tim. — Już tak dawno nie rozmawialiśmy.

Mary roześmiała się.

— Pochlebca! Przecież rozmawiamy przez cały czas!

— Ale to nie to samo. Kiedy mówisz: „Tim, chciałabym z tobą porozmawiać”, zawsze masz mi wtedy coś bardzo miłego do powiedzenia.

Oczy Mary zaokrągliły się.

— Aleś ty sprytny! Chodźmy zatem, przyjacielu, nie marnujmy czasu!

Mary niełatwo było przejść od praktycznego działania do nastroju, który nie opuszczał jej od kilku dni. Siedziała na piasku milcząc, starając się opanować rozpierającą ją chęć do czynu. Taka postawa była konieczna, pozwalała zachować psychiczną równowagę. Bez tego nie zdołałaby ani powiedzieć, ani zrobić wszystkiego, co było niezbędne. Najmniejsza oznaka słabości skończyłaby się dla niej fatalnie. Teraz jednak mogła pozwolić sobie na chwilę odpoczynku.

— Tim, czy wiesz, co to jest małżeństwo?

— Tak, tak mi się wydaje. To tak jak tato i mama, i to, co zrobiła moja Dawnie.

— Możesz powiedzieć o tym coś więcej?

— Nie bardzo! — przeczesywał ręką włosy, uśmiechając się nieśmiało. — Małżeństwo polega na tym, że mieszkasz razem z kimś, z kim kiedyś nie mieszkałaś, czy o to chodzi?

— Częściowo — Mary spojrzała mu w oczy. — Kiedy przestajesz być dzieckiem i jesteś już zupełnie dorosły, spotykasz kogoś, kogo zaczynasz bardzo lubić, i myślisz wtedy, że bardzo chciałbyś być razem z tą osobą, zamieszkać z nią i wyprowadzić się od mamy i taty. A gdy osoba, którą tak bardzo polubiłeś, lubi ciebie równie mocno, idziecie razem do księdza albo urzędnika, albo sędziego i bierzecie ślub. Oboje podpisujecie papier, który jest dowodem na to, że jesteście małżeństwem, i możecie mieszkać razem do końca życia, nie obrażając tym Boga.

— Czy to naprawdę znaczy, że można wtedy żyć razem przez resztę życia?

— Tak.

— To dlaczego nie mogę się z tobą ożenić, Mary? Chciałbym się z tobą ożenić, chciałbym zobaczyć cię ubraną jak królewna z bajki w białą długą sukienkę, tak samo jak Dawnie i jak mama na tym zdjęciu, które stoi w jej sypialni na toaletce.

— Wiele dziewcząt nosi długie białe sukienki, kiedy wychodzą za mąż, ale to nie dzięki tej sukience małżeństwo zostaje zawarte, chodzi przede wszystkim o podpisanie papieru.

— Ale mama i Dawnie były ubrane w długie, białe sukienki! — upierał się Tim zachwycony pomysłem.

— Czy naprawdę chciałbyś się ze mną ożenić, Tim? — spytała Mary, starając się odwrócić jego uwagę od długiej białej sukni. Tim energicznie przytaknął ruchem głowy, uśmiechając się do niej.

— Och, tak! Bardzo chciałbym się z tobą ożenić, Mary. Potem moglibyśmy być razem już zawsze, nie musiałbym wracać w niedzielę do domu.

— Czy naprawdę wolałbyś mieszkać ze mną niż z tatą?

— Tak. Tato należy do mamy i czeka tylko, żeby zasnąć obok niej pod ziemią. A ja należę do ciebie, Mary.

— Po naszym powrocie od pana Martinsona rozmawialiśmy z tatą o tobie i wtedy właśnie zdecydowaliśmy, że byłoby dobrze, gdybyś się ze mną ożenił. Bardzo martwimy się o ciebie, bo wiesz przecież, że nie ma na świecie nikogo, kogo lubilibyśmy bardziej od ciebie.

Błękitne oczy chłopca rozbłysły nagłym światłem, odbijając toń szemrzącej w pobliżu rzeki.

— Mary, czy to prawda? Dobrze zrozumiałem? Wyjdiesz za mnie?

— Tak, Tim, chcę wyjść za ciebie za mąż.

— I potem będę mógł mieszkać z tobą, i naprawdę będę twój?!

— Tak.

— Czy możemy wziąć ślub dzisiaj? Mary spojrzała na rzekę, nagle smutna.

— Nie, nie dzisiaj, kochany, ale niedługo. W przyszły piątek.

— Czy tata wie o tym?

— Tak, wie. Wszystko jest już przygotowane.

— Czy będziesz miała długą białą sukienkę, jak Dawnie i mama? Mary potrząsnęła głową.

— Nie, Tim, nie mogę. Bardzo bym chciała, ale uszycie takiej sukni zabrałoby wiele czasu. Ani ja, ani tato nie chcemy czekać tak długo.

Rozczarowanie na moment przygasiło uśmiech na twarzy Tima, ale po chwili nic już nie mąciło jego radosnego nastroju.

— Więc po ślubie nie będę już musiał wracać do domu?

— Jeszcze na kilka dni będziesz musiał, bo wybieram się do szpitala, Tim.

— Och, Mary, nie! Nie możesz iść do szpitala! — z oczu popłynęły mu łzy.

— Mary, umrzesz tam, zaśniesz i zostawisz mnie, i nigdy już cię nie zobaczę!

Mary ujęła jego rękę i uspokajająco poklepała.

— Tim, Tim! To, że ktoś idzie do szpitala, wcale nie oznacza, że umrze! To, że twoja mama tam umarła, nie znaczy, że ja też umrę.

Wierz mi! Wiele osób przebywa w szpitalu i wychodzą z niego żywi. Szpital to miejsce, dokąd się idzie, jeśli potrzebna jest pomoc lekarza. Czasami bardzo, bardzo chorych nie udaje się wyleczyć, tak było z twoją mamą, ale ja to co innego. Nie jestem słaba i nic mnie nie boli. Ale byłam u lekarza i on poradził mi, żebym poleżała przez kilka dni w szpitalu, żebym była zupełnie zdrowa, zanim zamieszkamy razem, żebym była zdrowsza dla ciebie.

Nie było łatwo go przekonać, ale wreszcie się uspokoił i chyba pogodził z myślą, że Mary nie idzie do szpitala po to, żeby umrzeć.

— Jesteś pewna, że nie umrzesz w szpitalu?

— Tak, Tim, jestem pewna. Nie mogę teraz umrzeć, po prostu nie mogę.

— Na pewno weźmiemy ślub, zanim pójdziesz do szpitala?

— Tak, wszystko jest przygotowane na przyszły piątek.

Tim wcisnął ręce w piasek, westchnął szczęśliwy, a potem fiknął koziołka i roześmiany wylądował w wodzie.

— Ożenię się z Mary! Ożenię się z Mary! — wykrzykiwał rozpryskując rękami wodę i chlapiąc na Mary, która zeszła za nim nad rzekę.

Rozdział dwudziesty piąty

Ślubny strój Mary był skromny, ale elegancki — brzoskwiniowa garsonka z grubego jedwabiu i niewielki kapelusz w tym samym kolorze, przybrany małym bukietem herbacianych róż. Przyjęcie weselne miało się odbyć w restauracji przy placu Wiktorii, po stronie Hyde Parku, naprzeciw Urzędu Stanu Cywilnego. Mary zaparkowała samochód w podziemnym garażu. Potem ruchomymi schodami wjechała na College Street i przeszła przez park. Archie bardzo chciał ją odwiedzić, ale zdecydowanie odmówił.

— Prosto ze ślubu idę do szpitala, dlatego wolę pojechać swoim samochodem.

— Powinnaś pozwolić, żebym cię odwiózł, Mary — protestował Archie. — Jak ty to sobie wyobrażasz? Myślisz, że zaraz po wyjściu ze szpitala będziesz w stanie prowadzić wóz?!

— Oczywiście. To prywatny szpital. Bardziej przypomina hotel niż lecznicę. Zresztą będę tam trochę dłużej, niż to konieczne, i jestem przekonana, że opuszczę szpital w znakomitej formie i o to mi chodzi. Nie chciałabym rozczarować Tima prosząc, żeby po naszym ślubie zbyt długo mieszkał jeszcze z ojcem. Archie popatrzył na Mary trochę zdziwiony.

— Przypuszczam, że wiesz, co robisz, tak jak zawsze. Mary potrząsnęła jego dłonią z czułością.

— Drogi, kochany Archie, jesteś wzruszający, tak jak zawsze. Tak więc Mary przyjechała na ślub swoim samochodem. Była pierwsza. Na parkingu nie zauważyła jeszcze nikogo. Wkrótce po jej przyjeździe zjawili się Archie i Tricia. Tuż za nimi przyszła pani Parker spowita w nieprawdopodobne ilości purpurowego i jaskrawo-niebieskiego, szyfonu. Ze stacji metra wyłonili się Tim i Ron. Tim w garniturze, który miał na sobie w czasie ślubu Dawnie, Ron w garniturze, który nałożył na pogrzeb Es. Przez chwilę wszyscy stali w promieniach słońca, gwarząc o niczym. Tim, korzystając z chwili, kiedy nikt na niego nie patrzył, wcisnął Mary do ręki niewielkie pudełko. Był zdenerwowany i bardzo niepewny siebie. Ukrywając pudełeczko w dłoni, Mary odciągnęła Tima kilka kroków od zebranych gości i odwracając się do nich plecami otworzyła je.

— Tato pomógł mi wybrać to dla ciebie, bo bardzo chciałem coś ci podarować, a on powiedział, że to bardzo dobrze. Podjąłem w banku dwa tysiące dolarów, a potem poszliśmy do dużego sklepu jubilerskiego na Castlereagh, obok hotelu Australia.

Wewnątrz pudełka na aksamicie leżała niewielka broszka w kształcie kwiatu — przepiękny czarny opal otoczony brylantami.

— Przypomina mi twój ogród w domku letniskowym. Jest tak samo kolorowa i błyszcząca.

Mary wyjęła broszkę z pudełka i podała ją Timowi uśmiechając się przez łyzy.

— Od dzisiaj to już nie mój ogród, lecz nasz. To jedna ze spraw, które ulegają zmianie po ślubie. Teraz wszystko, co należy do mnie: dom, samochód, ogród, należy także do ciebie. Przypniesz mi teraz broszkę?

Ręce Tima zawsze były bardzo sprawne i zręczne, nie poddawały się jego umysłowym ograniczeniom. Ujął w palce kłapę żakietu i zagłębił ostrą igłę w materiale, potem jednym ruchem zapiął zamek i zabezpieczył łańcuszkiem.

— Podoba ci się ta broszka, Mary? — spytał niespokojnie.

— Och, Tim, bardzo, bardzo mi się podoba! Nigdy w życiu nie miałam czegoś równie pięknego, nikt nigdy nie podarował mi broszki. Będzie dla mnie najcenniejszym skarbem przez całe życie. Ja też mam dla ciebie prezent.

Był to bardzo drogi, ciężki złoty zegarek, który sprawił Timowi wielką radość.

— Obiecuję, że zrobię wszystko, żeby go nie zgubić, słowo daję! Teraz, kiedy znam się na zegarku i mam własny, będzie po prostu wspaniale. On jest bardzo piękny, Mary!

— Nie musisz się martwić, że go zgubisz. Jeśli tak się stanie, po prostu kupimy następny.

— Nie zgubię go, Mary. Za każdym razem, kiedy na niego spojrzę, będzie mi się przypominało, że mam go od ciebie.

— Czas na nas, Tim, powinniśmy iść.

Archie ujął Mary pod ramię, przeprowadzając ją przez ulicę.

— Mary, nie mówiłaś nigdy, że Tim jest taki przystojny — powiedział.

— Było mi niezręcznie wspominać o tym. Ilekroć o tym mówię, czuję się jak jedna z tych zepsutych starych bab, które przesiadują w kurortach z nadzieją na poderwanie jakiegoś bardzo drogiego, ale cholernie przystojnego chłopaka. — Archie czuł, jak jej ramię drży. — Nie jest mi łatwo, Archie, po raz pierwszy będę narażona na ciekawskie spojrzenia gapiów. Wyobrażasz sobie komentarze, kiedy dowiedzą się, kto z kim bierze ślub? Ron byłby dla mnie odpowiedniejszym partnerem.

— Nie martw się, Mary. Jesteśmy tu z tobą, żeby cię wspierać, i wierz mi — jesteśmy po twojej stronie. Nawiasem mówiąc, polubiłem twoją sąsiadkę.

Muszę koniecznie siedzieć obok niej na przyjęciu. Ta kobieta ma takie bogate słownictwo! Nie spodziewałem się, że jeszcze w życiu spotkam kogoś równie interesującego. Spójrz na nią i Tricię, plotkują jak dwie przekupy!

Mary spojrzała na niego z wdzięcznością.

— Dzięki, Archie. Chcę cię przeprosić, że nie będzie mnie na weselnym obiedzie, ale pragnę jak najszybciej załatwić sprawę szpitala. Gdybym zgłosiła się dopiero po przyjęciu, nie mogłabym być operowana jutro, a to oznaczałoby czekanie przez cały tydzień, bo ten lekarz operuje tylko w soboty.

— Wszystko w porządku, kochana moja, wypijemy twojego szampana i zjemy twojego chateaubrianda.

W czasie ceremonii, która nie trwała długo i właściwie rozczarowała wszystkich skromnością, czy może oschłością, jedynie oczy oficjalnego przedstawiciela Jej Królewskiej Mości obserwowały bacznie nowożeńców. Reszta gości zachowywała się jak na każdym innym ślubie. Tim z przejęciem, ale wyraźnie udzielał odpowiedzi na pytania — ojciec świetnie go do tego przygotował. Mary natomiast miała problemy z opanowaniem głosu i kilkakrotnie zająknęła się. Podpisanie aktu ślubnego nie trwało długo. Zaraz potem wszyscy wyszli, nie zdając sobie nawet sprawy, że udzielający ślubu star sza wy urzędnik nie zauważył, że Tim jest opóźniony w rozwoju. Nowożeńcy nie'budzili jego zdziwienia — wielu młodych, przystojnych mężczyzn żeniło się z kobietami, które mogłyby śmiało być ich matkami. Zdumiał się jedynie, że po ślubie państwo młodzi nie pocałowali się.

Mary odłączyła od całego towarzystwa na tym samym rogu, na którym się spotkali. Nerwowo pociągała Tima za rękaw płaszcza.

— Czekaj na mnie cierpliwie i nie martw się, obiecujesz? Nic mi się nie stanie.

Twarz Tima wyrażała tak ogromne szczęście, że patrzące na niego Tricia i Emily Parker miały ochotę się rozplakać. Jedyny cień — to konieczność pożegnania Mary, ale nawet to nie mogło zmartwić Tima na dłużej. Podpisał papier, który podpisała również Mary, i teraz należeli do siebie. Tim mógłby czekać bardzo długo, jeśli okazałoby się to konieczne, na tę chwilę, kiedy będą już zawsze razem.

Operacja była bardzo bolesna i przez kilka dni Mary nie czuła się najlepiej, ale wszystko dobrze się skończyło. Nawet lepiej, niż oczekiwał ginekolog.

— Ma pani silny organizm — powiedział przy zdejmowaniu szwów. — Wiedziałem, że kobieta taka jak pani poradzi sobie ze wszystkim znakomicie.

Może więc pani wracać do domu choćby jutro, ale może też zostać jeszcze przez tydzień, dwa albo trzy. Jak pani woli. To nie szpital, lecz pałac. Jeszcze dzisiaj przygotuję wypis, ale decyzja o powrocie zależy już tylko od pani. Jeśli pani zostanie, oczywiście będę zaglądał.

RS

Rozdział dwudziesty szósty

Mary spędziła w szpitalu pięć tygodni. Rozkoszowała się ciszą i spokojem starego domu, stojącego tuż nad zatoką Rose, ale jednocześnie przepełniona była lękiem przed spotkaniem z Timem. Nie mówiła nikomu, w którym szpitalu będzie operowana, wiedział o tym tylko jej prawnik, do niego też najpierw trafiały pracowicie kaligrafowane karty od Tima. Ron niewątpliwie miał w tych kartach swój udział, ale to Tim dobierał słowa, a także jego był charakter pisma. Mary pieczołowicie chowała je do pudełka na listy.

Przez ostatnie dwa tygodnie pływała w basenie i grała w tenisa na szpitalnych kortach, powoli przyzwyczajając się do ruchu i wysiłku fizycznego. Opuszczając gościnne mury, czuła się znakomicie, jakby nigdy nic się nie wydarzyło. Podróż samochodem do domu w Artarmon nie była dla niej żadnym obciążeniem.

Kiedy zostawiwszy samochód w garażu wchodziła przez frontowe drzwi, dom tonął w światłach. Emily Parker dotrzymała słowa — pomyślała Mary zadowolona. — Zgodnie z obietnicą zajęła się domem. Postawiła walizkę, zdjęła rękawiczki i położyła je koło torebki na stoliku w hallu, po czym przeszła do salonu. Telefon majaczył przed nią jak jakiś potwór, ale nie zadzwoniła do Rona, by mu powiedzieć, że jest już w domu. Miała na to dość czasu — jutro, pojutrze, a może nawet później.

W salonie, jak zwykle, dominowała szarość, choć na ścianach wisiało wiele obrazów, a plamy soczystej rubinowej czerwieni wyglądały jak żarzące się węgielki, które ktoś rozsypał po pokoju. Na surowym gzymsie kominka stał rubinowy szwedzki wazon, a pośrodku perłowoszarego dywanu jak krwawe jezioro rozpościerał się na rubinowo farbowany futrzak. Przyjemnie być znowu w domu — pomyślała Mary rozglądając się po otoczeniu, które stanowiło materialne świadectwo jej zamożności i gustu. Wkrótce będzie dzieliła ten dom z Timem, który przyczynił się do jego stworzenia. Czy rzeczywiście chce dzielić z nim to wszystko? — spytała Mary samą siebie, niestrudzenie przemierzając tam i z powrotem przestrzeń pokoju. Dziwne, ale im bliżej była ta chwila, tym większą niechęć czuła do tego, co ma nastąpić.

Słońce zaszło przed godziną. Niebo na zachodzie było tak ciemne jak wszędzie, tylko światła miasta rzucały czerwone refleksy na nisko wiszące skłębione chmury. Gdzieś tam daleko spadł deszcz, pozostawiając Artarmon na pastwę letniego kurzu. Szkoda — pomyślała Mary. — U nas też przydałby się deszcz, mój ogród spragniony jest wody. Weszła do nie oświetlonej

kuchni i stała chwilę wpatrzona w ciemne okno, nie zapalając światła ani w kuchni, ani na werandzie. Chciała sprawdzić, czy w domu Emily Parker świeci się, lecz krzaki lauru zasłoniły jej widok. Żeby zobaczyć dom Emily, Mary musiała wyjść na werandę.

Kiedy bezszelestnie wychodziła przez tylne drzwi, poruszając się właściwymi jej kocimi krokami, jej oczy przyzwyczały się już do ciemności. Zatrzymała się na chwilę, wdychając głęboko odurzającą woń kwiatów wczesnego lata i docierający tu z daleka rozkoszny, ziemisty zapach deszczu. Przyjemnie było znaleźć się znów w domu, a raczej byłoby przyjemnie, gdyby w zakamarkach jej duszy nie tkwiła jak cierń wizja spotkania z Timem. I oto — jakby ucieleśnienie jej myśli — na tle dalekiego deszczowego nieba ukazał się zarys jego głowy i sylwetki. Siedział na balustradzie werandy, nagi, ociekający wodą, bo jak zwykle nie wytarł się dokładnie po wieczornym prysznicu. Z głową uniesioną do góry wpatrywał się w bezgwiezdne niebo, zasłuchany w rytm muzyki niesłyszalnej dla uszu zwykłego śmiertelnika. Smużki światła igrały w jego włosach, delikatnymi perłowymi liniami obrysowywały kontur twarzy i postaci, migotały na skórze, ciasno opinającej uśpione mięśnie. Mary widziała nawet kształt powiek, zakrywających oczy, osłaniających jego myśli przed mrokiem.

Ponad miesiąc — myślała Mary. — Nie widziałam go ponad miesiąc i oto jest tutaj — jak wytwór mojej wyobraźni, Narcyz pochylony w zachwycie nad lustrem jeziora. Dlaczego jego uroda wciąż mnie poraża, jak wtedy kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy?

W milczeniu zeszła po schodkach i stanęła za Timem, wpatrując się w jego kark błyszczący jak kolumna z lodu, ani chwili dłużej nie mogła się już oprzeć pokusie, by go dotknąć. Palce objęły delikatnie jego nagie ramię; pochyliła się i oparła głowę o mokre włosy, ustami błędziła po płatku ucha.

— Tim, tak się cieszę, że czekałeś tu na mnie — wyszeptała.

Jej dotyk nie przestraszył go; nie poruszył się. Wydawało się, że wyczuł jej obecność, wiedział, że stoi za nim pogrążona w mroku. Po chwili lekko odchylił się ku niej. Ręka spoczywająca na ramieniu przesunęła się w poprzek klatki piersiowej i otoczyła go, dotykając drugiego ramienia. Druga ręka Mary, wędrując wzdłuż jego ciała, dotknęła brzucha i mocniej przyciągnęła go do siebie. Pod pieszczotą jej ręki Tim drżał lekko, a potem zastygł w bezruchu, jakby przestał oddychać. Odwrócił głowę, starając się zajrzeć jej w twarz. Otaczał go jakiś mglisty spokój, a jego oczy, tak uparcie szukające jej oczu, zasnuwał srebrzysty blask. Ilekroć na nią spojrzął, zamykał ją w sobie,

jakby widział jej duszę. Usta Tima przyłgnęły do jej ust, a dłonie spoczęły na jej ręce oplatającej piersi i ścisnęły ją mocno. Teraz pocałunek był inny niż ten pierwszy. Przepełniony senną zmysłowością, porywał Mary, sprawiał przedziwne wrażenie, że postać z marzeń to nie Tim, lecz zjawa ciepłej letniej nocy. Bez wahania i obaw Tim objął Mary i wziął ją na ręce.

Szedł z nią do ogrodu. Krótko przystrzyżona trawa szeleściła pod jego bosymi stopami. Stłumiwszy słabą chęć protestu, Mary wtuliła twarz w jego szyję i wstrzymując cisnące się na usta słowa nie starała się odgadywać celu, do którego w milczeniu zmierzał. Posadził ją na trawie w głębokim cieniu krzewów kamforowych i ukląkł przed nią. Palcami delikatnie gładził jej twarz. Miłość, która ją przepelniała, odebrała jej zdolność widzenia i słyszenia. Pochyliła się do przodu niczym szmaciana lalka potracona nieostrozną ręką. Oparła głowę o jego pierś. Tim przytulił ją do siebie. Czule pieścił włosy, aż rozsypały się miękką falą na jej ramiona. Ręce Mary bezradnie oparły się o jego uda. Powoli, ale pewnie jego dłonie prześliznęły się z włosów na ubranie. Wolno i zdecydowanie rozbierał ją, tak jak rozbiera się lalkę. Każdą część garderoby składał starannie i kładł obok. Mary siedziała spokojna i szczęśliwa. Miała zamknięte oczy. Niepostrzeżenie ich role odmieniły się. Teraz Tim miał nad nią przewagę.

Gdy skończył, ujął jej dłonie i położył je sobie na ramionach, a potem mocno przytulił ją do siebie. Mary westchnęła, otwierając oczy. Po raz pierwszy w życiu czuła dotyk nagiego ciała. I nie istniało nic, co mogłoby pozbawić ją tego uczucia — tego ciepła, nowości, życia. Trans, podobny do snu, w którym trwała, przerodził się w wizję wyraźniejszą i bardziej realną niż świat roztaczający się wokół cienistego krzewu kamfory. Jedwabista gładkość skóry pod jej palcami przybrała postać materialną: to była skóra Tima, to było jego ciało. I nie było niczego więcej, niczego pod słońcem, co mogłoby ofiarować jej życie: trzymać w ramionach ciało Tima, którego ciężar przygniata ją do ziemi. To zarost Tima boleśnie drapie ją po szyi, to jego palce wpijają się w jej ramiona, to jego pot spływa kroplami po jej ciele. Miała świadomość, że przepelniająca go rozkosz pochodzi od niej, że nie jest ważne, czyjej skóra jest skórą młodej dziewczyny czy dojrzałej kobiety, dopóki on jest w jej ramionach, w niej, dopóki ona daje mu czystą, pełną radość, a on przyjmuje ją naturalnie, wolny od więzów myśli, które zawsze ją pętały.

Była głęboka noc, deszczowe mgły na zachodzie skryły się za górami, kiedy Mary odsunęła się od Tima, wzięła ubranie i przyciskając je do piersi, uklękła przed nim.

— Powinniśmy iść do domu, kochany — wyszeptała. Jej rozpuszczone włosy opadały na ramię Tima. — Niedługo będzie świtać, musimy iść.

Podniósł się bez słowa, wziął Mary na ręce i zaniósł do domu. W salonie paliły się światła. Wyciągając rękę przez ramię Tima, Mary gasiła je kolejno. Tim zaniósł ją do sypialni, położył na łóżku i zamierzał wyjść, lecz ona zatrzymała go, przyciągając do siebie.

— Dokąd chcesz iść, Tim? — spytała. Przesunęła się, robiąc mu miejsce przy sobie. — Teraz to także twoje łóżko.

Tim wyciągnął się wygodnie i wsunął ramię pod jej głowę. Mary przytuliła się do niego i położyła rękę na piersi, głaszcząc ją powolnymi ruchami palców. Za chwilę jej ręka zamarła w bezruchu. Mary, przytulona do Tima, leżała sztywno, z szeroko otwartymi oczami, w których czaił się strach. Płakała. Tego nie mogła znieść. Uniosła się na łokciu i sięgnęła do nocnej lampki przy łóżku.

Od ich spotkania na werandzie Tim nie powiedział ani słowa. A Mary zapragnęła usłyszeć jego głos. Jeśli nie przemówi, będzie to znaczyło, że będąc przy niej nie jest z nią.

Tim leżał z szeroko otwartymi oczami wpatrując się w Mary i nawet nie mrugnął, kiedy zapaliła światło. Jego twarz była smutna i surowa. Nigdy przedtem Mary nie widziała u niego takiego wyrazu twarzy. Była w niej dojrzałość, o jaką nigdy go nie podejrzewała. Czyżby dotąd była ślepa? Czy to twarz Tima tak się zmieniła? Jego ciało przestało być dla niej czymś zakazanym, nieznanym. Mogła patrzeć na nie do woli, z miłością i szacunkiem, bo było świątynią zamieszkaną przez żywą i pełną istotę, taką samą jak ona. Jak bardzo niebieskie są jego oczy, jak wspaniale ukształtowane usta, jak tragiczny wyraz ma zmarszczka w lewym kącie ust! Jakiż on jest młody! Jaki młody!

Tim zmrużył oczy, po czym jego spojrzenie, przez chwilę nieobecne, powróciło na twarz Mary. Uważnie wpatrywał się w widoczne na niej oznaki zmęczenia i niepokoju, w proste, silne usta obrzmiałe od jego pocałunków. Uniósł rękę i delikatnie pogładził Mary po jędrnej, krągłej piersi.

— Tim, dlaczego nie odezwałeś się do mnie nawet słowem? — spytała Mary. — Czy zrobiłam coś złego? Rozczarowałam cię?

Jego oczy napęłniły się łzami, lecz na twarzy pojawił się czuły uśmiech, a dłoń mocniej przyłgnęła do jej piersi.

— Powiedziałaś mi kiedyś, Mary, że będę płakał ze szczęścia. Widzisz?! Płacę! Mary, płacę ze szczęścia! Nigdy jeszcze nie byłem taki szczęśliwy. — Łzy toczyły się po policzkach i spływały na poduszkę.

Głowa Mary z ulgą opadła na jego pierś.

— Myślałam, że gniewasz się na mnie.

— Na ciebie?! — jego dłoń głaskała ją po głowie. Włosy przesypywały się między palcami.

— Nie mógłbym gniewać się na ciebie, Mary! Nie gniewałem się nawet wtedy, kiedy wydawało mi się, że już mnie nie lubisz!

— Dlaczego nie odezwałeś się do mnie nawet słowem? Tim był zaskoczony.

— Czy powinienem był coś mówić? Nie przyszło mi do głowy, że powinienem coś powiedzieć. Kiedy weszłaś, nie miałem głowy do mówienia. Pragnąłem tylko zrobić to, co tato mi powiedział, kiedy byłaś w szpitalu, a potem nie mogłem przerwać, żeby porozmawiać.

— Tato ci powiedział?

— Tak. Zapytałem go, czy po ślubie pocałunek jest grzechem, a on odpowiedział, że nie. Powiedział mi też o wielu innych rzeczach. Powiedział mi, że powinienem wiedzieć, co robić, bo gdybym nie wiedział, mógłbym sprawić ci ból i mogłabyś płakać. A ja nie chcę sprawiać ci bólu, Mary, i nie chcę, żebyś płakała. Nie zrobiłem ci krzywdy, prawda?

Mary roześmiała się i mocniej przytuliła do Tima.

— Nie, Tim, nie zrobiłeś mi żadnej krzywdy. Byłam trochę przerażona, bo wydawało mi się, że to ja powinnam powiedzieć ci o tym wszystkim, i nie bardzo wiedziałam, czy sobie z tym poradzę.

— Naprawdę nie skrzywdziłem cię, Mary? Zapomniałem, że tato mówił, że mam uważać, żeby nie zrobić ci krzywdy!

— Byłeś wspaniały, Tim! Jesteś cudowny! Tak bardzo cię kocham!

— „Kocham” to lepsze słowo niż „lubię”, prawda?

— Jeśli się go właściwie używa, to tak.

— Zatrzymam je tylko dla ciebie, Mary, innych będę lubił.

— Tak właśnie powinno być, Tim.

Kiedy świt zajrzał do ich pokoju, niosąc ze sobą świeżość nowego dnia, Mary spała głębokim snem. Tim leżał bezsennie, wpatrując się w okno i starając się nie poruszać, żeby nie obudzić Mary. Była taka delikatna i mała,

pachniała słodko i tak spokojnie spała. Kiedyś Tim miał pluszowego misia i przytulał go do piersi tak samo, jak teraz Mary, ale Mary była żywą istotą i mogła odwzajemniać jego pieszczoty. To było znacznie przyjemniejsze. Pewnego dnia zabrano mu misia mówiąc, że jest już za duży, żeby z nim spać. Tim całymi tygodniami płakał przed zaśnięciem, przytulając do piersi ręce, w których nie było niczego. Tęsknił za utraconym przyjacielem. Jakimś sposobem zorientował się, że mama nie chciała zabierać mu misia, że zrobiła to wbrew sobie, wtedy kiedy wrócił z pracy i zapłakany opowiedział, że Mick i Bill wyśmiewali się z niego, że śpi z misiem. Mama zabrała mu misia i tego samego wieczora wyrzuciła do kubła na śmieci. Tamta noc była straszna — ciemna, wypełniona czyhającymi wokół cieniami, które poruszały się tajemniczo i układały w łapy, dzioby i długie ostre zęby. Kiedy miś był z nim, cienie nie ośmielały się podejść bliżej niż do przeciwległej ściany. Minęło wiele długich nocy, zanim Tim przyzwyczyił się, że są wokół niego, że opadają jego bezbronną twarz usiłując złapać go za nos. Kiedy mama zaczęła zostawiać w jego pokoju zapalone światło, było trochę lepiej, ale do dzisiaj Tim nie znosił ciemności, czuł się śmiertelnie zagrożony, otoczony przez czyhających wszędzie wrogów.

Chcąc spojrzeć na twarz Mary, Tim zapomniał, że miał się nie poruszać, by jej nie zbudzić. Lekko podciągnął się na poduszce, tak że leżał teraz wyżej niż Mary. W narastającym świetle poranka patrzył na nią zafascynowany. Nie mógł oderwać oczu od jej nagich piersi. Samo myślenie o nich napełniało go podnieceniem. A co dopiero kiedy czuł je przytulone do siebie — tego uczucia nie potrafiłby opisać w żaden sposób. Uważał, że została stworzona inaczej niż on specjalnie dla niego, nie miał najmniejszego pojęcia, że Mary jest zbudowana tak samo jak wszystkie kobiety. To jest Mary, jej ciało należy do niego, tak jak kiedyś jego miś. Musi bronić swojej własności przed nocą, strachem i samotnością.

Ojciec powiedział Timowi, że nikt jeszcze nie dotykał ciała Mary, że jego obecność będzie dla niej czymś nowym i niezwykłym. Tim lepiej niż niejeden normalny mężczyzna rozumiał ogrom swojej odpowiedzialności, ponieważ prawie niczego nie miał na własność i rzadko kto traktował go poważnie. Owładnięty namiętnością, nie pamiętał o wszystkich radach, jakich udzielił mu ojciec, ale gdy teraz wracał do nich myślami, był pewny, że następnym razem będzie lepiej. Jego oddanie dla Mary było czyste i pozbawione egoizmu. Pochodziło jakby spoza jego osobowości. Składały się na nie wdzięczność, miłość i głębokie poczucie bezpieczeństwa. W jej obecności

nigdy nie czuł, że stoi na wadze i waży mniej, niż powinien. Jaka ona piękna — myślał patrząc na jej lekko pomarszczoną skórę. Dla niego była godna pożądania i ładna. Widział ją przez pryzmat ogromnej, niczym nie skrępowanej miłości. Dla niego była najpiękniejszą kobietą na świecie.

Początkowo, kiedy ojciec powiedział, że powinien przenieść się do domu w Artarmon i tam czekać na powrót Mary, nie chciał się na to zgodzić. Ojciec zmusił go jednak i zabronił wracać do domu przy Surf Street. Tim czekał na nią cały tydzień. Strzygł trawę, pielł grządki, przycinał krzewy. Wieczorami zaś chodził po pustym domu, dopóki nie zmogło go zmęczenie. Wówczas kładł się spać. Palące się w całym domu światła pomagały mu walczyć z demonami bezkształtnej ciemności. Dom przy Surf Street nie jest już jego domem — tak powiedział ojciec, a kiedy Tim błagał go, żeby zamieszkał w Artarmon razem z nimi, ojciec odmówił stanowczo. Kiedy myślał o tym teraz, o wschodzie słońca, doszedł do wniosku, że ojciec doskonale wiedział, co się wydarzy. Jak zwykle zresztą.

Tego wieczoru gdzieś na zachodzie rozpętała się burza z piorunami. Powietrze było przesycone ostrym, rześkim zapachem wilgotnej ziemi. Kiedy Tim był małym chłopcem, bardzo bał się burzy, ale tylko do chwili, gdy ojciec wyszedł z nim z domu i pokazał, jakie to piękne, kiedy błyskawice przecinają czarne jak atrament niebo, a grzmoty przetaczają się po nim jak ryki niewidzialnych mamutów. Dlatego zaraz po wieczornym prysznicu wyszedł nagi na werandę. Chciał popatrzeć na burzę. Był zmęczony i niespokojny. W domu osaczały go potwory, a na werandzie, gdzie wilgotny wiatr owiewał jego nagą skórę, nie miały nad nim żadnej władzy. Noc, zalewając powoli świat, zalewała i jego. Stopił się w jedno z pozbawionymi zdolności myślenia tworamami ziemi. Wydawało mu się, że w każdej chwili może zobaczyć najmniejszy płatek każdego kwiatka, a wszystkie ptasie śpiewy napępniały go bezgłośną muzyką.

Początkowo niejasno zdawał sobie sprawę z obecności Mary, dopóki nie poczuł na ramieniu dotknięcia ukochanej ręki. Tim nie zastanawiał się nad cudowną przemianą, jaka zaszła w Mary, dlaczego dała mu poznać, że dotykanie go sprawia jej taką samą przyjemność, jaką jemu daje kontakt z jej ciałem. Odchylił się do tyłu, chcąc poczuć na plecach dotyk jej piersi. Jej dłoń na jego brzuchu zelektryzowała go i sprawiła, że cały zeszywniał, bał się oddychać, żeby jej nie spłoszyć. Ich pierwszy pocałunek sprzed wielu miesięcy zrodził w nim pragnienie, którego nie umiał zaspokoić. Drugi zaś sprawił, że Tim poczuł przyływ dziwnej, rozsadzającej go siły. Chciał

dotykać skóry Mary, lecz okazało się, że osłania ją ubranie. Zbity z tropu, zdołał się jednak zmusić, by zrobić to, co wydawało mu się właściwe — powoli, delikatnie, żeby jej nie przestraszyć, zdejmował z niej po kolei wszystkie rzeczy.

Nogi same zaniósły go do ogrodu. Nie lubił domu w Artarmon — był zupełnie inny niż dom na wsi — i nie wiedział, gdzie ma się udać. Dla niego ogród był domem, więc właśnie tam się skierował. W ogrodzie dotknął jej piersi, w ogrodzie, gdzie był jednym z milionów żyjących tam istnień, mógł zapomnieć, że nie jest pełnym funciakiem, mógł zanurzyć się bez reszty w miodowym, słodkim ciepłe jej ciała. Zatracił się na wiele godzin, owładnięty trudnym do zniesienia szczęściem dotykania jej i świadomością, że jest z nim przez cały czas każdą cząstką swojej istoty.

Smutek ogarnął go dopiero w chwili powrotu do domu, gdy zdał sobie sprawę z konieczności rozstania. Tulił Mary do siebie tak długo, jak tylko było to możliwe, niosąc na rękach jej kruche ciało, cierpiąc na myśl, że będzie musiał wypuścić ją z objęć, i zastanawiając się, kiedy powtórzą się chwile szczęścia. Najbardziej przerażający był moment, kiedy położywszy Mary do łóżka miał udać się do swojego. Kiedy Mary pociągnęła go ku sobie i skłoniła, by położył się obok, uczynił to sparaliżowany zdumieniem. Nie przyszło mu do głowy zapytać ojca, co będzie potem, czy będzie mógł, tak jak rodzice, spędzać każdą noc razem z Mary.

Dopiero w tej chwili zdał sobie sprawę, że naprawdę należą do siebie i nawet gdyby umarł i miał spać na zawsze głęboko pod ziemią, nie będzie musiał niczego się obawiać, bo ona będzie obok niego w ciemności, razem z nim na zawsze. Już nic nie było w stanie go przestraszyć: pokonał ostatnie lęki, odkrywając, że nigdy nie będzie sam. Do tej pory jego życie wypełniała samotność. Odcięty od świata istot myślących, błąkał się zawsze gdzieś na marginesie, był obserwatorem, który miał pragnienia, lecz nie mógł włączyć się do normalnego życia. Teraz to wszystko się nie liczyło. Mary została jego sojuszniczką, a stało się to w tak cudowny sposób. I kochał ją, kochał ją, kochał ją... Wracając do poprzedniej pozycji, Tim oparł głowę na piersiach Mary, chcąc poczuć ich miękkość i delikatność. Palcami jednej ręki obrysowywał nęcący, wyrazisty kształt sutka. Mary obudziła się, mrużąc coś niewyraźnie, i objęła go ramieniem. Tim znów zapragnął całować ją z całej siły, lecz nieoczekiwanie dla siebie samego roześmiał się głośno.

— Co cię tak rozśmieszyło? — spytała Mary, niezupełnie jeszcze obudzona, przeciągając się.

— Och, Mary, jesteś o wiele miłsza niż mój pluszowy miś! — zachichotał.

RS

Rozdział dwudziesty siódmy

Kiedy Mary zadzwoniła do Rona, chcąc go zawiadomić, że już wróciła do domu i że Tim ma się dobrze, zauważyła, że jego głos zdradza zmęczenie.

— Może przyjechałbyś do nas na kilka dni, Ron? — zapytała.

— Dzięki, kochana, ale nie. Lepiej, żebym się wam nie kręcił po domu.

— Wiesz, że to nieprawda. Martwimy się o ciebie, tęsknimy i bardzo chcielibyśmy zobaczyć się z tobą. Proszę, Ron, przyjedź albo pozwól, żebym po ciebie przyjechała.

— Nie, nie chcę — w głosie Rona słychać było upór i chęć postawienia na swoim.

— To może my wpadniemy do ciebie?

— Jak już wrócicie do pracy, to możecie do mnie wpaść któregoś wieczora, ale nie chcę, żebyś przyjeżdżała wcześniej, dobrze?

— Nie, niedobrze. Ale skoro nie chcesz nas widzieć, nic nie mogę na to poradzić. Rozumiem cię, wydaje ci się, że postępujesz właściwie, że powinniśmy być teraz zostawieni sami sobie, ale nie masz racji, Ron. Tim i ja bardzo bylibyśmy zadowoleni ze spotkania z tobą.

— Jak wrócicie do pracy, nie wcześniej — przez chwilę w słuchawce panowała cisza, potem głos Rona, znacznie słabszy, doszedł jakby z ogromnej odległości: — A jak się ma Tim, małeńka? Czy wszystko z nim w porządku? Jest szczęśliwy? Nadal uważasz, że mądrze zrobiliśmy i on nie czuje się już tylko małym głupkiem? Czy pan Martinson miał rację?

— Tak, Ron, miał rację. Tim jest bardzo szczęśliwy. Teraz dokonał się w nim jakiś przełom. Wyszedł ze swojej skorupy, nabrał pewności siebie, jest zadowolony i bardziej aktywny.

— To właśnie chciałem usłyszeć — Ron zniżył głos do szeptu. — Dzięki, Mary, do zobaczenia.

Tim był w ogrodzie. Przesadzał do skalnego ogródka paprocie z doniczek. Zupełnie nietypowym dla niej marszowym krokiem Mary przecięła trawnik i uśmiechnięta podeszła do Tima. On odwrócił się na chwilę i odwzajemnił uśmiech, a potem znowu pochylił się nad kruchymi roślinami. Otrzeptywał z ziemi łamliwe czarne korzonki i wyrosłe z nich, ukryte do tej pory podglebą blade pierzaste listki. Mary usiadła na trawniku i oparła brodę o ramię Tima.

— Rozmawiałam właśnie z tatą.

— Wspaniale! Kiedy przyjedzie?

— Powiedział, że dopiero wtedy, kiedy oboje wrócimy do pracy. Próbowałam go przekonać, że powinniśmy zobaczyć się wcześniej, ale nie chciał. Uważa, że teraz powinniśmy być sami i mieć czas wyłącznie dla siebie. To bardzo miło z jego strony.

— Też tak uważam, ale wcale nie musiał być taki, prawda? Goście w niczym by nam nie przeszkadzali. Przecież pani Parker przychodzi bez przerwy i wcale nam to nie przeszkadza.

— To prawda. Pani Parker to bardzo dobra kobieta.

— Lubię ją — Tim odłożył trzymaną w rękę paproć i objął Mary w pasie.

— Dlaczego ostatnio wyglądasz tak ślicznie, Mary?

— Bo jestem z tobą.

— A ja myślę, że to dlatego, że nie ubierasz się bez przerwy tak, jakbyś miała jechać do miasta. Bez butów i pończoch, i kiedy jesteś nie uczesana, podobasz mi się najbardziej.

— Tim, a co powiedziałbyś, gdybyśmy pojechali na kilka tygodni do naszego domku letniskowego? Tutaj jest przyjemnie, ale tam pewnie jeszcze przyjemniej.

— To świetny pomysł! To prawda, że do czasu twojego powrotu ze szpitala nie lubiłem tego domu, ale teraz okazało się, że nie jest tu tak źle. Czuję się tu jak u siebie, ale domek letniskowy, najpiękniejszy na całym świecie, to mój ukochany domek.

— Tak, wiem o tym. Więc nie odkładajmy wyjazdu, Tim, nic nas przecież tutaj nie zatrzymuje. Zwlekałam z tą propozycją tylko dlatego, że chciałam poznać plany twojego taty, ale skoro on zostawił nam wolną rękę, możemy robić, co chcemy.

Żadnemu z nich nie przyszło do głowy, żeby pojechać gdzieś dalej. Plany Mary dotyczące wyjazdu na Wielką Rafę Koralową i na pustynię zostały dawno odłożone na bliżej nie określoną przyszłość.

Tego samego wieczora byli już w Gosford. Bawili się znakomicie przy wybieraniu pokoju do spania. W końcu przenieśli ogromne łóżko Mary do pokoju Tima. Jej pokój został zamknięty na trzy spusty do czasu, kiedy kupią farby i zamienią zakonną celę w radośniejsze miejsce. W kwitnym ogrodzie niewiele było do zrobienia, jeszcze mniej w domu, dlatego mogli pozwolić sobie na długie spacery po lesie, odkrywaniem czarujących drózek, nie tkniętych ludzką stopą polanek. Pochylali się nad mrowiskiem, głowa przy głowie, i patrzyli na krzątanicę mrówek. Siedzieli w bezruchu przyglądając się tańcowi godowemu lirogona. Jeśli oddalili się zbyt daleko i mrok zaskakiwał

ich, zanim zdążyli wrócić do domku, zostawali na noc tam, gdzie byli. Rozkładali koc na paprociach i spali pod gwiazdami. Bywało i tak, że przesypiali prawie cały dzień i wstawali dopiero o zachodzie słońca. Szli wtedy na plażę i rozpalali ognisko odkrywając dzięki świeżo uświadomionej wolności, że cały świat stał się ich własnością i że nic nie może ich rozdzielić. Bezpieczni w ciemności, schowani przed niepowołanymi spojrznięciami, rozbierali się i pływali w czarnej rzeczce, patrząc na dogasający na plaży ogień. Potem kochali się na rozłożonym na piasku kocu. Jego pożądanie było zbyt silne, żeby można było zapanować nad nim choćby o minutę dłużej. Jej miłość brała go w ramiona, Mary poddawała się bez oporu jego pieścizotom. Była szczęśliwa, szczęśliwsza niż w najśmielszych marzeniach.

Pewnej nocy Mary obudziła się z głębokiego snu. Leżała na plaży i zastanawiała się, gdzie jest. Powoli przyzwyczajała się do spania w objęciach Tima, który nie opuszczał jej nawet na chwilę. Każda próba wyswobodzenia się z jego ramion budziła go natychmiast. Wyciągał wtedy ręce i szukał jej, a kiedy znalazła się w zasięgu jego ramion, przyciągał ją do siebie z westchnieniem pełnym ulgi i obawy zarazem.

Odnosiło się wrażenie, że gdzieś w jego podświadomości tkwi obawa, iż Mary może być wabiona przez jakieś demony nocy, ale nie chciał o tym rozmawiać, a Mary nigdy nie nalegała, wiedząc, że Tim powie jej wszystko we właściwym czasie.

Był środek lata. Pogoda przepiękna, dni słoneczne i suche, w nocy ochłodę przynosiła wiejąca od oceanu bryza. Z zapartym z zachwytem tchem Mary patrzyła w niebo. Ogromny pas Drogi Mlecznej przelewał się przez cały horyzont. Światło gwiazd łagodziło jego zarysy i powodowało, że nawet bezgwiazdna część nieba wydawała się pokryta świetlistym pyłem. Najmniejsze ślady mgły nie ograniczały widoczności. Światła odległego o wiele mil miasta wyraźnymi jasnymi smugami ubarwiały południową stronę nieba. Krzyż Południa rozstawał szeroko ramiona, jego piąta gwiazda błyszczała czystym i jasnym blaskiem. Wielka Niedźwiedzica odwracała oczy od zastygłego w bezruchu, woskowego oblicza księżyca. Srebrne światło rozlewało się dookoła. Rzeka przypominała zimny, pęlgający płomień, na plażę wlewała się woda, rozsypując na piasek tysiące diamentów.

Na ułamek chwili dla Mary czas zatrzymał się w miejscu. Wydało jej się, że usłyszała jakiś głos, obcy, bardzo słabutki, przypominający płacz, dochodzący znaną krawędzi nicości. Cokolwiek to było, niosło ze sobą spokój, samo było spokojem. Mary przez długi czas wsłuchiwała się w ciszę, ale

wrażenie nie powtórzyło się. Pomyślała wtedy, że w taką noc wyzwala się duch świata i, uwolniony, niczym welon otacza sobą wszystkie żyjące stworzenia.

Mary często rozmawiała z Timem o Bogu. Idea była wystarczająco prosta, żeby mógł ją pojąć, a sam był tak nieskomplikowany, że mógł wierzyć w niepoznawalne. Mary nie wierzyła w Boga. Jej przekonania opierały się na niefilozoficznym, ale mającym dla niej podstawowe znaczenie założeniu, że człowiek ma tylko jedno życie do przeżycia. Czy nie jest to wystarczająco ważne i niezależne od istnienia jakiegokolwiek bytu nadprzyrodzonego? Czy istnienie Boga może mieć jakiegokolwiek znaczenie, skoro życie każdego stworzenia nieodwracalnie kończy się w chwili zgonu? Mary myślała o Bogu jedynie w kategoriach Tima, w prostych kategoriach, bliskich pojmowaniu małych dzieci, dla których Bóg symbolizuje dobro i uczciwość. Koleje życia Mary oddaliły ją bardzo od Wszechmocnego. Teraz istniały dla niej jakby dwa pojęcia Boga: jedno typowe dla dzieci, drugie — charakterystyczne dla dorosłych.

Wrażenie sprzed kilku chwil nie dawało jej spokoju. Było w nim jakieś przesłanie z przestrzeni znajdującej się poza światem. Nieoczekiwanie przypomniały jej się stare legendy opowiadające o uwalnianiu się duszy od ciała, o tym, że właśnie w takich chwilach psy wyją wpatrzony w księżyc, oplakują zmarłego, instynktownie wyczuwając śmierć. Mary usiadła obejmując ramionami kolana.

Tim natychmiast zareagował na tę zmianę pozycji. Obudzony, szukał Mary po omacku, ale nie mógł znaleźć.

— Co się stało, Mary? — zapytał.

— Nie wiem... Mam dziwne wrażenie, że coś się wydarzyło. A czy ty coś czujesz?

— Nie, tylko tyle, że ciebie nie ma obok.

Tim chciał się z nią kochać. Mary próbowała przestać myśleć o tym, co ją tak zaniepokoiło, ale nie mogła. Obsesyjna myśl o nieodwracalnym prześladowała ją niczym czający się potwór. Stan ducha Mary nie wprowadził Tima w zakłopotanie. Zaniechał prób wciągnięcia jej do gry miłosnej i zadowolił się przytuleniem do niej — Mary nazywała to „przytuleniem do misia”; Tim opowiedział jej o misiu, chociaż Mary przypuszczała, że nie usłyszała wszystkiego.

— Tim, czy bardzo gniewałbyś się, gdybyśmy wrócili do miasta?

— Jeżeli masz na to ochotę, Mary, nie ma sprawy. Wszystko, czego chcesz, jest dobre dla mnie.

— To wracajmy zaraz. Chciałabym zobaczyć się z tatą. Mam przecucie, że on nas potrzebuje.

Tim wstał natychmiast. Wytrzepał z piasku koc i starannie go złożył.

Była szósta rano, kiedy Bentley Mary zajechał na Surf Street. Słońce od dawna wędrowało już po niebie. Dom był pogrążony w ciszy i sprawiał wrażenie opuszczonego. Mimo to Tim zapewniał Mary, że ojciec jest w środku. Kuchenne drzwi nie były zamknięte.

— Tim, zostań tu na chwilę, a ja sprawdzę, co dzieje się w domu — poprosiła Mary. — Nie chciałabym, żebyś się czegoś przestraszył, dlatego myślę, że będzie lepiej, jeśli najpierw wejdę sama.

— Nie, Mary, chcę wejść z tobą. Nie przestraszę się niczego. Ron leżał w łóżku, które kiedyś dzielił z Es. Oczy miał zamknięte.

Jedna ręka spoczywała na kołdrze przełożona przez pierś, w geście, jakim zapewne tulił do siebie żonę. Mary nie musiała go nawet dotykać, wiedziała, że jego ciało jest zimne, a serce przestało bić. Wiedziała od razu, że Ron nie żyje.

— Czy on śpi, Mary? — zapytał Tim podchodząc do łóżka i wpatrując się w ojca. Potem delikatnie pogłaskał go po zapadniętym policzku. Ze smutkiem spojrział na Mary. — Mary, jaki on zimny!

— On nie żyje, Tim.

— Och, Boże, tak żałuję, że nie zczekał na nas. Tak bardzo chciałem opowiedzieć mu, jak dobrze jest nam razem. Chciałem zapytać go o kilka spraw. Chciałem prosić, żeby pomógł mi wybrać prezent dla ciebie. I nie pożegnałem się z nim! Nie pożegnałem się z nim i nie pamiętam, jak wyglądał, kiedy miał otwarte oczy, kiedy był szczęśliwy, kiedy oddychał.

— Chyba nie mógł już wytrzymać dłużej, kochany. Tak bardzo chciał odejść, był taki samotny, a kiedy przekonał się, że ty jesteś szczęśliwy, nic go już tutaj nie zatrzymywało. Nie bądź smutny z tego powodu, Tim, bo to nie jest smutne. Teraz tato może znowu być blisko mamy.

Nagle Mary zrozumiała, skąd brało się dziwne wrażenie w czasie ich ostatniej rozmowy telefonicznej, dlaczego jego głos wydał jej się tak strasznie odległy — gdy Tim opuścił na zawsze dom przy Surf Street, Ron zaczął umierać, a zanim Mary wróciła ze szpitala, był już bardzo osłabiony. Czy można to nazwać samobójstwem? Mary nie myślała w ten sposób. Umilkły werble i ustał marsz, to wszystko.

Siedząc na brzegu łóżka Tim bardzo delikatnie uniósł sztywne, jakby skurczone ciało ojca.

— Och, Mary, będzie mi go strasznie brakowało! Będę tęsknił! Lubiłem tatę, lubiłem go bardziej niż kogokolwiek na świecie oprócz ciebie.

— Wiem, kochany. Ja też będę za nim bardzo tęskniła.

Czy to był ten dziwny głos, to dziwne odczucie? — zastanawiała się Mary. O wiele dziwniejsze rzeczy przydarzają się ludziom myślącym bardziej racjonalnie niż Mary, w najmniejszym stopniu nie naruszając ich światopoglądu... Dlaczego nic łącząca ludzi ulega przerwaniu najczęściej w chwili, gdy wszystko staje się proste, gdy wszystko zostaje wyjaśnione?

Ron był zupełnie sam, kiedy przyszła po niego śmierć, był zupełnie sam. Zawołał Mary, a ona obudziła się, żeby odpowiedzieć na jego wołanie. Czasami nawet ogromna odległość przestaje mieć jakiegokolwiek znaczenie — pomyślała Mary — czasami ludzi dzieli od siebie jedynie cisza między kolejnymi uderzeniami serca.

RS

Rozdział dwudziesty ósmy

Mary bardzo źle się czuła na pogrzebie Rona. Wszystkim zajęli się Dawnie i Mick, co było najlepszym rozwiązaniem. Udało jej się przekonać Tima, żeby został w domu. W jego zastępstwie miała towarzyszyć ojcu w ostatniej drodze. Obecność Mary na pogrzebie nie była mile widziana. Dawnie i Mick po prostu ją ignorowali. Jak przyjęli wiadomość, że ona i Tim wzięli ślub? — zastanawiała się Mary. — Ron musiał im przecież o tym powiedzieć. Od ślubu Mary rozmawiała z nim tylko raz, ale wtedy nawet nie wspomniał imienia córki.

Po zasypaniu grobu Dawnie, Mick i Mary szli powoli z cmentarza. Mary położyła rękę na ramieniu Dawnie.

— Bardzo ci współczuję, moja droga, bo wiem, jak kochałaś ojca. Ja też go kochałam.

W spojrzeniu Dawnie skierowanym na Mary było coś z Tima, ale dominowała w nim gorycz i jad, których Mary nigdy nie widziała w jego oczach.

— Nie potrzebuję twoich kondolencji, bratowo! Dlaczego nie zostawisz nas samych, odejdz stąd, proszę!

— Dlaczego nie możesz wybaczyć mi tego, że Kocham Tima, Dawnie? Czy ojciec nie wyjaśnił ci całej sytuacji?

— Och, próbował! Jesteś bardzo mądra, prawda? Zamydlenie mu oczu nie zabrało ci dużo czasu. Nie musiałaś się też wysilać, żeby omotać Tima! Jesteś teraz szczęśliwa, bo masz swojego przygłupiego chłopaczka przy sobie na stałe i na dodatek zupełnie legalnie!

— Tim nie jest moim przygłupim chłopaczkiem i wiesz o tym znakomicie, zresztą czy ma to jakiegokolwiek znaczenie, jeśli jest szczęśliwy?

— A skąd ty możesz wiedzieć, czy on jest szczęśliwy? Wiem to jedynie od ciebie, a twoje słowa nie są dla mnie warte złamanego grosza!

— W takim razie dlaczego nie przyjdiesz do nas i sama się nie przekonasz, jak wygląda prawda?

— Nie zniżę się do tego, pani Melville! Wydaje mi się, że ma pani to, na czym pani zależało, ma pani Tima wyłącznie dla siebie! A sytuacja rozwija się nader pomyślnie, oboje rodzice zostali odsunięci z pani drogi!

— Co przez to rozumiesz, Dawnie? — Mary zbladła.

— To przez panią, pani Melville, moja matka umarła na serce, a potem wykończyła pani ojca.

— To nieprawda!

— Och, czy aby na pewno?! Dla mnie, skoro oboje rodzice już nie żyją, Tim też zmarł. Nie chcę go ani widzieć, ani kontaktować się z nim w jakikolwiek sposób! A jeśli pani chce zrobić publiczne widowisko i obnosić się ze swoimi zbroczeniami przed ludźmi, to wyłącznie pani sprawa!

Mary odwróciła się i odeszła bez słowa.

Zanim dojechała z cmentarza Botany do domu w Artarmon, doszła już trochę do siebie, była w stanie przywitać się z Timem udając spokój.

— Czy mama i tato są teraz razem? — dopytywał się Tim zaciskając dłonie.

— Tak, Tim. Widziałam, jak położono go obok niej. Nie musisz się już martwić o żadne z nich, są razem i śpią w spokoju.

W zachowaniu Tima było coś dziwnego. Mary usiadła i zaczęła mu się przyglądać. Nie była jednak zaniepokojona, jej stan bliższy był zaciekawieniu.

— O co chodzi, Tim? Źle się czujesz? Tim apatycznie pokręcił głową.

— Czuję się zupełnie dobrze, Mary, chociaż trochę nieswojo. To dziwne uczucie, kiedy nie ma się już ani mamy, ani taty.

— Rozumiem cię... Rozumiem. Jadłeś coś?

— Nie i nie jestem głodny.

Mary podeszła do Tima i patrząc mu w oczy starała się ściągnąć go z krzesła.

— Chodź ze mną do kuchni, Tim, zrobię parę kanapek. Może nabierzesz apetytu, kiedy zobaczysz, jak smakowicie wyglądają.

— Małe kromki, bez skórki?

— I cieniutkie jak papier, małe i bez skórki, pokrojone na trójkąciki. Obiecuję. No, chodź.

Na końcu języka miała słowa: „kochany, drogi, serduszko”, ale czuła, że nie może już używać tych czułych słówek, które przychodziły jej do głowy, ilekroć Tim był smutny albo zagubiony. Czy kiedykolwiek potrafi traktować go jak kochanka, którym przecież był, czy kiedykolwiek będzie mogła przestać robić z siebie kompletną idiotkę? Dlaczego przy nim mogła się odprężyć jedynie wtedy, gdy byli ukryci przed światem w domku letniskowym albo w łóżku? Gorycz słów Dawnie sprawiała ból, a ciekawskie i podejrzliwe spojrzenia, jakie ściągała, gdy szła z Timem Walton Street, wciąż jeszcze ją upokarzały.

Odwaga Mary nie była niczym nadzwyczajnym, zresztą czy byłoby to możliwe? Nie miała nic, jej życie aż do spotkania Tima podporządkowane było wyłącznie osiągnięciu materialnego sukcesu, zyskaniu aprobaty tych, którzy startowali ze znacznie lepszych pozycji. Przeciwstawienie się przyjętym normom obyczajowym okazało się niełatwe, chociaż jej związek z Timem był usankcjonowany przez prawo. Jakże często Mary miała ochotę ulec impulsowi, zapomnieć się i pocieszać Tima pocałunkami, czułymi słowami, ale jego niezdolność do ośmielenia jej w dojrzały sposób uniemożliwiały to w momencie słabości. Z obawy przed śmiesznością poprosiła Tima, żeby z nikim nie rozmawiał o ich małżeństwie, a zwłaszcza z tymi, którzy w ogóle nie wiedzieli o ich ślubie. Żałowała tego do tej pory. Bez wątpienia nie było jej łatwo.

Tak jak zawsze, Tim chciał jej pomóc w przygotowaniu kanapek. Wyjął chleb i masło. Potem sięgnął do szafki po talerzyki.

— Podasz mi duży nóż, Tim? Jest dość ostry, żeby odkroić skórkę z chleba.

— A gdzie on leży, Mary?

— W górnej szufladzie — odpowiedziała smarując kromki masłem.

— Och! Oooooo! Mary! Mary!

Mary odwróciła się i serce w niej zamarło.

— Mój Boże!

Przez straszną chwilę Mary miała wrażenie, że cała kuchnia tonie we krwi. Tim stał nieruchomo, wpatrując się w swoje lewe ramię. Na jego twarzy malowało się bezgraniczne przerażenie. Od ramienia aż do palców spływał pulsujący strumień krwi. Tryskał fontanną z rany na wysokości łokcia. Z regularnością uderzeń pulsu strzelał w górę, zalewając kuchnię, a potem malał, by uderzyć z nową siłą. Przy nodze Tima zebrała się niewielka kałuża krwi. Prawie cała lewa strona jego ciała pokryła się krwią wolno spływającą na podłogę.

Obok kuchenki wisiała rolka dość grubego bawełnianego sznurka. Mary błyskawicznie odcięła spory kawałek, złożyła go podwójnie, potem jeszcze raz i jeszcze raz, gorączkowo przygotowując opaskę.

— Nie bój się, kochanie, nie bój się! Jestem przy tobie, już idę! — głos Mary załamywał się w pół słowa.

Przez chwilę szukała jeszcze widelca.

Ale Tim niczego nie słyszał. Bezwiednie otworzył usta, z których wydobył wysoki, przejmujący jęk, i zaczął biegać niczym zranione zwierzę, objijając się o lodówkę, wpadając na ścianę. Machał przy tym zranioną ręką, jakby

chciał się jej pozbyć, uwolnić od niej, jakby nie była częścią jego ciała. Krzyk Mary mieszał się z jego krzykami, próbowała go zatrzymać, ale to się jej nie udało. Odepchnięta, spróbowała ponownie. Poruszając się w kółko w szalonym tańcu przerażenia Tim zauważył drzwi, pobiegł w ich kierunku z przeraźliwym krzykiem. Pośliznął się na mokrej od krwi podłodze i upadł jak długi. Zanim zdołał się podnieść, Mary była już przy nim, obejmowała go i nie pozwalała wstać. Nie próbowała nawet uspokajać. Chciała jak najszybciej, zanim będzie za późno, zacisnąć przeciętą tętnicę. Na pół siedząc, na pół leżąc na jego piersi, złapała za rękę i obwiązała ją ponad łokciem. Zrobiła mocny węzeł i pod sznurek wsunęła widelec.

Zaciskała opaskę, dopóki sznurek nie zagłębił się mocno w ciało.

— Tim, leż spokojnie! Proszę, proszę cię, Tim, leż spokojnie! Jestem przy tobie, nie pozwolę, żeby stało ci się coś złego, ale musisz leżeć spokojnie! Słyszysz mnie?!

Panika i utrata krwi wyczerpały go zupełnie. Leżał ciężko dysząc. Co jakiś czas oddech przerywała czkawka. Mary pochyliła głowę i policzkiem dotknęła jego twarzy. Mogła myśleć jedynie o tym, że jeszcze nie tak dawno broniła się przed używaniem pieszczotliwych zwrotów, zmuszała się do siedzenia spokojnie naprzeciw niego, podczas gdy miała wielką ochotę wziąć go w ramiona i pocałować.

Usłyszała pukanie do kuchennych drzwi i głos Emily Parker.

— Usłyszałam jakiś dziwny hałas, gdy byłam na drodze.

Na krzyk Mary pchnęła silnie drzwi i zobaczyła kuchnię całą we krwi.

— Jezus Maria! — ni to krzyknęła, ni to wyszeptała przerażona.

— Niech pani wezwie karetkę! — Mary oddychała ciężko, bała się puścić Tima, żeby znowu nie wpadł w panikę.

W pięć minut po telefonie przyjechała karetka. Mary w dalszym ciągu siedziała przy Timie z twarzą przytuloną do jego policzka. Dopiero interwencja dwóch sanitariuszy oderwała ją od niego.

Emily Parker pojechała razem z nimi do szpitala. Przez całą drogę pocieszała Mary. Siedziały z tyłu karetki, razem z Timem i jednym z sanitariuszy.

— Nie martw się o niego, maleńka, wyjdzie z tego. Zdaje się, że stracił cholernie dużo krwi, ale słyszałam, że nawet pół litra wygląda, jakby wyciekło całe wiadro.

Szpital rejonowy znajdował się w niewielkiej odległości, po drugiej stronie cegielni, dlatego podróż trwała zbyt krótko, żeby Mary zdążyła otrząsnąć się z

szoku i powiedzieć choćby słowo do Tima, kiedy przewożono go do sali operacyjnej. Od upadku Tim pozostawał w jakimś letargu, był zupełnie nieświadomy ani obecności Mary, ani tego, co dzieje się dookoła niego. Nawet na chwilę nie otworzył oczu, jakby bał się tego, co mógłby zobaczyć.

Pani Parker pomogła Mary usiąść w eleganckiej poczekalni. Przez cały czas zagadywała ją.

— Czy nie jest tu ślicznie? — pytała, starając się odwrócić uwagę Mary od myślenia o Timie. — Pamiętam czasy, kiedy było tutaj tylko kilka pokoiów, w których znajdował się jedynie rentgen i izba przyjęć. Teraz mają tu prawdziwy pałac, naprawdę przyjemne miejsce. I te rośliny dookoła, człowiek zapomina, że jest w szpitalu! Widziałam znacznie gorsze halle hotelowe, maleńka, daję słowo. A teraz posiedź sobie spokojniutko aż do czasu, kiedy przyjdzie doktor, a ja pójdę znaleźć moją starą przyjaciółkę, która jest tutaj pielęgniarką. To siostra Kelly. Może uda mi się zdobyć dla nas filiżankę gorącej herbaty i kilka biszkoptów.

Wkrótce po odejściu pani Parker do Mary podeszła pielęgniarka. Mary z ogromnym trudem podniosła się z miejsca i spróbowała zwilżyć językiem suche usta. Nadal nie mogła wydobyć z siebie głosu.

— Pani Melville? Pani nazwisko znam od sanitariusza, który właśnie przed chwilą przyjechał razem z panią.

— Tih... Tih... Tim? — zdołała wydusić z siebie Mary. Drżała tak silnie, że nie mogła ustać na nogach i ponownie usiadła w fotelu.

— Tim wyjdzie z tego, pani Melville, naprawdę! Właśnie przewieźliśmy go do sali operacyjnej, założą mu kilka szwów. Nie ma powodu do obaw, daję pani słowo! Dostał kroplówkę i najprawdopodobniej dostanie jeszcze pół, może litr krwi, kiedy tylko zdobędziemy odpowiednią dla niego grupę. Przeżył szok z powodu utraty krwi, to wszystko. Rana nie wygląda groźnie, sama ją widziałam, czyste cięcie. Jak to się właściwie stało?

— Nóż musiał się wysunąć z szafki i skaleczył go, ale nie patrzyłam akurat na niego, kiedy to się wydarzyło, więc dokładnie nie wiem. Usłyszałam krzyk i dopiero wtedy zobaczyłam, co się stało. — Mary spojrzała na pielęgniarkę bardzo smutno. — Czy Tim jest przytomny? Proszę, niech mu pani powie, że jestem tutaj, że nie odeszłam i nie zostawię go samego. Jeśli tylko pomyśli, że zostawiłam go samego, będzie bardzo zmartwiony.

— W tej chwili jest w lekkiej narkozie, pani Melville, ale kiedy przyjdzie do siebie, powiem mu, że jest pani tutaj. Proszę nie martwić się o niego, to w końcu dorosły mężczyzna!

— W tym cały problem, że niezupełnie dorosły. Tim jest opóźniony w rozwoju, a ja jestem jedyną bliską mu osobą. To bardzo ważne, żeby wiedział o mojej obecności! Proszę mu tylko powiedzieć, że Mary jest tutaj.

— Mary?

— On mnie tak nazywa — powiedziała Mary ciepło. — Nigdy nie używa innego imienia czy zdrobnienia.

— Przyślę do pani któregoś z młodszych pracowników. Proszę podać mu informacje, o które będzie pytał, będą potrzebne do naszego rejestru. Sprawa jest prosta, bo chodzi o wypadek, nie będzie więc konieczności pytania o szczegóły, chyba że on cierpi na jakieś choroby poza upośledzeniem umysłowym.

— Nie, nie. Tim jest bardzo zdrowy.

Wróciła pani Parker prowadząc za sobą siostrę Kelly, która niosła herbatę.

— Niech pani wypije, póki gorąca, pani Melville — powiedziała siostra Kelly — a potem proszę pójść do łazienki i wziąć gorącą kąpiel. Pani Parker obiecała, że przywiezie pani z domu czystą odzież. Gdyby nie zdążyła na czas, włoży pani szpitalny szlafrok. Z Timem już wszystko w najlepszym porządku, a i pani poczuje się znacznie lepiej po kąpielu. Zresztą przyślę do pani pielęgniarkę, żeby pokazała pani drogę.

Dopiero przyjrząwszy się sobie dokładnie, Mary zauważyła, że podobnie jak Tim cała jest pobrudzona zakrzepłą krwią.

— Najpierw jednak proszę wypić herbatę, potem zajmie się panią doktor Fisher i wypyta o szczegóły.

W dwie godziny później Mary była z powrotem w poczekalni. Przebrana siedziała z Emily Parker w dużo lepszym nastroju. Wracała powoli do siebie. Przyszedł do nich doktor Minster, dyżurny chirurg, z dobrymi wieściami.

— Może pani wracać do domu, moja droga, on czuje się znakomicie. Świetnie zniósł operację, a teraz śpi jak dziecko. Przez jakiś czas będzie w sali intensywnej terapii, a potem przeniesiemy go na zwykły oddział. Za dwa dni może wracać do domu.

— Naprawdę wszystko jest w porządku? Doktor Minster roześmiał się.

— Och, wy, matki! Wszystkie jesteście takie same, wiecznie zamartwiacie się o swoje pociechy! Proszę mi obiecać, że przestanie się pani przejmować zdrowiem Tima, bo pani zdenerwowanie może źle na niego wpłynąć. Wiem, że pani uczucia macierzyńskie są wyjątkowo mocne z powodu ogromnej zależności syna od pani, ale nie może się pani aż tak przejmować.

Mary czuła, jak krew napływa jej do twarzy, ale zacisnęła mocno usta i dumnie uniosła głowę.

— To nieporozumienie, doktorze. Nie wyjaśniłam tego wcześniej, Tim nie jest moim synem, to mój mąż.

Doktor Minster i pielęgniarka spojrzeli po sobie zupełnie zbici z tropu. Cokolwiek powiedzieliby w tej chwili, zabrzmiałoby to fałszywie. Koniec końców, żadne z nich nie odezwało się ani słowem, po prostu wyszli z poczekalni. Bo cóż można powiedzieć po takiej gafie? Czuli się okropnie. A jak musiała się czuć Mary!

Mary siedziała w fotelu, siłą powstrzymując łzy. Tim nie powinien widzieć jej oczu zapuchniętych od płaczu. Nie chciała też, żeby pielęgniarki widziały jej łzy. Nic dziwnego, że wszyscy w szpitalu byli dla niej tacy mili i nie dziwili się jej oddaniu dla Tima! Matkom mówi się rzeczy zupełnie inne niż żonom. Mary rozumiała, że traktowano ją jak matkę, a nie jak żonę.

Popęłniła błąd. Gdyby zachowała typową dla siebie zimną krew, wzięła się w garść w czasie tych straszliwych godzin czekania i snucia domysłów, nie uszłoby jej uwagi, że traktują ją jak matkę. Być może nawet pytali ją o to, a ona, pogrążona w myślach, odpowiedziała twierdząco. Przypomniała sobie, że rozmawiała z młodym praktykantem, który pytał o jej pokrewieństwo z Timem, ale nie bardzo pamiętała własną odpowiedź. Z drugiej strony — dlaczego oni wszyscy zakładali, że jest jego matką? To prawda, że nie wyglądała młodo, a przeżycia ostatnich godzin, szok i przerażenie dodały jej jeszcze lat. Mimo to dlaczego od początku nie dała im do zrozumienia, że jest jego żoną? Powinna była na samym początku wyjaśnić całe nieporozumienie, ale nie zrobiła tego. Właściwie równie dobrze mogła to zrobić pani Parker albo Tim... Biedny Tim, który tak zabiegał o to, by była szczęśliwa... Tim słuchał jej, i pewnie bardzo dobrze zapamiętał prośbę, żeby nikomu nie mówić o ich małżeństwie. Wszyscy, którzy dowiedzieli się, że nie jest pełnym, funciakiem, uznali za pewnik, że jest kawalerem. Ludzie opóźnieni w rozwoju nie biorą ślubów. Najczęściej mieszkają z rodzicami aż do chwili, gdy osieroceni przez nich umieszczani są w zakładach i tam umierają.

Tim, już ubrany, siedział w sali i z niecierpliwością oczekiwał na wyjście ze szpitala. Mary, pozornie spokojna i opanowana, wzięła go za rękę i uśmiechnęła się bardzo czule.

— Chodź, Tim, wracamy do domu — powiedziała.